

KURIER galicyjski

NIEZALEŻNE PISMO POLAKÓW NA UKRAINIE

17 – 29 marca 2010
nr 5 (105)

DWUTYGODNIK

UKRAINA MA NOWY RZĄD

Parlament Ukrainy w ekspresowym tempie, dzień po wejściu w życie zmian, ułatwiających tworzenie koalicji rządowych, powołał nowy gabinet. Premierem został Mykoła Azarow, zaufany członek prezydenta Wiktora Janukowycza

Rząd powołała nowa, zawarta 11 marca koalicja prezydencka – Partii Regionów Ukrainy Janukowycza, Komunistycznej Partii Ukrainy i Bloku przewodniczącego parlamentu Wołodymyra Łytwyna. Przyjęła nazwę Stabilità i Reformy.

Za powołaniem Azarowa na szefa rządu głosowało 240 z 450 ukraińskich deputowanych, w tym siedmiu „zdrajców” z partii odwołanej pani premier Julii Tymoszenko. Władze partii zapowiadają, że podejmą starania, żeby utracili oni mandaty, zaś w trybie natychmiastowym zostaną usunięci z partii.

Mykoła Azarow ma 62 lata. Urodził się w rosyjskiej Kałudze. Studia zakończył w Moskwie, otrzymał tytuł geologa-geofizyka. Dotąd wypowiada się głównie po rosyjsku, a ukraiński sprawia mu duże trudności. Jego kariera na Ukrainie rozpoczęła się w 1984 roku, gdy objął stanowisko dyrektora jednego z miejscowych instytutów geologii. 10 lat później został deputowanym Rady Najwyższej. Od 1996 do 2002 roku był szefem Inspekcji Podatkowej. Zarzucano mu wtedy wykorzystywanie tej instytucji do walk politycznych z przeciwnikami prezydenta Leonida Kuczmy.

Był wicepremierem i ministrem finansów w pierwszym rządzie obecnego prezydenta Wiktora Janukowycza. Od 2007 roku jest deputowanym Rady Najwyższej. Mykoła Azarow należy do najzagorzalszych zwolenników współpracy z Moskwą oraz wejścia do propagowanej przez Kreml Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej z Rosją, Białorusią i Kazachstanem. Jest przewodniczącym Partii Regionów i jednym z liderów nieformalnego „klanu donieckiego”.

Pierwszym wicepremierem został Andrij Klujew, też z Doniecka, był wice-



Premier Mykoła Azarow (pierwszy od lewej), prezydent Wiktor Janukowycz, przewodniczący parlamentu Ukrainy Wołodymyr Łytwyn

premierem w rządach Janukowycza. Wicepremierem ds. organizacji Euro 2012 został Borys Kolesnikow z Partii Regionów, kolejnym wicepremierem został Serhij Tihipko – zdobywca trzeciego miejsca w pierwszej turze wyborów prezydenckich z 17 stycznia. Ministrem ds. paliw i energetyki – oligarcha Jurij Bojko. Ministrem gospodarki został Wasyl Cuszko, ministrem finansów – Fedir Jaroszenko, ministrem ds. paliw i energetyki – Jurij Bojko, ministrem spraw wewnętrznych – Anatolij Mohylow.

Tak szybkie powołanie rządu było możliwe, ponieważ wcześniej parlament przegłosował, a prezydent podpisał zmiany o zasadach tworzenia koalicji: teraz mogą do nich wchodzić nie tylko kluby parlamentarne, ale pojedynczy deputowani. Zmiany wprowadzono, bo Partia Regionów, której Janukowycza przewodzi, brakowało kilku głosów do większości. Opozycji skupiona wokół Julii Tymoszenko uważa, że zmiany są sprzeczne z konstytucją, a nowy rząd – nielegalny.

Gabinet z widokami na Rosję

Tak rosyjski dziennik „Kommersant” tytułuje korespondencję z Kijowa, prezentującą skład nowego ukraińskiego rządu, zatwierdzony poprzedniego dnia przez parlament Ukrainy.

Rosyjska gazeta pisze, że „nowym premierem został pochodzący z Kaługi Mykoła Azarow, na czele MSZ stanął ambasador Ukrainy w Rosji Kostiantyn Hryszczenko, zaś tekę ministra ds. paliw i energetyki otrzymał stary znajomy Gazpromu Jurij Bojko”. „Kommersant” informuje, że „Hryszczenkę i Bojkę czeka teraz – jak określa się to w otoczeniu (Wiktora) Janukowycza – naprawianie błędów pomarańczowych na kierunku rosyjskim”.

Poleceniem rozpoczęcia negocjacji z Rosją w sprawie gazu oraz współpracy w elektroenergetyce i energetyce atomowej, Janukowycz zwrócił się w ostatni piątek, podczas spotkania z nowym rządem Mykoły Azarowa. Janukowycz podkreślił, że negocjacje trzeba przeprowadzić w taki sposób, „by można było podjąć odpowiednie wspólne decyzje w czasie oficjalnej wizyty w Kijowie prezydenta Rosji Dmitrija Miedwediewa w pierwszej połowie roku” – cytuje agencja Interfax.

Kijów chce obniżki cen gazu, importowanego z Rosji, które obecnie są najwyższe w Europie. W ostatni piątek moskiewski dziennik „Wiedomosti” sugerował, że Kijów może wytargować obniżkę cen gazu w zamian za przedłużenie rosyjskiej Flotie Czarnomorskiej dzierżawy portu w Sewastopolu, kończące się w 2017 r.

Reformy

Jak pisze na swoim blogu internetowym Witold Jarzyński – w gospodarce można się spodziewać tyle reform ile będzie potrzeba, aby Ukraina nie zbankrutowała. Sam premier niewątpliwie zna się na ekonomii – był ministrem finansów. Jednak w obecnej sytuacji, Ukrainę czeka kilka bardzo ważnych decyzji. Pewną nadzieją na bardziej zdecydowane reformy jest Serhij Tihipko, który został wicepremierem ds. gospodarczych. Tihipko już wcześniej zapowiadał, jeszcze jako kandydat na prezydenta, że jest zwolennikiem radykalnych działań. Ciekawe ile będzie miał do powiedzenia w rządzie Azarowa – tym bardziej, że nie dysponuje w parlamencie żadnym zapleczem politycznym, a swój obecny kapitał zaufania społecznego będzie mógł skapitalizować, w przypadku uniknięcia przedterminowych wyborów dopiero w wyborach w 2012 roku.

Serhij Tihipko podczas wywiadu w ukraińskiej telewizji ICTV powiedział, że konieczne będą podwyżki ceny gazu oraz innych usług komunalnych. Jednak, jak zaznaczył wicepremier – podwyżki te w pierwszej kolejności dotkną bogatych.

Premier Mykoła Azarow oświadczył, że państwo ukraińskie znajduje się w stanie krytycznym, lecz jego ekipa ma program walki z kryzysem. Za główne zadanie przyszłego rządu nowy premier uznał uchwalenie budżetu na bieżący rok.

- Dla przyjęcia budżetu potrzebujemy miesiąca. Dziś mamy 11 marca, co oznacza, że 11 kwietnia budżet zostanie wniesiony na rozpatrzenie w Radzie Najwyższej – powiedział Azarow przed głosowaniem nad jego kandydaturą w 450-osobowej izbie. Nowy ukraiński rząd będzie musiał ponownie rozpocząć rozmowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym na temat przyznania pomocy finansowej w wysokości 16,4 miliarda dolarów.

MARIA BASZA tekst
zdjęcie
www.president.gov.ua

Krzyżacy
i Prywisłency
SZYMON KAZIMIERSKI
- s. 16



O rezolucji
Parlamentu
Europejskiego
ROZMOWA Z PAWŁEM
ZALEWSKIM – JEDNYM
Z JEJ INICJATORÓW
- s. 3



Korespondencja
z Syberii
WOJCIECH GRZELAK
- s. 24



Czy lwowscy
Polacy będą
mieli swoją
poradnię
medyczną?
MARIA BASZA
- s. 6

Podróże
Warszawa -
Lwów
SZYMON KAZIMIERSKI
- s. 22



NASI PARTNERZY MEDIALNI

GŁOS

pogranicze.eu

DZIENNIK POLSKI

WÓW
RADIO

BEKA

www.vezha.org


RADIO
OPOLE
twoje sprawy, twoja muzyka

ISSN 1996-2304



Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

wybrał
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI


 Rezolucja Parlamentu Europejskiego potępiająca uhonorowanie Stepana Bandery wywołała oburzenie wśród ukraińskich nacjonalistów. Wskazując, że inicjatorami tego zapisu byli polscy eurodeputowani, Ukraińcy zarzucili Polakom, że ingerują w sprawy wewnętrzne ich państwa i godzą w porozumienie polsko-ukraińskie. W podobnym tonie wypowiadają się inne popierające przywódcę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Obecna w ukraińskim parlamencie partia „Za Ukrainę” napisała w oświadczeniu: „Przykro nam, że inicjatywa (uchwalenia tego dokumentu) wyszła od przedstawicieli sąsiedniej Polski (w PE). Jako świadomi Ukraińcy uważamy ten krok za ingerencję w sprawy wewnętrzne niepodległego państwa ukraińskiego”.

„Polacy ingerują w sprawy Ukrainy”. pmaj 01.03.2010

 Przewodniczący Rady Najwyższej (parlamentu) Ukrainy Wołodymyr Łytwna ogłosił we wtorek koniec istnienia dotychczasowej koalicji parlamentarnej, na czele której stał Blok premier Julii Tymoszenko. W skład sformowanej pod koniec 2008 r. koalicji, prócz Bloku premier Tymoszenko, wchodziły: Blok Nasza Ukraina-Ludowa Samoobrona (NU-LS) oraz Blok Wołodymyra Łytwna.

Koniec koalicji premier Tymoszenko. PAP 02.03.2010


PRASA POLSKA O UKRAINIE

 W rocznicę wymordowania Polaków w Hucie Pieniackiej na Ukrainie, ukraińska, nacjonalistyczna partia Swoboda postawiła tam „tablicę prawdy”. Dowodzi, że zbrodni dokonali Niemcy – To szokująca próba wmówienia opinii publicznej, że mordu w Hucie Pieniackiej nie dokonały oddziały Dywizji SS Galizien – powiedział „Rz” sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik. – Mamy do czynienia z akcją polityczną zmierzającą do umniejszenia odpowiedzialności ukraińskiej za dokonane tam zbrodnie. Ale fakty są nieublagane, jest i literatura ukraińska na ten temat – dodał.


Spór o zbrodnie nad grobami ofiar. Józef Matusz, Piotr Kościński, ta. s. 02.03.2010

 Prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz zapowiedział, że unieważni decyzję Juszczenki o przyznaniu tytułu Bohatera Ukrainy Stepanowi Banderze i Romanowi Szuchewyczowi. Przyznanie tytułu Banderze skrytykował prezydent Polski Lech Kaczyński oraz Parlament Europejski. Decyzja ta spotkała się też z dezaprobatą Rosji. – Oczywiście te dekrety Juszczenki odbiły się dużym echem i nie są akceptowane ani na Ukrainie, ani w Europie – oznajmił Janukowycz na konferencji prasowej w Moskwie. „Ta decyzja zostanie podjęta przed Dniem Zwycięstwa” 9 maja – dodał.


W maju Bandera przestanie być Bohaterem. ika 05.03.2010

 Prezydent Ukrainy mówił w Moskwie o obronie praw rosyjskiej mniejszości i walce z dekretem Juszczenki. Wraz z Dmitriem Miedwiediewem zapowiedzieli koniec epoki Wiktora Juszczenki i odbudowę dwustronnych stosunków. – Mam nadzieję, że wraz z pańskim dojściem do władzy zakończy się czarny rozdział w stosunkach Rosji i Ukrainy – mówił rosyjski prezydent. Gość z Kijowa zapewniał, że relacje z Moskwą już nigdy nie będą takie, jak w ostatnich latach.

Co obiecał Kremlowi Janukowycz. Justyna Prus, Tatiana Serwetnyk 05.03.2010

 Język rosyjski nie stanie się drugim oficjalnym na Ukrainie. Prezydent Wiktor Janukowycz zdradził wyborców – przekonują komuniści - Język ukraiński będzie rozwijany na Ukrainie jako jedyny język państwowy – powiedział Janukowycz w Kaniole (środkowa Ukraina), na mogile ukraińskiego wieszacza narodowego Tarasa Szewczenki, podczas uroczystości z okazji 196. rocznicy urodzin poety. – To zdrada wyborców, którym Janukowycz obiecywał nadanie językowi rosyjskiemu statusu drugiego języka państwowego - oświadczył w odpowiedzi lider ukraińskich komunistów Petro Symonenko.


Niepełniona obietnica Janukowycza. Pmaj. 09.03.2010

 Parlament w Kijowie zmienił wczoraj reguły tworzenia koalicji rządowej, co opozycja z Julią Tymoszenko na czele uznała za złamanie konstytucji. Otwiera to drogę do utworzenia nowego rządu pod dyktando prezydenta Wiktora Janukowycza. Według nowego prawa do koalicji rządowej mogą przystępować nie tylko partie polityczne, lecz także pojedynczy deputowani. Dotychczasowe zasady prowadziły czasem do paraliżu władzy, bo partie decydowały o wstąpieniu do koalicji w wewnętrznym głosowaniu.

Nowe reguły tworzenia rządu na Ukrainie. Mz. 10.03.2010


 Rada Najwyższa Ukrainy zatwierdziła wczoraj 63-letniego Mykołę Azarowa na stanowisku nowego szefa rządu ukraińskiego. Jego kandydaturę poparło 242 deputowanych w 450-osobowej izbie. Azarow został wysunięty jako kandydat na premiera przez prezydenta Wiktora Janukowycza, na wniosek powołanej wcześniej koalicji prezydenckiej Partii Regionów Ukrainy, Komunistycznej Partii Ukrainy i Bloku przewodniczącego parlamentu Wołodymyra Łytwna.

Rząd powołany. 12.03.2010

 - Gabinet z widokami na Rosję - tak rosyjski dziennik „Kommiersant” tytułuje skład nowego ukraińskiego rządu zatwierdzonego przez

Radę Najwyższą (parlament) Ukrainy. Rosyjska gazeta wybija, że „nowym premierem został pochodzący z Kaługi Mykołoz Azarow, na czele MSZ stanął ambasador Ukrainy w Rosji Kostiantyn Hryszczenko, zaś tekę ministra ds. paliw i energetyki otrzymał stary znajomy Gazpromu Jurij Bojko”.

Ukraiński gabinet z „widokami na Rosję”. Ika. 12.03.2010

 Mimo rosyjsko brzmiącego nazwiska premier Mykołoz Azarow może być polskiego pochodzenia. Spora część Ukraińców ma polskie korzenie, jak były premier Jurij Jechanurow. Ale ta sytuacja jest szczególna: pochodzący z Rosji Azarow uważany jest za polityka zdecydowanie promoskiewskiego. Jego pochodzenie analizował Instytut Badań Problematyki Zarządzania im. Horszenina w Kijowie. – Oglądałem dokumenty, które świadczą, że ojciec Mykołoz Azarowa urodził się w 1924 r., nazywał się Jan Polko i był Łotyszem. Niewykluczone jednak, że mógł być Polakiem, gdyż na Łotwie mieszkało wówczas wielu Polaków. Na razie nic nie wiemy o jego dziadku, który nazywał się Robert Polko. W miarę możliwości będziemy badać tę sprawę – mówi „Rz” szef instytutu Kostiantyn Bondarenko. I dodaje: Obecne nazwisko premier ma po babce, która go wychowywała. Azarow wielokrotnie mówił, że rosyjska wioska, w której dorastał, nazywała się Azarowo.

Polskie korzenie premiera Ukrainy? Piotr Kościński, Tatiana Serwetnyk 13.03.2010

„TO NIEDOPUSZCZALNE! POLSKA NIE MA PRAWA...”

Anulowanie decyzji o uhonorowaniu Stepana Bandery tytułem Bohatera Ukrainy jest niedopuszczalne – oświadczyła rada obwodu (województwa) iwanofrankowskiego w apelu do nowego szefa państwa Wiktora Janukowycza. „Ani Bruksela, ani Moskwa, ani Warszawa nie mają prawa wskazywać, kto jest dla Ukrainy bohaterem narodowym” – czytamy w apelu.

Zaniepokojenie deputowanych wywołały deklaracje w sprawie Stepana Bandery, złożone przez Wiktora Janukowycza 10 dni temu w Moskwie. Obiecał tam, że do obchodzonej 9 maja rocznicy zakończenia II wojny światowej dekret jego poprzednika Wiktora Juszczenki, nadający Banderze tytuł Bohatera Ukrainy, zostanie unieważniony.

Deputowani obwodowi z Iwanofrankowska oświadczyli, że złożone na Kremlu oświadczenie Janukowycza wzbudziło ich szczególną „trwożę”. Wcześniej, wraz z deputowanymi innymi obwodów Ukrainy zachodniej, krytykowali rezolucję Parlamentu Europejskiego, który z

inicjatywy polskich eurodeputowanych także potępił Juszczenkę za uhonorowanie Bandery.

„Swego czasu o własną niepodległość walczyły wszystkie narody. Polska na przykład nie pytała o zgodę na heroizację Armii Krajowej. Rozumiemy pańskie dążenia do nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków z Unią Europejską i Rosją, ale powinny być one oparte na wzajemnym szacunku, a nie na ustępstwach Ukrainy wobec sąsiadów wbrew interesom narodowym” – głosi apel iwanofrankowskiej rady obwodowej do Janukowycza.

Bandera, ukraiński działacz niepodległościowy, przewodził jednej z frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Jej zbrojne ramie, Ukraińska Powstańcza Armia, obarczane jest odpowiedzialnością za czystki etniczne na ludności polskiej Wołynia i Galicji Wschodniej.

Juszczenko uhonorował Bandere pośmiertnym tytułem Bohatera Ukrainy w styczniu. 25 lutego krok ten potępił posłowie PE, argumentując, że Bandera współpracował z nazistowskimi Niemcami.

Eurodeputowany Paweł Zalewski, współautor mówiącej o Banderze

rezolucji PE, w odpowiedzi na jej krytykę w ukraińskich środowiskach narodowych wyjaśniał, że gloryfikacja Bandery przeczy wartościom europejskim.

Jeśli Ukraina myśli o członkostwie w UE, powinna zastanowić się nad rolą Stepana Bandery w swojej historii – mówił w opublikowanym w sobotę wywiadzie dla opiniotwórczego tygodnika ukraińskiego „Dzerkało Tyżnia”.

Ukraińcy twierdzą, że szanują Bandere za walkę o własne państwo, a oskarżenia o jego współpracę z nazistami odrzucają. Wskazują jednocześnie, że Bandera nie mógł być zaangażowany w czystki Polaków na Wołyniu, gdyż był wówczas więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen.

Stanowisko to znalazło się m.in. w liście protestacyjnym 100 ukraińskich parlamentarzystów do przewodniczącego PE Jerzego Buzka. Przeciwko rezolucji PE wystąpiło także szereg organizacji społecznych Ukrainy zachodniej oraz znani intelektualni i więźniowie polityczni okresu b. ZSRR Jewhen Swerstiuk i Myrosław Marynowycz.

Jarosław Junko (PAP)

METROPOLITA LWOWSKI W WATYKANIE

KONSTANTY CZAWAGA

W ostatnich dniach Przewodniczący Konferencji Episkopatu Rzymskokatolickiego Ukrainy arcybiskup Mieczysław Mokrzycki przebywał w Stolicy Apostolskiej. 15 marca Benedykt XVI przyjął na audiencji prywatnej łacińskiego metropolitę lwowskiego, który przekazał papieżowi pozdrowienie od nowego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza – poinformował „Kurier” ks. Andrzej Legowicz, sekretarz osobisty lwowskiego arcybiskupa.

Ojciec Święty wyraził wielkie zainteresowanie sytuacją na Ukrainie po ostatnich wyborach prezydenckich. Arcybiskup Mokrzycki miał też spotkania z Sekretarzem Stanu kardynałem Tarcisio Bertone, kardynałem Zenonem Grocholewskim, Prefektem Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej i kardynałem Leonardo Sandri, Prefektem Kongregacji dla Kościołów Wschodnich.

Benedykt XVI przyjął również greckokatolickiego arcybiskupa większego Kijowa i Halicza, kardynała Lubomyra Huzara.

POSZUKUJEMY PRACOWNIKÓW

Agencja pracy, działająca na rynku Unii Europejskiej poszukuje celem przeszkolenia i zatrudnienia na kilkuletnie kontrakty, pielęgniarki, fizykoterapeutów, lekarzy, opiekunki.

Mile widziana, znajomość języka polskiego, preferujemy absolwentów



z dyplomami, wydanymi do 2005 roku. Zgłoszenia w formie ankiet na stronie: www.bcj-konsalting.eu. Kandydaci zostaną powiadomieni o dalszej procedurze telefonicznie lub pocztą elektroniczną.

PAWEŁ ZALEWSKI DLA „DZERKAŁA TYŻNIA”

„Jeśli Ukraina myśli o członkostwie w Unii Europejskiej, powinna zrewidować rolę Bandery w historii” – mówi polski europoseł Paweł Zalewski w wywiadzie dla ukraińskiego tygodnika „Dzjerkało Tyżnia”.

„Dzjerkało Tyżnia”: Panie Zalewski, proszę pozwolić rozpocząć od niedawnej wizyty nowo wybranego prezydenta Ukrainy Wiktor Janukowycza w Moskwie, gdzie oświadczył, że anuluje dekret o nadaniu Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy. Jest pan szczęśliwy z tego powodu? To właśnie to, czego domagał się pan w zainicjowanej przez pana rezolucji Parlamentu Europejskiego.

- Paweł Zalewski: Jestem jednym z dwóch inicjatorów wspomnianej przez panią rezolucji. Rozesłaliśmy propozycje do wszystkich naszych kolegów w Parlamencie Europejskim, kierując się bardzo ważnym celem: po prezydenckich wyborach na Ukrainie zmieniła się sytuacja polityczna. Do władzy doszedł nowy prezydent i nowa grupa polityczna. A więc, pojawiła się konieczność, aby zademonstrować europejskie zobowiązania odnośnie wsparcia Ukrainy na jej europejskiej drodze. Nasz pomysł polegał na tym, żeby wysłać message do ukraińskich ludzi i ukraińskiego rządu, który składałby się z tych punktów. Po pierwsze, jesteśmy tak samo oddani współpracy z Ukrainą w tym, co odnosi się do popierania koniecznych reform, wzmocnienia kraju, przestrzegania prawa, walki z korupcją, wsparcia dla ukraińskiej gospodarki w czasie kryzysu, a także, po prostu, w przekształceniu Europy w bardziej otwartą dla naszego kraju. Mam tu na myśli przygotowanie mapy drogowej, które skupiłaby się na zniesieniu wiz dla Ukraińców.

My, wiadomo, rozumiemy, że to zobowiązanie Unii Europejskiej – poprzeć Ukrainę i tę jej decyzję, czy pozostać na tej drodze. I jeśli nasz kraj zdecyduje się dalej poruszać w tym kierunku, to obie strony powinny przestrzegać pewnych zobowiązań. Te zobowiązania ze strony Ukrainy oznaczają nie tylko to, że powinny trwać reformy, ale także to, że powinna ona przestrzegać europejskich wartości. Jako przykład, zwróciliśmy uwagę na nadanie tytułu Bohatera Ukrainy Banderze, politykowi, który nie tylko praktykował nacjonalizm jako ideologię, ale także terror jako metodę polityczną. To jest nie do przyjęcia i to w żadnym wypadku nie koresponduje z europejskimi wartościami. I, pewnie, że to zależy od prezydenta Ukrainy, co robić z tym naszym przekazem. Ale na ile rozumiałem, pan Janukowycz zgodził się z nami, jeśli sądzić z jego wizyty w Brukseli, a także z tego co powiedział w Moskwie.

- Z pewnością, jesteście panu bardzo wdzięczni za uznanie europejskich dążeń Ukrainy, ale czy uświadamia pan sobie, że włączając do rezolucji punkt o Banderze, częściowo zdewaluował pan treść innych ważnych zapisów tego dokumentu dla Ukrainy? Czy nie było by właściwsze omówić temat Bandery na ukraińsko-polskim poziomie, a nie wynosić go

na poziom europejski, co, właściwie, pan zrobił?

- To nie Europa stworzyła problem z nagrodzeniem Bandery. Dla nas nagrodzenie tego człowieka - to uznanie, że metody, którymi posługiwał się Bandera są możliwe do przyjęcia dla tych, którzy go nagradzali. To krytycznie ważny moment. Rozumiem, że takie idee i wcześniej były dosyć popularne na zachodniej Ukrainie, ale pan Juszczenko wyniósł tę sprawę na poziom ogólnoukraiński. Zatem, ona już nie może być tylko problemem między Polską i Ukrainą. Po nagrodzeniu Bandery mogliście zobaczyć wiele artykułów w różnych krajach świata, co pokazywało wielkie zaniepokojenie tą decyzją. To nie problem ukraińsko-polskich stosunków, to problem wartości.

My w Polsce swego czasu też zmierzaliśmy się z naszą przeszłością, przeprowadziliśmy, na przykład, wielką narodową dyskusję wokół Jedwabnego. To niezwykle ważne, aby każdy kraj, który życzy sobie zostać w przyszłości członkiem Unii Europejskiej przeprowadził taką krytyczną rewizję swojej historii.

Nie miałem zamiaru rozpoczynać historycznej dyskusji wokół tego – to powinni zrobić historycy. Ja chciałem tylko pokazać, i nie tylko ja, a cały Parlament Europejski, który przyjął większością głosów tę rezolucję, że wartości są ważne. I jeśli mówimy o integracji z Unią Europejską, to musimy mówić i o takich rzeczach. Przecież UE – to nie tylko europejskie standardy, prawo wspólnotowe czy biznes, to jeszcze wartości. Na tym właśnie polegał nasz sygnał. Rozumiem, zachodnia Ukraina uważa, że Bandera był bohaterem, który starał się uratować Ukrainę. Ale chciałem pokazać, że uznanie politycznych metod Bandery – a był on nie tylko teoretykiem, a i praktykiem - jest nie do przyjęcia dla Unii Europejskiej.

W ogóle nie powinniśmy koncentrować się na sprawie Bandery - to tylko jeden z punktów rezolucji. Chciałbym, aby Ukraińcy i ukraiński rząd koncentrowali się na reformach. My właściwie oczekiwaliśmy tych reform od poprzedniego rządu, ale to się nie stało. W kontekście reform gospodarczych, ostatnie pięć lat były dla Ukrainy stracone. A więc głównym sygnałem rezolucji było to, by zachęcić pana Janukowycza do współpracy z UE i realizacji potrzebnych reform.

- Zgadzam się z panem, że musimy skoncentrować się na reformach, ale jakiegokolwiek poważne reformy potrzebują konsolidacji społeczeństwa i elit. Jednak takie rzeczy, jak punkt o Banderze w pańskiej rezolucji i – jako jej skutek – decyzja Janukowycza o anulowaniu dekretu Juszczenki mogą tylko pogłębić rozłam w ukraińskim społeczeństwie. Czy będzie pan czuł się częściowo odpowiedzialny, jeśli od tego dojdzie?

- W moim przekonaniu, na Ukrainie świetnie wiedzą, o wiele lepiej niż ja, że w sprawach historycznych Ukraińcy są podzieleni między sobą, a nie przez kogoś. Nie ja i nie cały Parlament Europejski dzielą Ukrainę. Wszystko co Parlament Europejski powiedział z powodu Bandery świadczy o tym, że problem nie w tej postaci. On jest tylko symbolem - tak dla nas, jak i dla was. Przy uznawaniu terroru jako metody politycznej nikt może



zostać członkiem Unii Europejskiej. To po prostu niemożliwie. Uważam, że ta dyskusja jest niezwykle ważna dziś, bo nikt z Unii Europejskiej w poprzednich latach nie kładł nacisku na podobne sprawy, i dlatego, oczywiście, niektórzy Ukraińcy byli zdziwieni dlaczego raptem pojawił się temat, którego przedtem nikt w UE nie poruszał.

A ten temat powstał dziś chwilowo. Jesteśmy zobowiązani odnosić się do naszych partnerów poważnie. „Poważnie” oznacza, że Ukraina i inne kraje oczekują wiele od Unii Europejskiej. Ale to także oznacza, że Ukraina czy jakikolwiek inny kraj, który chce wstąpić do UE, powinien przyjąć europejskie wartości. Jednocześnie znow chciałbym podkreślić, że kwestia Bandery jest do pewnego stopnia odosobnionym problemem, bo dla większości Ukraińców najważniejsze jest to, by rząd i prezydent przeprowadzali udane reformy i uczynili wasz wielki kraj, wielki naród z wielkim potencjałem prawdziwie europejskim. I to zależy tylko od ukraińskiego narodu i od ukraińskiego rządu. Ta rezolucja jest o tym, co należy zrobić, by Ukraina została w przyszłości członkiem UE. I dlatego ten punkt o wartościach się w naszej rezolucji pojawił.

- To zrozumiałe, ale jak kontaktowałam się z niektórymi członkami Parlamentu Europejskiego, w szczególności z Niemcami, to oni przyznawali, że absolutnie nie wiedzieli o Banderze i zmuszeni byli przed samouczkowym głosowaniem szukać informacji o nim w Wikipedii. Ale nawet i informacja, którą znaleźli, nie przekonała ich do tego, że kwestia Bandery ma coś wspólnego ze sprawą wartości europejskich. Oni jednocześnie nie mogli się z panem nie zgodzić, że względu na niemiecki kontekst historyczny... Więc, widocznie, sprawa wartości w kontekście postaci Bandery nie już taka oczywista dla wszystkich w Unii Europejskiej?

- Moim zdaniem, kiedy mówimy o Ukrainie, trzeba być kompetentnym. Świetnie rozumiem, że poszczególni eurodeputowani są o wiele bardziej kompetentni w sprawach Afryki Północnej, niż Europy Wschodniej. W Parlamencie Europejskim pracuje więcej niż siedmiuset europarlamentarzystów, dlatego nie jestem zadowolony, że niektórzy z ich nie wiedzieli, co oznacza nadanie panu Banderze tytuł Bohatera Ukrainy. Są, wiadomo, deputowani Parlamentu Europejskiego, którzy nie wiedzą o jego działalności w latach II wojny światowej.

A dokładnie o tym, że do momentu ogłoszenia państwa ukraińskiego we Lwowie Bandera ściśle współpracował z nazistowskimi Niemcami, z czym historycy na Ukrainie nie mogą się pogodzić. Tak czy inaczej, prowadzenie dyskusji historycznej jest bardzo ważne, ale ja nie dążę do jej rozpoczęcia. Chcę jednak podkreślić, że ten punkt o wartościach jest bardzo ważny. Uwierzcie mi: terror – to nie jest wartość europejska.

- Czy wiadomo panu, że wiele osób na Ukrainie uważało sprzeczność między punktem 19. waszej rezolucji, gdzie znajdują się apele do sąsiednich krajów o niewtrącanie się w wewnętrzne sprawy Ukrainy i 20. gdzie napisano o konieczności rozwiązania decyzji odnośnie Bandery?

- Nie ma absolutnie żadnej sprzeczności między tymi dwoma punktami. Jeśli Ukraina chce być w UE, to powinna kierować się tymi wymogami odnośnie przestrzegania europejskich wartości, które musi wykonać każdy kraj z podobnymi zamiarami. Chciałbym przypomnieć pani wypadek z Austrią, kiedy do władzy doszła partia Haidera i jaka wrzawa z tego powodu podniosła się w Unii Europejskiej. Przez stosunek Haidera do imigrantów, Austria była na jakiś czas faktycznie wyłączona z wewnętrznego kierowania Unią Europejską. To tylko potwierdza, na ile ważna jest UE, kiedy chodzi o wartości.

- Ale to nie przeszkodziło członkowi partii Haidera - Benicie Ferrero-Waldner później zostać eurokomisarzem...

Tak, ale pani pewnie pamięta całą drogę, którą musiała przejść, by zostać członkiem Komisji Europejskiej. W trakcie tej drogi zmieniła swoje poglądy. To świadczy tylko o tym, że kiedy ktoś chce współpracować z Unią Europejską, to powinien przestrzegać wartości UE.

- Jeśli tak przejmuję się pan europejskimi wartościami, to czy planuje pan zainicjować rezolucję z dezaprobatą dla zachowań Stalina, na przykład? Czy na uroczystościach z okazji 65. rocznicy zakończenia II wojny światowej będziemy obserwowali obraz, jak europejscy politycy będą siadali pod podobiznami Stalina na Placu Czerwonym w Moskwie?

- Mogę powiedzieć, że naprawdę głęboko przejmuję się przekształcaniem Stalina w bohatera, przeciwieństwo wiemy, że to persona, którą można porównać z Adolfem Hitlerem w kwestii ucisku swojego i innych narodów. I rozumiem, że II wojna światowa była niezwykle dramatyczna dla mieszkańców Europy Wschodniej. I nie tylko Polaków, ale także Ukraińców, których mordowano i których wielka liczba zmarła w czasie tych wydarzeń.

Jednocześnie warto podkreślić, że w poprzednich latach było wiele prób przeprowadzenia pewnego porównania między nazizmem i stalinizmem, ale takie próby pokazywały, że we współczesnej Europie ten okres historii jest jeszcze za mało zrozumiany. I wierzę mi, my dobrze pamiętamy historię Ukrainy, w szczególności takie okropne jej strony, jak Wielki Głód. Razem z polskim Instytutem Pamięci Narodowej, na przykład, urządzamy wystawę o tym wydarzeniu i pokażemy ją naszym europejskim kolegom. Rosja ze Stalinem na sztafardach nie może się mierzyć z członkostwem w UE.

- Panie Zalewski, jak pan uważa, czy decyzja Janukowycza o rewizji dekretu Juszczenki odnośnie Bandery poprawi wizerunek ukraińskiego prezydenta w Polsce? Na ile taki krok ukraińskiego prezydenta może w ogóle zmienić jego odbiór wśród polskich elit i przeciętnych Polaków?

- Nie wydaje mi się, że to sprawa Polski, ale że to sprawa całego świata. To, co jest rzeczywiście ważne - to zacząć wewnętrzną dyskusję na Ukrainie, by zrozumieć, że problem wartości istnieje. Jeśli pana Janukowycza poprą w tej decyzji, to on uczyni Ukrainę bliższą Europie. Ale to, jak wiadomo, suwerenne prawo waszego kraju. Tak, my zademonstrowaliśmy, że wartości są ważne, ale każdy z nas sam decyduje, przestrzegać tych wartości czy nie.

Mogę tylko powiedzieć: jeśli Ukraina myśli o członkostwie w Unii Europejskiej, to powinna zrewidować rolę Bandery w historii oraz jego działalności. Każdy naród miał ludzi, które popełniali błędy. Wśród wielu narodów byli ludzie, którzy zabijali Żydów. I to co naprawdę ważne - to nie bronić takich ludzi. Uznanie własnej współodpowiedzialności za zbrodnię w Jedwabnem tylko wzmocniło naszą europejską tożsamość.

- W polskich kołach politycznych istnieje myśl, że zainicjował pan tę rezolucję, a szczególnie punkt o Stepanie Banderze po to, żeby wzmocnić swoją pozycję na europejskiej scenie politycznej i następnie zostać ministrem spraw zagranicznych Polski. Jak pan to skomentuje?

- To żart. Już dwa lata mamy świętego szefa MSZ, a ja do 2014 roku będę eurodeputowanym. Nawet moi wrogowie nie mogą zarzucić mi, że niby to wykorzystuję stosunki międzynarodowe z Ukrainą jako środek dla osiągnięcia innego celu. Nie zapominajcie proszę, że byłem tą osobą, i a propos młodą osobą, która po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości zainicjowała powołanie polsko-ukraińskiego grupy w polskim Sejmie. To była największa grupa w polskim parlamencie, która pracowała nad tym, by wzmocnić niepodległość Ukrainy i pomóc jej stać się skutecznym krajem. To była także idea, którą kierowałem się przez wiele, wiele lat. I jeśli wnoszę tego typu rezolucje do Parlamentu Europejskiego, to robię to przede wszystkim po to, by wesprzeć Ukrainę, nie pozwolić na rozpowszechnianie się nacjonalizmu i ksenofobii, a nie po to by uczynić coś przeciw niej.

Pragniemy, żeby Ukraina była gotowa na to, aby zostać członkiem Unii Europejskiej. Najważniejszą dla nas rzeczą było to, by Ukraina wzmocniła swoją państwowość. Wydaje mi się, że Ukraina jest zbyt duża, zbyt silna i zbyt ambitna, aby stać się przedmiotem czyjegokolwiek panowania. Prawda polega na tym, że Ukraina chce współpracować zarówno z Rosją, jak i z Unią Europejską, włączając Polskę. Ukraina dla nas – to podmiot, a nie przedmiot międzynarodowej polityki.

Rozmawiała
Olena Hetmańczuk
(Instytut Polityki Światowej)
źródło: Dzjerkało Tyżnia
Tłumaczenie: Tomasz Rola
(kresy.pl)

NOWA „WOJNA O POMNIKI” NA ZIEMI LWOWSKIEJ

KONSTANTY CZAWAGA

Tymczasowa komisja deputowanych lwowskiej rady obwodowej wniosła w program kolejnej sesji obwodowej projekt uchwały o 20 „nielegalnych” polskich pomnikach na terenie Ziemi Lwowskiej – poinformował środki masowego przekazu przewodniczący komisji Ostap Kozak, przedstawiciel ultranacjonalistycznej partii UNA-UNSO. Komisja ta została powołana po zniszczeniu przez nieznanych sprawców niesakcjonowanego przez władze samorządowe pomnika UPA na górze Chryszczata w Polsce.

Wśród „szkodliwych i obrażających godność Ukraińców” polskich pomników odnotowane są: miecz Szczerbiec na Cmentarzu Orłąt we Lwowie, pomnik ma miejscu zagłady polskiej wsi Huta Pieniacka gdzie w roku ubiegłym, w rocznicę tragedii odbyło się spotkanie prezydentów Ukrainy i Polski, memoriały poległym w czasie wojny polsko-ukraińskiej na cmentarzu Janowskim we Lwowie oraz pomniki w Busku, Zadwórzu, a także odnowione pomniki na zbiorowych mogiłach z września 1939 r. na lwowskich przedmieściach Hołosko, Zboiska, Malechów. Do „czarnej listy” deputowanych wniesiono też „niesakcjonowane polskie pomniki” w Stryju, Złoczowie, Jańskach, Lelechowce, Podkameniu i innych miejscowościach na terenie



obwodu lwowskiego. Naprzykład w Nyzach k/ Mostów Wielkich drażniącym dla komisji deputatów-nacjonalistów jest napis, że ustawiono go ku pamięci pomordowanym przez nacjonalistów ukraińskich. Ostap Kozak zaznaczył, że zadaniem Tymczasowej Komisji jest nie tylko ustalenie naruszeń prawa, lecz także dokonanie zmian w rejestrze, a następnie „doprowadzenie do stanu zgodnego z obowiązującym ustawodawstwem Ukrainy”. Komisja zwróciła się z odpowiednim podaniem do prokuratora i SBU (Służby Bezpieczeństwa Ukrainy) w obwodzie lwowskim.

Ostap Kozak oskarżył też konsulat generalny RP we Lwowie, przedstawicieli którego „bez uzgodnienia z władzami miejscowymi wznoszą po-

mniki, do których potem przyjeżdżają polskie delegacje”.

„Będziemy poruszać kwestię demontażu tych symboli, które są militarne” powiedział Oleg Pańkiewicz, deputowany do lwowskiej rady obwodowej z partii „Swoboda”. 28 lutego b.r. Pańkiewicz był jednym z organizatorów akcji nacjonalistów w Hucie Pieniackiej, gdzie odbywała się modlitwa ekumeniczna z udziałem delegacji z Polski. Pańkiewicz zaznaczył, że wszystkie nielegalnie ustawione przez Polaków pomniki na terytorium Ukrainy Zachodniej należy zdemontować. „Dziś w Polsce niszczone są ukraińskie mogiły. Być może, powinniśmy podejmować analogiczne kroki na Ukrainie” – cytuje słowa Olega

Pańkiewicza lwowska agencja informacyjna „zaxid.net”.

Wiadomość o tym, że lwowskie władze obwodowe chcą usunąć pomnik ku czci 64 polskich żołnierzy pochowanych na cmentarzu w Malechowie koło Lwowa, nieopodal miejscowego kościoła wywołało duże oburzenie parafian i mieszkańców wsi – powiedział dla „Kuriera” ks. Marian Skowryra, proboszcz parafii rzymskokatolickiej w Malechowie. Wśród mieszkańców wsi są wyznawcy obrządku rzymskokatolickiego, greckokatolickiego, a także prawosławni.

Ks. Skowryra przypomniał, że mieszkańcy Malechowa przez wiele lat pamiętali, że w ich ogrodach i na podwórkach byli pochowani żołnierze, którzy zginęli w 1939 roku. „Dopiero w 1993 roku za zezwoleniem miejscowych i wojewódzkich władz obwodu lwowskiego oficjalnie odbyła się ekshumacja zwłok i wszyscy żołnierze zostali pochowani na miejscowym cmentarzu” – przypomniał kapłan.

Do dziś Malechowianie wspominają, że pochowanie szczątków polskich żołnierzy odbyło się bardzo uroczysto, z udziałem duchowieństwa rzymskokatolickiego, greckokatolickiego i prawosławnego. Był też obecny ówczesny biskup połowy Wolska Polskiego - Sławoj Leszek Głódź, który przemawiał po polsku i po ukraińsku. W ceremonii żałobnej uczestniczyli też przedstawiciele władz ukraińskich.

Na malechowskim cmentarzu została wykonana zbiorowa mogiła. Pod wzniesionym na niej krzyżem jest płyta z nazwiskami żołnierzy, a na

niej widnieje napis, że tu spoczywa 64 żołnierzy, którzy zginęli na początku II wojny światowej w dniach od 1 do 19 września.

Podobnie wyglądają zbiorowe mogiły na przedmieściach Lwowa, na Zboiskach i na Hołosko. „Nie można uważać, że ta mogiła, która znajduje się tutaj w Malechowie jest mogiłą polityczną dlatego, że w czasie II wojny światowej, zwłaszcza w jej pierwszych dniach w obronie miasta brali udział wszyscy mieszkańcy Lwowa. Wiele narodowości mieszkało na terenie miasta i w jego okolicach. Ludzie stanęli wówczas w obronie Lwowa przed Niemcami, a z drugiej strony przed Rosjanami. Jak wiemy ci ostatni 20 września weszli do Lwowa. obrońcy miasta zasługują na to, żeby mieć swój godny pochówek i godną mogiłę” – mówi ks. Skowryra.

Kapłan podkreśla, że tam, gdzie są mogiły nie można ich niszczyć. „Za jakiś czas okaże się, że niewygodne są cmentarze, a komuś innemu przeszkadza świątynia. „Czy władze mają zamiar później burzyć także i kościoły, gdyż komuś nie podoba się dane wyznanie? Czy mają zamiar burzyć cmentarze, gdyż krzyże im przeszkadzają? – pyta ks. Skowryra.

Kapłan wskazał na przypadek ze swojej parafii. W Malechowie właściciele nowego hotelu zażądali, aby zasłonić krzyże na cmentarzu, gdyż do hotelu mają przyjechać „znaczący” goście. „W takim razie może dojść do takiego paradoksu, że zaczną się masowe dewastacje cmentarzy, gdyż będą one komuś przeszkadzać” – nie ukrywa oburzenia ks. Skowryra.

JAN WLOBART

Zjawisko, które pragnę przybliżyć czytelnikom, na Ukrainie jest jeszcze niedostrzegalne, jeżeli się pojawia, to z innych powodów społecznych, a także innego poziomu rozwoju gospodarczego, porównując je z krajami Unii Europejskiej. Bez wątplenia, proces który zostanie przedstawiony w tym artykule, będzie narastał w miarę umacniania struktur administracyjnych Ukrainy.

Szybki rozwój gospodarczy niesie ze sobą, bogacenie się społeczeństwa, a co za tym idzie – umacnianie się struktur gospodarczych oraz większą sprawność zarządzających państwem. Wzrost zamożności obywateli powoduje większe apetyty i aspiracje w konsumpcji owoców wzrostu gospodarczego kraju. Wszelkoczesna informatyzacja umożliwiła tworzenie różnych baz danych o obywatelach oraz ich przetwarzanie do celów niezbędnych i nie tylko. Struktury administracyjne każdego bez wyjątku kraju mają tendencję zbierania informacji o obywatelach na „zapas”. Ilość tych informacji, gromadzonych przez różne agendy państwa jest zależna od mechanizmów, zabezpieczających prawa obywatelskie w danym kraju. Regulą jest, że im większa świadomość obywateli oraz starsza demokracja, tym większa kontrola poczynań administracji, przez agendy pozarządowe oraz ustanowione prawo danego

WYKLUCZENI ZE SPOŁECZEŃSTWA

kraju. Tendencje, do tworzenia baz danych o obywatelach posiadają sądy, notariaty, urzędy celne, banki, struktury, zajmujące się obrotem gospodarczym – jak, sieci marketów i inne. Nie wspominam o ministerstwach spraw wewnętrznych czy rejestrach pojazdów.

Powyższe uwarunkowania powodują, że obywatel już dawno przestał być anonimową osobą w społeczeństwie i państwo w którym żyje przejęło nad nim pełną kontrolę jego poczynań i stanu posiadania materialnego, choć wielu ludzi, nie zdaje sobie z tego sprawy.

Aby przybliżyć poruszony temat posłużę się przykładem Polski, której realia są mi znane i praktycznie nie odbiegają od realiów innych krajów UE.

Jak wspominałem, naturalną skłonnością każdego człowieka jest zapewnienie sobie egzystencji w społeczeństwie na możliwie wysokim poziomie materialnym. O naszej ułomności może świadczyć fakt, że nie spotyka się ludzi którzy żalą się na nadmiar dóbr materialnych lub pieniędzy, dlatego też jesteśmy w ciągłej pogoni za tymi dobrami. Pomijam dyskomfort psychiczny, wynikający z ciągłego napięcia i zmęczenia, powstałego z szalonego tempa życia i szkody społeczne, które płaci społeczeństwo i jego następne pokolenia. Powyższe elementy mogą posłużyć na odrębny tekst i nie poruszam ich w tym artykule.

Polska, która niedawno przeszła transformację ustrojową, jest młodą

demokracją ze wszelkimi niedostatkami, wynikającymi z niedojrzałego mentalnie społeczeństwa, które dopiero uczy się życia w nowym systemie ekonomicznym. Polacy, szczególnie średniego i starszego pokolenia, nie do końca się adaptowali do nowych warunków życia, a przynajmniej wielu z nich. Myślenie tej grupy społeczeństwa ma wiele cech myślenia socjalistycznego i roszczeniowego. Typowe – „mi się należy od państwa”. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że zdani są na siebie, a państwo przestało w znacznej mierze troszczyć się o nich.

Nowa rzeczywistość oraz pokusy rozbudzone przez wszelkiego rodzaju akcje kredytowe, promocje, programy lojalnościowe itp. spowodowała, że wielu z nich nie zastanawiając się nad dalszymi konsekwencjami, korzystało i korzysta z możliwości odroczonego w płatnościach zakupu wszelkich dóbr materialnych, których nigdy nie posiadali, a zawsze chcieli mieć. W ten sposób, ludzie ci wpadli w zastawioną na nich pułapkę nieograniczonej konsumpcji. Jak wszystkim wiadomo, długi wcześniej czy później trzeba spłacić. W ten oto sposób, wielu chwilowo szczęśliwych posiadaczy, padło ofiarą własnej naiwności, zachłanności i nieroztropności.

W tym momencie rozpoczyna się ich dramat. Przysłóchni rozmiar zaciągniętych zobowiązań finansowych, stali się bezradni wobec sytuacji w której się znaleźli. Banki, leasingodawcy, sprzedawcy oraz inni

kredytodawcy, energicznie zaczynają domagać się spłaty zaciągniętych zobowiązań w trybie natychmiastowym. Szczególnie banki wielokrotnie nadużywając swojej pozycji, stawiają kredytobiorców w beznadziejnej sytuacji, zrywając natychmiastowo umowy kredytowe. Trzeba podkreślić, że w Polsce banki wywalczyły sobie uprzywilejowaną pozycję, która polega na tym, że bezzwłocznie wystawiają tytuł egzekucyjny dłużnikowi i sąd natychmiastowo udziela klauzulę wykonalności. Dalsza procedura – to komornik i licytacja wszystkiego, co pozostało za bezcen i oto szczęśliwy nie tak dawno posiadacz, z dnia na dzień staje się wykluczonym społecznie jednostką, wielokrotnie bez dachu nad głową.

Przedstawiona powyżej procedura odzyskiwania należności, staje się polem do nadużyć na szkodę dłużnika. Dla przykładu, na przełomie roku 2009/2010 na Śląsku w miastach takich jak Gliwice, Zabrze, Żory sąd skazał pięciu komorników za prowadzone działania na szkodę dłużników. Przedstawione sytuacje są wierzchołkiem góry lodowej, nawet trudnym do oceny wielkości tego zjawiska. Przedstawiona sytuacja ociera się o patologię społeczną, ponieważ dłużnik nie jest w stanie posiadać żadnego majątku w postaci nieruchomości, samochodu, konta bankowego lub innych praw majątkowych, ponieważ wszystkie jego aktywa są odnotowane w centralnych rejestrach

i wszyscy egzekutorzy mają do nich dostęp. W takiej sytuacji dłużnik nie jest w stanie egzystować, a w wielu wypadkach wegetować. Dłużnicy przestają być w obiegu społecznym ponieważ nie są w stanie spłacać swoich długów, nie płacą podatków, składek emerytalnych, ubezpieczenia zdrowotnego. Aby żyć, pracują w szarej sferze gospodarki „na czarno”. W Polsce szacuje się że około 25% rynku pracy zasilana jest przez ludzi pracujących na czarno. Osobnym tematem na inny artykuł jest obrót gospodarczy w Polsce, w którym też nie brakuje patologii, w znacznym stopniu wymuszonym przez państwo w postaci ułomnego prawa i restrykcji administracji.

Naszczekowana sytuacja w tym materiale, o dziwo nie jest tematem dyskutowanym przez polityków, którzy jak można się domyśleć, obserwując działania na przykład, parlamentu go nie widzą.

Znając realia w kraju, wiem, że problem ten będzie narastał spotęgowany spowolnieniem gospodarki. Przedstawiony powyżej problem wymaga systemowego rozwiązania przez polityków, ponieważ nie da się go przemilczeć, a koszty społeczne mogą być jeszcze większe niż obecnie. Szczęśliwym pomoc społeczną państwa jest tylko maskowaniem problemu. Rozwiązanie go leży w interesie wszystkich zainteresowanych.

CHRZANÓW TRIUMFUJE

HALINA PŁUGATOR tekst
NATALIA KOSTYK zdjęcia

Izba Gospodarcza w Chrzanowie została nazwana „Dobroczyńcą Roku 2009”. Stało się to podczas tradycyjnej już ceremonii „Triumf”, czyli fetowania liderów postępu gospodarczego.

„Przedstawiciele naszego miasta siostrzanego otrzymują to wysokie odznaczenie za to, że podczas powodzi w roku 2008, a także w trakcie epidemii grypy w roku 2009 władze i przedsiębiorcy nie pozostawili nas samych w nieszczęściu i pomogli, przekazując niemałe sumy pieniędzy”, – opowiada „Kurierowi Galicyjskiemu” Wiktor Anuszkiewicz, mer miasta Stanisławowa. – Nawet po ustaniu epidemii biznesmeni Chrzanowa nie przestali nas wspierać, a kontynuowali zbiórkę pieniędzy na zakup sprzętu medycznego dla dziecięcego obwodowego szpitala klinicznego na Przykarpaciu”.

„O tym, co mamy robić, powiedziało nam serce. Dla dzieci nigdy nie żał pieniędzy, – zaznaczył, odbierając nagrodę, Stefan Adamczyk, Prezydent Izby Gospodarczej Chrzanowa. Natomiast zwracając się do przedsiębiorców w Stanisławowie, dodał: Jeżeli chcemy, żeby między naszymi krajami zniknęły wizy i otwały się granice, musimy rozpocząć od rozwoju gospodarki lokalnej, wspierania przedsiębiorców, bowiem tworzenie biznesu – to ciężka praca”.

„Mieliśmy wątpliwości, czy zorganizować „Triumf” w tym roku, – powiedział Jarosław Jacyszyn, zastępca mera miasta d.s. gospodarczych. – Kryzys w gospodarce trwa, budżet na rok 2010 dotychczas nie został uchwalony. A jednak, władze miasta zdecydowały: „Triumf” ma być! Praca wszystkich przedsię-



Przedstawiciele z Chrzanowa. Stefan Adamczyk – prezes Chrzanowskiej Izby Gospodarczej (po środku)



Występ w przerwie pomiędzy wręczeniem nagród

biorstw Stanisławowa sprawiła, że pozostały bez zmian kryteria rozwoju gospodarczego oraz praktycznie nie ma zadłużenia budżetowego za ubiegły rok”.

Nominowanych i zwycięzców wyłaniano z udziałem Rady Dyrektorów wielkich przedsiębiorstw, powołanej przy Merze Miasta oraz z udziałem Rady Przedsiębiorców. Były trzy podstawowe kryteria wyboru przedsiębiorców: osiągnięcie dochodu z działalności w 2009 roku, brak zadłużenia wobec budżetu oraz brak zadłużenia w wypłaceniu wynagrodzenia za pracę. Uwzględniano również dane statystyczne, dotyczące działalności przedsiębiorstw miasta.

W trakcie konkursu surowe jury, składające się z ekspertów, wyłaniało najlepsze przedsiębiorstwa w



Stefan Adamczyk z nagrodą „Triumf – 2009”

11 nominacjach. Z powodu kryzysu nie nominowano nikogo w kategorii „Najlepsze przedsiębiorstwo budowlane”, ponieważ na razie w tej dziedzinie są widoczne problemy. Nowością było uhonorowanie małego przedsiębiorstwa, wszak w Stanisławowie działa najwięcej w całej Ukrainie małych przedsiębiorstw w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców. Trzeba było uhonorować tych, którzy dokładają nawet małą część pracy dla rozwoju gospodarki miejskiej, tworzą nowe miejsca pracy, a nawet są w stanie eksportować swą produkcję.

Nagrodzonych zdopinguje do dalszej pracy także to, że informacja o ich przedsiębiorstwach zostanie umieszczona na reprezentacyjnych płytach CD, które zostaną rozesłane do wszystkich miast siostrzanych i partnerskich. Dzięki temu obcokrajowcy z pewnością lepiej poznają gospodarkę ukraińską i znajdą nowych partnerów handlowych. Wszystkie informacje o zwycięzcach zostaną umieszczone w folderach informacyjnych oraz na billboardach.

DO KRAKOWA – PO DOŚWIADCZENIE I TURYSTÓW

HALINA PŁUGATOR

Wdrażanie kapitału europejskiego do zarządzania terytorialnego – oto jaki był cel pobytu Administracji Obwodowej Ziemi Stanisławowskiej w województwie małopolskim RP.

„Chodziło nam głównie o zaczerpnięcie doświadczenia kolegów z Polski w dziedzinie gospodarki i turystyki. Województwo małopolskie – ze względu na położenie geograficzne oraz powiązania ekonomiczno-handlowe – jest bardzo podobne do Przykarpacia, – powiedział „Kurierowi Galicyjskiemu” Taras Parfan, zastępca przewodniczącego Administracji Obwodowej na Ziemi Stanisławowskiej. – Polacy mają dobre doświadczenie w zakresie wdrażania inwestycji zagranicznych. Sąsiedzi potrafią wykorzystać dotacje europejskie, dlaczego my nie możemy przejąć od nich tej umiejętności?”

W województwie małopolskim najlepiej rozwinięte są następujące sektory gospodarki: turystyka, rolnictwo, biznes mały i średni. Myślę, że największe perspektywy ma współpraca w dziedzinie turystyki, – kontynuuje pan Parfan. – Od dwudziestu lat w województwie małopolskim działa Doradca Rada Turystyczna, która propaguje wiedzę w zakresie tworzenia gospodarstw agroturystycznych, ich porządkowania, perspektyw rozwoju. Statystyki świadczą o tym, iż w ubiegłym roku w Krakowie było ponad 11 milionów turystów, natomiast Ziemię Stanisławowską odwiedziło zaledwie milion”.

Aby pozyskać doświadczenie w dziedzinie turystyki, władze Przykarpacia spotykały się w Krakowie ze znanymi operatorami turystycznymi, agentami turystycznymi oraz przedstawicielami biznesu turystycznego w Polsce. Prezentowany był także potencjał turystyczny Ziemi Stanisławowskiej. Zostały omówione możli-

wości napisania wspólnego podania projektowego w zakresie odnowienia i utrzymania w odpowiednim stanie budowli architektury drewnianej. Projekt ten jest już realizowany w Polsce. Na Ziemi Stanisławowskiej ma powstać trasa turystyczna „Architektura drewniana Przykarpacia”. Będzie w tym uczestniczyła strona polska, a także słowacka.

Kolejna innowacja dotyczy oznakowania pieszych tras turystycznych, wyprodukowania map turystycznych o dużej skali oraz otwarcia na Ziemi Stanisławowskiej szkoły, przygotowującej przewodników. Ma ona powstać w oparciu o taką szkołę w Polsce. Tam taka działalność gospodarcza od dawna ma licencję; działalność przewodników odpowiada standardom turystycznym, jednocześnie ponoszą oni odpowiedzialność za oprowadzane grupy turystów. Była także mowa o stażach studentów ukraińskich w hotelach w Polsce. Została omówiona sprawa połączeń

międzynarodowych. Na Ziemi Stanisławowskiej trwają prace nad uruchomieniem ruchu autobusowego relacji Kołomyja-Kraków oraz linii lotniczej, która połączy Stanisławów z Krakowem.

W dniach 10-12 kwietnia Przykarpacie będzie uczestniczyło w Targach Turystycznych „Salon Krakowski”. Będzie to jeden z pierwszych kroków do popularyzacji turystyki Ziemi Stanisławowskiej na terenie województwa małopolskiego. Jednym z najważniejszych czynników jest to, że Kraków po raz pierwszy zaprezentuje Ziemię Stanisławowską jako partnera. Pan Parfan uważa, że jest to bezprecedensowy krok partnerów polskich, którzy wzięli na siebie wszystkie wydatki strony ukraińskiej.

W Krakowie Ziemia Stanisławowska ma pokazać przewagę swoich centrów turystycznych. „Ma to zachęcać turystów polskich do pokonywania takich przeszkód jak

np. granice i inne – z czym Polacy się nie stykają, udając się na wczasy do Austrii czy Włoch”, – zaznacza Taras Parfan. Przekonuje, że potencjalny inwestor jest na Ziemi Stanisławowskiej postrzegany najpierw jako turysta, który powinien przyjechać, by zobaczyć tę krainę. Potem, być może, będzie chciał inwestować swoje pieniądze w projekty ukraińskie.

Jeśli chodzi o plany na przyszłość, to na maj został zaplanowany przyjazd delegacji polskiej na spotkanie z firmami ukraińskimi. W tym roku trzech pracowników Administracji Obwodowej Ziemi Stanisławowskiej będzie odbywało staż w urzędach województwa małopolskiego. Będą wspólnie działały Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie oraz Archiwum Państwowe Ziemi Stanisławowskiej. Na jesieni 2010 roku zostanie podpisana umowa o współpracy.

CO Z PORADNIĄ MEDYCZNĄ DLA POLAKÓW WE LWOWIE?

Rozmawiała i spisała
MARIA BASZA

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie, które działa od 1991 roku, dotychczas nie posiada własnego lokum, w którym mieściłaby się poradnia medyczna, działająca na warunkach społecznych. Lekarze chcą się udzielać w niesieniu bezinteresownej posługi naszym chorym rodakom. Obecnie rolę takiej poradni pełni sala spotkań w siedzibie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, przy Rynku pod numerem 17. Czy ośrodek zdrowia, w którym można byłoby otrzymać fachową pomoc medyczną jest potrzebny naszym rodakom we Lwowie? Czy jest szansa na jego powstanie?

31 lipca 2001 r. w „Gazecie Lwowskiej” ukazał się wywiad Konstantego Czawagi z prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie, panią docent dr nauk medycznych Ewelina Hrycaj-Małańcz. „Stowarzyszenie zostało założone w 1991 roku, przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej przez grupę lekarzy, którzy odczuli potrzebę zintegrowania swoich umysłów i serc dla zachowania tożsamości narodowej i służenia pomocą swoim rodakom. Pierwsze zebranie Stowarzyszenia odbyło się 13 maja 1991 roku. Było na nim obecnych 11 lekarzy, którzy wybrali pierwszy zarząd i zatwierdzili główne cele i postulaty organizacji. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został **doktor Adam Kokodyński**, który pełnił tę funkcję przez cztery lata. Od października 1994 roku prezesem Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie jest **docent doktor nauk medycznych Ewelina Hrycaj-Małańcz** – pisała „Gazeta Lwowska”.

Pani prezes opowiedziała Konstantemu Czawadze o celu i działalności tej organizacji: „Nasze Stowarzyszenie założyliśmy w celu integracji lekarzy-Polaków, zamieszkałych we Lwowie i w obwodzie lwowskim, a także w celu nawiązania kontaktów koleżeńskich i naukowo-zawodowych z Polskim Towarzystwem Lekarskim i innymi organizacjami medycznymi w Polsce i poza jej granicami. Jest to medyczna organizacja społeczna, charytatywna i apolityczna. Obecnie (2001 r.) Stowarzyszenie liczy 50 lekarzy. Wszyscy lekarze Stowarzyszenia zostali wykształceni w dawnym ZSRR, większość ukończyła, w różnych latach nasz wsparty Lwowski Instytut Medyczny. Posiadamy różne specjalizacje, niektórzy lekarze pracują w administracji

szpitali. W swojej działalności wiele uwagi poświęcamy poznawaniu i rozpowszechnianiu sławnej historii naszych przodków – wybitnych lwowskich lekarzy i uczonych-medyków. Wśród społeczeństwa prowadzimy szeroką działalność sanitarno-oświatową. Są to wykłady dla młodzieży szkół polskich we Lwowie, słuchaczy polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Jednak głównym zadaniem Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie jest otaczanie bezpłatną opieką medyczną Rodaków. Większość z nich – to ludzie starsi, samotni, chorzy i ubodzy. Od 1993 roku regularnie wydajemy chorym bezpłatnie leki i środki opatrunkowe, tak bardzo im potrzebne, pochodzące przeważnie z polskich darów.

Niestety, Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie dotychczas nie posiada własnego lokalu i nie może go zdobyć ze względu na brak jakichkolwiek funduszy. Swoją działalność prowadzimy w siedzibie TKPZL, która jest niewystarczająca nawet dla jego potrzeb. Naturalnie, bardzo to utrudnia i ogranicza możliwość okazywania charytatywnej pomocy medycznej społeczności polskiej. Zwracaliśmy się niejednokrotnie z apelami o pomoc finansową do różnych instytucji i środowisk, ale na razie, niestety, bez rezultatu”.

Konsul Ryszard Klemm, kierownik Wydziału Polonijnego w Konsulacie Generalnym RP we Lwowie w wywiadzie dla „Gazety Lwowskiej” (27.03.2005 r.) powiedział: „Bardzo ważną inicjatywą, podjętą we współdziałaniu z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL), jest otwarcie poradni medycznej, w której lekarze pochodzenia polskiego będą się spotykali z pacjentami, udzielali porad. TKPZL zadeklarowało lokal, przy naszej współpracy staramy się teraz o pieniądze na jego remont i wyposażenie. Moim zdaniem, jest to bardzo ważna sprawa”.

Luty, 2010

Jak wygląda obecnie sprawa poradni, która miałaby udzielać pomocy Polakom, zamieszkałym we Lwowie? Czy taki ośrodek jest obecnie potrzebny? Gdzie powinien powstać? W tej sprawie został przeprowadzony sondaż w środowisku polskim we Lwowie przez dziennikarzy „Kuriera Galicyjskiego”.

Co o tym myśli **prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie Emilia Chmielowa**? „Przez wiele lat toczy się dyskusja na temat konieczności centrum medycznego przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Jeżeli jest taka możliwość, trzeba takie centrum medyczne, raczej centrum diagnostyczne otworzyć. Lekarzy – Polaków we Lwowie jest dostateczna liczba, każdy z nich



Docent doktor nauk medycznych Ewelina Hrycaj-Małańcz – prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie

poświęciłby godzinę, dwie godziny w tygodniu aby ofiarować swoją pomoc chorym rodakom. Obojętnie gdzie, pod jakim adresem, ale takie centrum powinno w końcu zaistnieć. Jeżeli chodzi o lokalizację – musiałoby to być na parterze. To, co miałyby powstać, musiałoby być czymś z prawdziwego zdarzenia, żeby nie pokazywano palcami, że pracują tam osoby niekompetentne. Wiem, że bardzo dużo osób czeka na taki ośrodek medyczny”.

Emerytowany inżynier, stały czytelnik „Kuriera Galicyjskiego” **Stanisław Maldziński** powiedział: „Potrzebujemy poradni medycznej, aby się można było konsultować do jakiego lekarza pójść, aby spotkać się z lekarzem pierwszego kontaktu. Pani Ewelina Hrycaj-Małańcz posiada tytuł docenta, jest specjalistką od chorób sercowych. Może odczytać elektrokardiogram, może udzielić konsultacji, przeczytać receptę. Pani doktor wydaje bezpłatnie lekarstwa. Leki te są dostarczane z Polski, również konsul RP we Lwowie wydziela fundusze na zakup lekarstw. Obecnie, w każdy wtorek pani Ewelina przyjmuje pacjentów w sali zebrań, w siedzibie TKPZL, przy Rynku 17. Nie jest to odpowiednie miejsce na gabinet lekarski. Jest tam bardzo zimno, po za tym, lekarz może przyjmować chorych dopiero po godz. 17. Dyżurujący przedstawiciele zarządu Towarzystwa o tej porze już przygotowują się do wyjścia. Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie przekazała nam aparaturę medyczną, z której nie możemy korzystać. Gdyby było odpowiednie pomieszczenie, można byłoby poszerzyć zakres działania poradnictwa medycznego. Na przykład: zrobić elektrokardiogram, badania poziomu cukru w krwi. Gdyby były odpowiednie warunki, także inni lekarze, którzy należą do Stowarzyszenia Lekarzy Polskich mogliby pełnić dyżury i przyjmować chorych. Mogłoby się to odbywać w pomieszczeniu przy ul. Dekarta (Descartesa) 24. Jest to mieszkanie, które pani Halina Baran, wyjeżdżając do Polski, przekazała dla potrzeb TKPZL. Został sporządzony akt notarialny na nazwisko Emila



Lekarze lwowscy uczestniczą w kongresie Światowej Federacji Polonijnych Organizacji Medycznych

Legowicza. Jest to pokój z kuchnią. Remont pomieszczenia pomógł zrobić konsul, Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie wydzieliła pieniądze na zakup mebli. Niestety, zarząd TKPZL nie udostępni lekarzom tego pomieszczenia”.

Stanisław Durys – kierownik młodzieżowo-dziecięcego zespołu tanecznego „Lwowiacy”: „Jeżeli chodzi o pomieszczenie przy ul. Dekarta, tą sprawą powinny się zająć podmioty z Polski, które sfinansowały remont tego lokum, czyli Senat. Trzeba aby dokonano odpowiedniej kontroli. Centrum medyczne mogłoby powstać również przy jakiejś przychodni lub szpitalu”.

Leon Tychowski: „Od dłuższego czasu niedomagam z powodu choroby wieńcowej. Fachowej opieki udziela mi pani dr Ewelina Małańcz. Niestety warunki, w których przyjmowani są chorzy są znikome. Można jedynie pomierzyć ciśnienie tętnicze, otrzymać jakieś lekarstwa. Dobrze by było, gdyby było jakieś pomieszczenie, w którym można by postawić kuszetkę i skorzystać z pomocy innych specjalistów”.

„Jestem osobą chorą onkologicznie. Powinnam od czasu do czasu korzystać ze specjalistycznej porady medycznej. Jest nam, Polakom we Lwowie bardzo potrzebna poradnia, w której udzielano by pomocy na zasadach społecznych. Dobrze byłoby ją zorganizować przy szpitalu lub przychodni, aby była możliwość wykonania innych dodatkowych badań, zrobienia na przykład, prześwietlenia” – powiedziała **pani Stefania Łabaziewicz**.

Pani Janina Zamojska: „Zachwycona jestem pomysłem ażeby stworzyć izbę lekarską, znaleźć miejsce na pomieszczenia, w którym ludzie mogliby o wyznaczonych dniach i godzinach szukać porady. To jest jedna strona medalu. A druga – ażeby lekarze, zrzeszeni w tej grupie, mogli chodzić również do domów, w których mieszkają chorzy. To jest bardzo ważne! Bo mamy bardzo dużo chorych, którzy nie dotrą na własnych nogach do tej poradni lekarskiej, która miałaby powstać”.

Emerytowany lekarz **Maria Grzegocka** uważa, iż poradnia, w której można byłoby otrzymać fachową pomoc medyczną jest we Lwowie bardzo potrzebna: „Jest dużo osób chorych, ich warunki materialne są bardzo ciężkie, a lekarstwa są bardzo drogie”.

„Pomoc medyczna jest nam bardzo potrzebna, ludzie naprawdę jej potrzebują” – mówi **pielęgniarka Aniela Sidorska**.

Pani Zofia Kosydor: „Społeczna poradnia medyczna jest konieczna, podpisuje się pod tym oboma rękoma. Jestem za tym, aby porady medyczne udzielał nie tylko jeden lekarz, jak to jest obecnie. Chciałabym zaproponować, aby taki gabinet lekarski mieścił się przy jakimś szpitalu lub przychodni. Lekarz, który obecnie przyjmuje przy TKPZL nie wypisuje recept, więc znów muszę iść do lekarza, przyjmującego w przychodni i zaczynać wszystko od początku. Dziękujemy naszym darczyńcom w Polsce za lekarstwa, które nam przysyłają, które możemy otrzymać tutaj bezpłatnie”.

Reasumując niejako wypowiedzi naszych rodaków, zamieszkałych we Lwowie, rozmawiamy z panią prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie, docent doktor nauk medycznych Lwowskiego Uniwersytetu Medycznego, lekarzem pierwszej kategorii – Ewelina Hrycaj-Małańcz:

„Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie jest członkiem Światowej Federacji Polonijnych Organizacji Medycznych. Stowarzyszenie działa intensywnie i systematycznie, według przyjętego statutu. Jednym z głównych naszych zadań jest niesienie charytatywnej pomocy medycznej ludności polskiej, zamieszkałej w obwodzie lwowskim, a przede wszystkim w mieście Lwowie. Pomocy tej nie odmawiamy nikomu, kto się do nas zwraca. W tym kierunku działamy już 19 lat. W następnym roku będziemy obchodzili 20-lecie istnienia naszej organizacji.

Niestety, z niesieniem tej pomocy stale mamy bardzo wielkie kłopoty. Nie posiadamy żadnego

pomieszczenia, w którym mogliśmy prowadzić tę działalność. A mogliśmy rzeczywiście ją rozwinąć bardzo szeroko, gdyż w naszym Stowarzyszeniu zrzeszamy ponad 50 lekarzy o różnych specjalizacjach. Są to osoby, które chciałyby się udzielać w niesieniu bezinteresownej posługi naszym chorym.

Obecnie, co wtorku, w pomieszczeniu (TKPZL), w jedynej sali, która służy do różnorodnych spotkań, odbywają się również spotkania z naszymi chorymi. Pomieszczenie jest słabo ogrzewane, ludzie nie mogą się nawet rozebrać. Tam prowadzimy rozmowy z pacjentami, jeżeli posiadamy lekarstwa, które otrzymujemy od naszych darczyńców, leki, które są uznawane na Ukrainie, wydajemy tym ludziom.

Naszymi pacjentami są przeważnie osoby starsze, emeryci, którzy są ludźmi ubogimi. Leki są bardzo drogie, nieraz cena lekarstwa równa się wysokości emerytury. Więc, nasza pomoc, którą okazujemy i w jeszcze większym zakresie mogliśmy okazać jest tym osobom niezbędna. O tym świadczy fakt, że każdego wtorku zwraca się do nas od 12 do 15 osób. Przyszłoby zapewne, jeszcze więcej osób, ale mamy ograniczone godziny przyjęć. Nie mamy możliwości przyjmowania naszych pacjentów w każdy wtorek, gdyż w tej sali odbywają się także inne imprezy. Są dni świąteczne i siedziba TKPZL jest zamknięta. Nie posiadamy odpowiednich warunków do przyjmowania chorych. Bardzo jest nam potrzebne pomieszczenie, jakieś lokum, w którym mogliśmy udzielać pomocy medycznej. Chciałabym podkreślić, że nie chcemy i nie możemy zastąpić przychodni medycznej, a tym bardziej szpitala. Miałaby to być jedynie poradnia medyczna. Często się zdarza, że osoba, która była u lekarza w przychodni, nie zrozumiała poleceń lekarza, albo lekarz nic konkretnego jej nie powiedział, wówczas taka osoba przychodzi do nas, aby się poradzić.

Mając odpowiedni lokal, w którym spotykaliśmy się z pacjentami, mogliśmy nie tylko udzielać porad medycznych, nie tylko mogliśmy badać osoby chore, nie tylko mogliśmy bezpłatnie wydawać im leki, posiadamy również specjalistyczne urządzenia do robienia badań. Dysponujemy bardzo dobrym elektrokardiogramem, mogliśmy robić badania poziomu glukozy we krwi i robić jeszcze wiele innych rzeczy. Jeszcze raz powtarzam, nie posiadamy pomieszczenia, w którym mogliśmy to robić.

Przez wiele lat intensywnie starałam się o zdobycie jakiegoś lokalu. Zwracałam się do wszystkich możliwych instancji, do wszystkich konsuli generalnych RP, którzy pracowali we Lwowie. Niejednokrotnie była u nas telewizja z Rzeszowa, dziennikarze rozmawiali, zarówno z naszymi lekarzami, jak i z pacjentami. Zwracaliśmy się do Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, do Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie. Niby wszyscy chcieli nam pomóc, ale dotychczas nic się nie zmieniło.

Przed kilkoma laty dowiedzieliśmy się, że TKPZL posiada lokal

przy ul. Dekarta. Jest to jednopokojowe mieszkanie, posiada dwa pomieszczenia – pokój i kuchnię. Jest ulokowane na parterze. Ponieważ nie posiadamy żadnych lepszych propozycji, to lokum mogłoby pełnić funkcję poradni. Mieszkanie to ofiarowała TKPZL lwowianka pani Halina Baran, która wyjechała do Polski. Matka jej była przez kilka lat naszą pacjentką.

Chęć pomocy naszemu Stowarzyszeniu zadeklarowała Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie poprzez sfinansowanie remontu mieszkania przy ul. Dekarta. Remont został zrobiony. Chyba od dziesięciu lat to mieszkanie jest własnością TKPZL, ale nie służy interesom członków Towarzystwa Kultury Polskiej.

My, lekarze, mamy bardzo ograniczone możliwości spotykania się zarówno z pacjentami, jak i spotykania się ze sobą. Nie możemy się spotkać zarówno w celu wymiany doświadczeń, jak i towarzysko. Dowodem tego, jak małe mamy możliwości okazywania bezinteresownej pomocy naszej ludności, może posłużyć sytuacja, która miała miejsce podczas epidemii grypy na Ukrainie. Był to czas, kiedy każdy lekarz powinien był nieść pomoc innym, w miarę własnych możliwości. Siedziba TKPZL przez cały czas epidemii była zamknięta i myśmy nie mieli możliwości jakiegokolwiek kontaktu z pacjentami. Mało tego, Polska ofiarowała dla nas zarówno środki farmaceutyczne, jak i środki czystości dla Polaków. Niestety, Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie nie otrzymało ani jednego opakowania aspiryny, czy rutinoscorbinu, ani jakiegokolwiek innego środka, nie dotarła do nas ani jedna maska. Wiemy, że środki te były rozdawane przez inne organizacje. Jako lekarz, uważam, że lekarstwa nie mogą rozdawać inni ludzie, lecz tylko powołani do tego specjaliści.

Boli nas to, że tak wygląda sytuacja z lokalem we Lwowie. Boli nas to, że inne organizacje polskie, nie tylko, że nie pomagają nam, ale na odwrót – przeszkadzają w realizacji naszego celu. Boli nas to, że nie możemy dbać należycie o nasze starsze pokolenie, o ludzi, którzy pozostali na tych ziemiach, którzy przyczyniają się do krzewienia kultury polskiej. Nie możemy naśladować innych mniejszości narodowych w niesieniu pomocy charytatywnej dla swoich emerytów. Jak, na przykład, robią to stowarzyszenia żydowskie, gdzie każdy człowiek jest objęty troską, opieką i pomocą lekarską, gdzie każdy pacjent może otrzymać potrzebne mu leki. Niestety, nie mamy w tym sprzymierzeńców, którzy by nam pomogli działać w ten sposób.

Ponad 70 osób wypowiedziało się za powstaniem społecznego, charytatywnego ośrodka medycznego we Lwowie, w którym mogliby się udzielać specjaliści ze Stowarzyszenia Lekarzy Polskich. Niestety, największym problemem jest brak odpowiedniego lokalu, który mógłby pełnić rolę poradni medycznej.

Zapytany przez dziennikarza KG, prezes TKPZL Emil Legowicz wstrzymał się od komentarza na temat poradni medycznej.

ZESPÓŁ PARLAMENTARNY NA RZECZ PRZYJAZNEGO SĄSIEDZTWA NA WSCHODZIE

Dnia 18 lutego 2010 r. zaanaguirował swoje prace Zespół Parlamentarny na rzecz Przyjaznego Sąsiedztwa na Wschodzie, stawiający sobie za cel m.in. upowszechnianie idei przyjaznego sąsiedztwa między narodami mieszkającymi za wschodnią granicą Polski oraz przyczynianie się do poprawy sytuacji Polaków w tych krajach.

W skład Zespołu, powstałego z inicjatywy posłów Prawa i Sprawiedliwości, weszli również parlamentarzyści Platformy Obywatelskiej, Polski Plus oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jego przewodniczącym wybrano posła Artura Górskiego (PiS), wiceprzewodniczącymi: posła Tadeusza Sławackiego (PSL), posła Jacka Żalka (PO) i posła Jarosława Sellina (Polska Plus), zaś sekretarzem posła Marię Nowak (PiS). „Zespół parlamentarny ma być kolejnym narzędziem do

wspierania Polaków, mieszkających na Kresach, za wschodnią granicą Rzeczypospolitej, stąd nazwa *na wschodzie*” – mówi Kresom.pl jego przewodniczący, poseł Artur Górski. Wsparcie to, zdaniem posła, oprócz form tradycyjnych, politycznych i ekonomicznych, ma przejawiać się także w promocji kultury polskich Kresów na terenie obecnej Polski. W tym też celu parlamentarzyści zaprosili na początek maja do Polski zespół „Solczanka” z gimnazjum im. Śniadeckiego w Solczkach, który prawdopodobnie 5 maja wystąpi także w Sejmie RP.

„Chcemy również, co jest też pewnym novum, w ramach promocji idei przyjaznego sąsiedztwa pokazywać tych Litwinów, Białorusinów, czy Ukraińców, którzy są żywymi dla Polaków i którzy Polaków wspierają. Nie wykluczam, że będą również wnioski o odznaczenia ze strony prezydenta Rzeczypospolitej dla tych przedstawicieli innych narodów, którzy bardzo blisko współpracują z Po-

lakami, przyjął się z nimi i szanując ich dorobek, ale także całe dziedzictwo Polski na Kresach Wschodnich” – mówi Artur Górski.

„Chcemy pokazać, że nie jest naszym celem i celem Polaków antagonyzowanie, ale, by tak jak za czasów Pierwszej Rzeczypospolitej, narody żyły obok siebie w przyjaźni, wzajemnym szacunku oraz poszanowaniu swoich praw i dorobku” – dodaje poseł.

Zespół chce także wspierać rząd i inne instytucje, podejmujące działania na arenie międzynarodowej na rzecz poprawy sytuacji Polaków, mieszkających na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, organizować wydarzenia o charakterze kulturalnym i edukacyjnym, konferencje popularno-naukowe, a także współpracować z mediami i organizacjami zajmującymi się podobną problematyką oraz prowadzić działalność charytatywną na rzecz Polaków, mieszkających na Wschodzie.

Kresy.pl

Katolicy w Czerniowcach odzyskali kościół

KONSTANTY CZAWAGA

W połowie lutego, na mocy uchwały czerniowieckiej rady obwodowej Kościół rzymskokatolicki odzyskał po latach świątynię Najświętszego Serca Jezusowego w Czerniowcach. Do niedawna w świątyni znajdowało się obwodowe archiwum państwowe.

„Cieszę się bardzo, że po tylu latach tak duże miasto będzie miało drugą parafię rzymskokatolicką – powiedział dla „Kuriera” metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki. Zaznaczył, że w najbliższym czasie zostanie tam erygowana parafia, którą będą prowadzić jezuiti”.

Wierni obrządku łacińskiego od lat domagali się od miejscowych władz zwrotu kościoła Najświętszego Serca Jezusowego. W tej dzielnicy mieszka wiele osób starszych, rodzin z małymi dziećmi oraz studentów, którzy przyjeżdżają do Czerniowców na studia z katolickich parafii Bukowiny i Podola. Ponieważ dyrekcja archiwum nawet nie udostępniła świątyni wspólnocie katolickiej, zmuszona ona była gromadzić się na nabożeństwa i spotkania w mieszkaniach prywatnych. Ostatnio deputowani obwodu czerniowieckiego przegłosowali, żeby zwrócić kościół Najświętszego Serca Jezusowego rzymskim katolikom.

W 1885 r. bł. arcybiskup Zygmunt Szczyński sprowadził

do Czerniowców ojców jezuitów, którym przekazał na klasztor własny dom, gdzie znajdowała się też kaplica dla wiernych. Nowy kościół konsekrował w 1894 r. metropolita lwowski arcybiskup Seweryn Morawski. W 1945 r. władze sowieckie najpierw przekazały świątynię prawosławnym, po czym umieściły tam siedzibę archiwum. Kościół został podzielony na dwa piętra. Z dawnego wystroju pozostały tylko fragmenty witraży. Ostatnio pochyliła się neogotycka wieża, a ściany świątyni są zawilgocone. W Czerniowcach czynny jest kościół parafialny pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Inny kościół pw. św. Antoniego, gdzie po wojnie znajdował się klub, został na początku lat 90. XX w. przekazany grekokatolikom.

STOWARZYSZENIE CAMERATA LUBELSKA

zaprasza na koncert

„Misterium Pasyjne – Europejska Tradycja Śpiewów Wielkiego Tygodnia”

który odbędzie się w dniu **28 marca 2010 r. o godz. 13:00** w Katedrze Łacińskiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przy Placu Katedralnym 1, we Lwowie

Program:

- Pasja Pana Naszego Jezusa Chrystusa wg św. Mateusza - Anonim (1746 r.)

- Stabat Mater – Antonio Caldara (1725 r.)
- Płacz, płacz kto żyw – A. Hermanowski (XVIII w.)
- Polskie pieśni wielkopostne – (XVII w.)
- Medytacje Jana Pawła II – (fragmenty)

Wykonawcy:

Iwona Gostkowska-Kurczewska - sopran
Kamil Kaznowski – bas

Agata Kusto – wprowadzenie
Artur Kalicki – recytacja
Prof. dr hab. Katarzyna Sokołowska – dyrygent
Zespół Wokalno-Instrumentalny Camerata Lubelska

Zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Lublin



Wizyta arcyksięcia Karola von Habsburga we Lwowie



JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Już tytuł niniejszego artykułu wiesz czy coś niezwykłego, jak gdyby nie ze współczesnych czasów, jak gdyby z przeszłości, przypomina tytuły czasopism lwowskich z XIX w. i początku XX w. W jednym momencie wspominamy sędziwego cesarza Franciszka Józefa i jego piękną żonę, królową Elżbietę. Wspominamy czasy „starej dobrej Austrii” i ostatniego „naszego” cesarza Karola I, który 16 października 1918 roku wydał rozpaczliwy manifest „Do moich ludów”, również do Galicjan, do naszych dziadków i babć, do mieszkańców dziś prawie zapomnianego „Królestwa Galicji i Lodomerii wraz z wielkim księstwem Krakowskim, księstwem Oświęcimskim i Zatorskim”. Wspominamy tamte czasy, kiedy przez 30 lat nie zmieniały się ceny, zaś wartość austriackiej krony pozostawała prawie stała. Wspominamy legendę o dobrym i sprawiedliwym cesarzu, w którą lud galicyjski mocno wierzył.

Urodzony w Galicji Austriak Joseph Roth w „Marszu Radetzkiego” napisał: „Cesarz był dobry i wielki, wzniosły i sprawiedliwy, nieskończenie daleki i bardzo bliski”. Polski pisarz, też Galicjanin ze Lwowa, Józef Wittlin zauważył, że „wiara w cesarza Franciszka Józefa jednoczyła na tych dalekich ziemiach (czyli w Galicji) katolików rzymskich i katolików greckich, Ormian i Żydów”. Znany ze swego humoru polski intelektualista Julian Strykowski napisał w „Austerii”: „Nie ma Żyda, który by nie życzył mu (Franciszce Józefowi) długiego życia i zdrowia. A rabin modła się, żeby jego interesy dobrze szły i żeby długo żyli wszyscy, jego rodzina, biedna cesarzowa (nie ma cesarzowej!), jego wojsko, jego policjanci, jego ministrowie, wszyscy, co mu służą. Szkoda tylko, że nie jest Żydem”.

Cesarz Franciszek Józef wielokrotnie odwiedzał Galicję i stołeczne królewskie miasto Lwów. Historycy są zgodni ze sobą, że najbardziej udaną była podróż w 1880 roku. Sam cesarz był zaskoczony serdecznością przyjęcia. Jak wspominał jeden ze świadków tego wydarzenia „cesarz wjechał jako ukochany ojciec między kochające dzieci. Nie było ani jednego bagnetu na strzeżenie jego osoby, a otaczało go 50 tysięcy kochających serc”. Wizycie towarzyszył nastrój wielkiego, radosnego festynu były dzwony kościelne, strzelano z armat, przed cesarzem stawały deputacje szlachty, delegacje włościan, rady miejskiej, działwa szkolna deklamowała i śpiewała, wojsko deflowało. Było uroczyste i bardzo lojalnie. Dzienniki lwowskie pisały w samych superlatywach o cesarzu, śledzili każdy krok, każdy jego gest i słowo. Inni władcy ówczesnej Europy mogli jedynie pozazdrościć Franciszkowi Józefowi takiego przyjęcia.

Wizyta arcyksięcia Karola von Habsburga we Lwowie 5 marca 2010 roku upłynęła w bardziej spokojnej atmosferze. Nie było tłumów ludzi, nie salutowały działa (nawet to maleńkie z ratusza). Mało kto wiedział, że Lwów odwiedził tak niezwykły gość. Nie była to też wizyta oficjalna, lub na poziomie choćby lwowskiej Rady

JURIJ ANDRUCHOWYCZ PREZESEM FUNDACJI HABSBURGÓW



Karol von Habsburg (od lewej) oraz Jurij Andruchowycz

Miejskiej. Dostojnego gościa zaprosił znany ukraiński pisarz i działacz społeczny Jurij Andruchowycz. Razem postanowili założyć nową organizację charytatywną pod nazwą „Fundacja Habsburgów”. Kto by co nie myślał z tego powodu, lecz już sama nazwa zobowiązuje i przywołuje aluzję, również bardzo intryguje, co za tym wszystkim stoi. Może dostojny gość wygłosi we Lwowie utrzymaną w nowoczesnym stylu i w duchu epoki deklarację „do moich ukochanych ludów”?

Dla informacji czytelników „Kuriera Galicyjskiego” podany też krótki oficjalny życiorys arcyksięcia. Karol von Habsburg urodził się 11 stycznia 1961 roku. Arcyksiążę, wnuk ostatniego cesarza Austro-Węgier Karola I, najstarszy syn dr. Otto von Habsburga. 1 stycznia 2007 roku przyjął od ojca obowiązki, Przewodniczącego Domu Habsburgów. Kapitan lotnictwa wojskowego Austrii. Prezes Paneuropejskiego Ruchu Austrii i członek zarządu głównego Unii Paneuropejskiej, prezes ANCBS (Asocjacji narodowych komitetów Tarczy Błękitnej, która zajmuje się ratowaniem pamiątek kultury). Karol von Habsburg pełni też funkcję oficera ochrony pamiątek kulturalnych w austriackim wojsku federacyjnym. Był



Wiktor Kimakowycz

miejsce w prezydium obok Jurija Andruchowycza i Wiktora Kimakowycza. W krótkich też słowach Karol von Habsburg poinformował obecnych o celach i zadaniach powstałej Fundacji, powiedział, że Fundację powołano dla zachowania samoidentyfikacji Centralno-Wschodniej Europy, zachowania dziedzictwa kulturowego i powiększenia osiągnięć, zdobytych przez wieki na tych terenach. Fundacja będzie realizować własne programy przez nadanie stypendia i grantów, udział w projektach kulturalnych. W przyszłości w planach powołanie „Premii Gali-



Nie mogło zabraknąć dziennikarzy

deputowany Parlamentu. Suweren orderu Złotego Runa.

Arcyksiążę zaprosił dziennikarzy na konferencję prasową do ratusza lwowskiego. Razem z nim przybyli prezes honorowy Zarządu Fundacji Jurij Andruchowycz, dyrektor Fundacji Wiktor Kimakowycz, prezes Rady Nadzorczej Fundacji Andrij Romaniuk. Ma się rozumieć, że to właśnie wyżej wymienieni panowie będą kierować działalnością nowej Fundacji i kształtować kierunki jej rozwoju. Zebrano się około dziesięciu dziennikarzy, przybyła telewizja lwowska i iwanofrankowska. Sytuacja była bardzo „demokratyczna”. Wyglądało na wizytę polityka europejskiego średniego poziomu. Nikt z dziennikarzy nawet nie wstał, kiedy do sali wszedł arcyksiążę i zajął swoje

cyjskiej” w różnych nominacjach (ale, jak powiedział W. Kimakowycz, jest to zadanie na bardziej odległy czas). Arcyksiążę w przemówieniu wykazał się jako dojrzały polityk, który podtrzymuje integrację europejską w ramach UE i widzi Ukrainę jako część przestrzeni europejskiej. Mówił, że jedyny słuszny wybór dla naszego kraju, to wybór europejski. Ukraina jest pełnowartościową częścią Europy i winna brać aktywny udział w kulturowych procesach europejskich. W przeszłości Galicja wniosła znaczny wkład kulturowy w rozwój Centralno-Wschodniej Europy. Dziś jest najwyższa pora odnowić ten proces. Fundacja będzie pracowała nad promocją Galicji we wspólnocie narodów europejskich i w organizacji współpracy narodów Europy Środ-



Cesarz Franciszek Józef



Cesarz Karol I

kowej. Co do udziału w konkretnych projektach restauracji i ratowania dziedzictwa kulturowego, to organizatorzy powiedzieli, że są liczne organizacje, które się tym zajmują i Fundacja nie będzie wydawała pieniędzy na ten cel. Zadeklarowano natomiast sprzyjanie rozwojowi potrzeb duchowych Galicjan, wydanie nowego pisma „Potiah-76”, promocję aktualnych nowości literackich, aktywną współpracę z innymi regionami i krajami dawnych Austro-Węgier, w pierwszej kolejności z Bukowiną i Zakarpaciem. Współczesna Europa, podkreślił Karol von Habsburg, jest Europą regionów, każdy z nich ma swoją indywidualność i identyczność. Bardzo ważne jest pytanie językowe. Każdy naród, każda mniejszość narodowa

sokość”. Inna zaś sprawa polegała na tym, że w Austrii nie skasowano po dzień dzisiejszy ograniczenia dla działalności politycznej nie tylko Habsburgów, ale i innych przedstawicieli rodów arystokratycznych. Mój kuzyn chciał kandydować na prezydenta Austrii, lecz było mu to zabronione. Rodzinę Habsburgów bardzo interesuje historia Galicji. Moja babcia, cesarzowa Zyta, z ogromnym sentymentem zawsze wspominała swój pobyt w Kołomyi. Mój dziadek, cesarz Karol I, w Watykanie był ogłoszony świętym. To wyjątkowy, unikatowy przypadek, że świętym był ogłoszony generał, jeden z dowódców wojskowych w czasie I wojny światowej. Ale właśnie tak się stało. Proces kanonizacji trwał 50 lat. Najważniejszym dla Kościoła było co innego, mianowicie jego zasady chrześcijańskie, pragnienie

Lwów nie jest symbolem nacjonalizmu ukraińskiego, zaś odwrotnie – wielonarodowym, wielokulturowym miastem i właśnie dlatego jest miastem europejskim.

Jurij Andruchowycz

ma prawo do swojej kultury, języka etc. Naszym zadaniem jest pojednać różne kultury, różne narody, różne tradycje, różne religie w jednej przestrzeni. Jest to bardzo trudne zadanie – nie ma tu miejsca dla nacjonalizmów regionalnych. Wybór Europy – to wybór integracji, a nie konfrontacji. Według Jurija Andruchowycza, Lwów nie jest symbolem nacjonalizmu ukraińskiego, zaś odwrotnie – wielonarodowym, wielokulturowym miastem i właśnie dlatego jest miastem europejskim. Wybitni przedstawiciele literatury galicyjskiej – Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Austriacy – Leopold von Mazoch, Joseph Roth, Bruno Schulz i wielu innych – to osoby wywodzące się z tamtego austriackiego świata. Nazwiska ich i wielu innych były praktycznie zapomniane w czasach radzieckich. Proces poznania ich twórczości stał się możliwy tylko w niepodległej Ukrainie.

Karol von Habsburg podzielił się z dziennikarzami informacją o swojej rodzinie, krewnych: „Rodzina liczy ok. 600 osób. Są oni porozrzucaeni po całym świecie. Większość mieszka w Austrii, lecz wielu z nich także w Niemczech, Szwecji, Hiszpanii, a nawet w Azji. Wszystkich nas łączy współczesny europejski wybór. Ojciec Karola von Habsburga był posłem Parlamentu z Austrii, brat - z Węgier, siostra - ze Szwecji. Jedną z przedstawicielek domu Habsburgów pełni funkcję ambasadora Gruzji w Niemczech. Wszystkich członków rodziny cechuje realizm, a nie nostalgia za przeszłością. Teraz już nie trzeba zwracać się do nas „Wasza Wy-

uniknięcia konfliktu, miłosierdzie. Procesi kanonizacji towarzyszyły też cuda uzdrowienia chorych podczas modlitwy do świętego cesarza Karola. Habsburgów nadal chowają w rodzinnej kaplicy kościoła ojców Kapucynów w Wiedniu”.

Dziennikarze niektórych ukraińskich mediów chcieli wciągnąć arcyksięcia w wypowiedzi polityczne, ale im się to całkowicie nie udało. Na przykład, na pytanie, jak on ocenia rezolucję Parlamentu o cofnięciu Stepanowi Banderze odznaczenia „Bohatera Ukrainy”, arcyksiążę powiedział, że „nie słyszał nic i nie czytał takiej rezolucji, dlatego nie może jej komentować”. Na tym konferencja prasowa dobiegła końca.

Na zakończenie arcyksiążę pożegnał wszystkich, podał rękę dziennikarzom, był bardzo demokratyczny i sympatyczny. Nie było okrzyków typu „Wiwat Jego Wysokość, arcyksiążę Karol”. Nie było też manifestujących zwolenników Habsburgów pod Ratuszem jak i pikietujących przeciwników eurointegracji Ukrainy, komunistów lub członków nacjonalistycznej partii „Swoboda”.

Nie wiadomo, czy Jurij Andruchowycz wydał dla szanownego gościa obiad w „Georg'u”, czy zaprosił do cesarsko-królewskiej kawiarni na Wąłowej. Z chęcią opisałbym to wydarzenie, lecz udział dziennikarzy w dalszej części wizyty nie był przewidziany. Nie były ujawnione też żadne plany budowy we Lwowie lub w Stanisławowie pomnika cesarza Franciszka Józefa, tak jak to niedawno stało się w Czerniowcach.

KSIĄŻĘ WALII KAROL Z MAŁŻONKĄ – KSIĘŻNĄ KORNWALII Z WIZYTA W POLSCE



Księżna Camillia (od lewej), prezydent Lech Kaczyński, książę Karol, Maria Kaczyńska

W dniu 15 marca br. przybył do Polski książę Walii z małżonką – księżną Kornwalii. Książęca para przybyła do Pałacu Prezydenckiego. Po krótkim powitaniu przez parę prezydencką i chwili dla licznie zgromadzonych fotoreporterów rozpoczęło się trwające około pół godziny spotkanie.

- Rozmowa przebiegała w otwartej, przyjacielskiej atmosferze, prezydent podkreślił znaczenie relacji polsko-brytyjskich w wymiarze zarówno europejskim, jak i euroatlantyckim – powiedział minister Mariusz Handzlik po spotkaniu w Pałacu Prezydenckim.

Jak relacjonował, mówiono m.in. o programach, które leżą w zainteresowaniu księcia Karola, w tym m.in. o programach związanych z ochroną środowiska i ekologią. Tematem spotkania – dodał minister Handzlik – była także polska emigracja – wojenna i obecna – w Wielkiej Brytanii.

Według ministra, Książę Karol mówił o tym, że polscy emigranci „wpisują się w życie Londynu”; mówił też o ich wkładzie w gospodarkę, w życie kulturalne i społeczne. – Książę Karol podzielił się wrażeniami z wizyty w polskim ośrodku społeczno-kulturalnym w Londynie, który odwiedził dwa tygodnie temu – powiedział Mariusz Handzlik.

Podczas spotkania rozmawiano także o przyszłości Unii Europej-

skiej oraz o obchodach Roku Chopinowskiego.

Po spotkaniu u prezydenta książęca para złożyła wieniec na grobie ks. Jerzego Popiełuszki przy kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

„Polska i Wlk. Brytania podwójnymi sojusznikami”

Prezydent Lech Kaczyński podkreślił podczas uroczystego obiadu, wydanego na cześć brytyjskiej pary książęcej: księcia Karola i księżnej Camilli, że Polska i Wielka Brytania są obecnie podwójnymi sojusznikami, będąc razem w NATO i Unii Europejskiej.

Wygłaszając toast, prezydent powiedział, że wojska polskie i brytyjskie działają razem w Afganistanie, a wcześniej walczyliśmy także w Iraku. W ocenie Lecha Kaczyńskiego, „brytyjsko-polskie wspólne wojowanie w obronie pokoju, podstawowych wartości naszej cywilizacji, to już tradycja”.

Prezydent przypomniał także o udziale polskich pilotów w bitwie o Anglię, mówiąc, że przyczynili się oni istotnie do odniesienia „pierwszego sukcesu przez wrogów Hitlera”.

Lech Kaczyński podkreślił silne więzi kulturalne między Warszawą a Londynem, dziękując m.in. brytyjskiej królowej za objęcie patronatem rocznicy 200-lecia urodzin Fryderyka Chopina.

Z kolei książę Karol wyraził zadowolenie z zaproszenia do Pol-

ski. Podkreślił, że nasz kraj zajmuje „szczególne miejsce w sercach narodu brytyjskiego”. Także on przypomniał, że nasze narody walczyły ramię w ramię, m.in. w batalii lotniczej o Anglię.

Książę Karol zaznaczył, że nasze relacje historyczne były bardzo ścisłe, ale również teraz nasze kontakty są bliskie. Podkreślił, że „Polacy wnoszą ogromny wkład w istnienie obecnego społeczeństwa brytyjskiego”. Następca brytyjskiego tronu zakończył swoje wystąpienie po polsku, wznosząc toast za zdrowie pary prezydenckiej i Polaków.

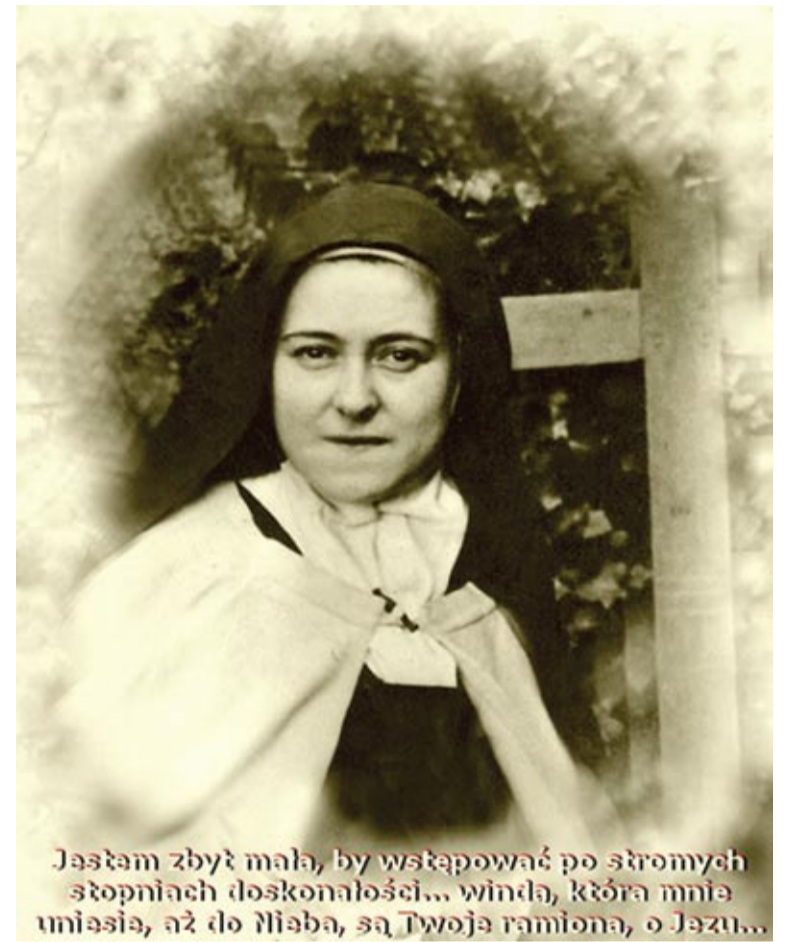
W drugim dniu wizyty Książę Walii z Małżonką udadzą się do woj. podlaskiego, gdzie odwiedzą Białowieżę i Kruszyniany.

W ostatnim dniu wizyty odbędzie się spotkanie z 1. Warszawską Brygadą Pancerną w Wesołej, natomiast na Warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych Książę Walii spotka się z organizacją Youth Business International.

Wizyta księcia Walii z małżonką jest wyrazem przyjaznych relacji polsko-brytyjskich oraz okazją do pogłębiania współpracy dwustronnej w obszarze kultury, dziedzictwa narodowego i wspierania szczytnych inicjatyw skierowanych szczególnie do młodych ludzi.

www.prezydent.pl, PAP

Peregrynacja relikwii św. Teresy od Dzieciątka Jezus



KONSTANTY CZAWAGA

Przewodniczący episkopatu Ukrainy obrządku łacińskiego arcybiskup Mieczysław Mokrzycki wystosował list pasterski z okazji peregrynacji relikwii św. Teresy od Dzieciątka Jezus i Najświętszego Oblicza. W dniach 5 kwietnia – 10 czerwca jej doczesne szczątki odwiedzą wszystkie diecezje.

„W Poniedziałek Wielkanocny Ukraina dostąpi niezwykłej łaski: w jej granicach powitamy relikwie św. Teresy od Dzieciątka Jezus, karmelitanki bosej, doktora Kościoła i patronki misji” – napisał metropolita lwowski. Podkreślił, że ta wielka święta żyjąca u schyłku XIX w. w niezwykle krótkim czasie „podbiła” Europę i świat jako orędowniczka niezwykle wielu łask, mimo iż życie jej było bardzo krótkie.

„Pragniemy zachęcić wszystkich do skorzystania ze sposobności oddania czci jej relikwiom dla uproszenia nam łask w życiu osobistym, rodzinnym i społecznym. Peregrynacja, jaką odbyła św. Teresa po wielu już krajach Europy Zachodniej, gromadziła wielu ludzi wierzących i zaowocowała wieloma łaskami” – podkreślił arcybiskup Mokrzycki.

Hierarcha wyraził nadzieję, że nawiedzenie jej relikwii na Ukrainie stanie się dla wierzących okazją do uświadomienia sobie na nowo i w całej pełni wielkości swego powołania. – Jest też okazją, abyśmy

uczyl się, jak dobrze żyć i jak korzystać z darów łaski Bożej, przede wszystkim przez słuchanie Jezusa. Ta droga jest nam wszystkim dostępna, bo jak pisała święta Teresa: „Jezus wcale nie potrzebuje ksiąg ani doktorów, aby pouczać dusze. On, Doktor doktorów, poucza w ciszy, bez słów...”. Niech więc wszyscy, którzy zechcą przyjąć do swego serca orędzie małej świętej – wielkiego doktora Kościoła, przez nawiedzenie jej relikwii otrzymają wszelkie potrzebne łaski i umocnienie w świętości życia – życzy arcybiskup Mieczysław Mokrzycki.

Na Ukrainie już działa komitet organizacyjny, który przygotowuje peregrynację relikwii św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Została uruchomiona strona internetowa o przyszłej peregrynacji oraz przygotowano film dokumentalny w języku ukraińskim o św. Teresie. W trakcie przygotowania są też książki, foldery, pieśni.

Doczesne szczątki świętej przybędą 5 kwietnia do katedry lwowskiej. Następnie będą peregrynować przez parafie: Mościska, Sambor, Stryj, Iwano-Frankowsk, Czerniowiec, Tarnopol, Złoczów. W dniach 17-24 kwietnia przebywać będą w Łucku i Równym na Wołyniu. 1 maja relikwie przybędą do stolicy Ukrainy Kijowa. Najdalej na wschodzie będą w Doniecku, a na południu – w Odessie i Jalcie na Krymie. Peregrynacja relikwii św. Teresy od Dzieciątka Jezus zakończy się w diecezji mukaczewskiej na Zakarpaciu.

KG

PIERWSI MISJONARZE JEZUSA MIŁOSIERNEGO NA WOŁYNIU

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

W miasteczku Kiwercach został założony Dom Macierzysty pierwszego na tych terenach po II wojnie światowej, nowopowstałego męskiego zgromadzenia zakonnego, które otrzymało nazwę *Stowarzyszenie Misjonarzy Jezusa Miłosiernego*. 8 maja 2009 roku ordynariusz łucki biskup Marcjana Trofimiak zatwierdził go kanonicznie na prawie diecezjalnym, a niedługo potem, 30 sierpnia, wyświęcił dla tej wspólnoty pierwszego kapłana – Andrzeja Jakuba Małysa, który został mianowany administratorem parafii w Kiwercach.

Ks. Andrzej Jakub Małysa w wywiadzie dla „Kuriera” powiedział: „Naszym założycielem żyjącym jest o. Grzegorz Bliźniak wraz ze swoim przyjacielem o. Mirosławem Kęską. Oni podjęli tę myśl o utworzeniu zgromadzenia, które szerzyłoby kult Miłosierdzia Bożego według tego, co Pan Jezus przekazał św. siostrze Faustynie Kowalskiej. Możemy powiedzieć, że w jakiś sposób sukcesja takiego stowarzyszenia przyszła do nas w prostej linii od bł. ks. Michała Sopoćki, który był kierownikiem duchowym s. Faustyny. Na jego polecenie spisywała ona to, co Pan Jezus jej przekazał. Tak powstał znany na całym świecie „Dzienniczek”. Również znany obraz



Ks. Andrzej Jakub Małysa

Jezusa Miłosiernego ks. Sopoćko pomógł jej namalować, skontaktowawszy ją z malarzem panem Kazimierowskim w Wilnie. Pierwotna wersja obrazu, może obecnie mniej rozpowszechniona, jest nieustannie czczony w Katedrze Lwowskiej i tam jeszcze od czasu II wojny światowej trwa nieustanny kult, nabożeństwo, nowenna do Miłosierdzia Bożego.

Bł. ks. Michał Sopoćko wiedział od s. Faustyny, że Pan Jezus chce, żeby powstało także męskie Zgromadzenie, szerzące kult Miłosierdzia Bożego, według tego, co Pan Jezus s. Faustynie przekazał. I ks. Michał próbował coś takiego zorganizować. Jak wiemy, pomagał on przy założeniu Zgromadzenia Sióstr Jezusa

Miłosiernego, jednakże męskiego zgromadzenia nie udało mu się formalnie stworzyć, choć spotykał się z niektórymi księżmi swojej diecezji. Przed swoją śmiercią jednemu ze swoich uczniów ks. Chodosowskiemu przekazał misję tworzenia takiego zgromadzenia, ale ks. Chodosowski też nie zdołał doprowadzić sprawy do skutku. Lecz właśnie ten kapłan przekazał z kolei misję ks. Grzegorzowi przed swoją śmiercią. No i w końcu po trudach udało się tutaj przez ks. biskupa Marcjana Trofimiaka to stowarzyszenie zatwierdzić.

Na Wołyniu niewielu jest Polaków, warunki trudne, jednak po rocznym pobycie we Włoszech, z wielką radością przybyliśmy na Ukrainę, i tak znaleźliśmy się w Kiwercach. Tam jest ważny węzeł kolejowy. Kolejarze byli kiedyś grupą społeczną, jakiej znaczenie było inne niż obecnie. Prestiż społeczny był znacznie wyższy. Kiwercze zamieszkiwało wielu polskich kolejarzy i właśnie oni wybudowali kościół. Była to liczna parafia. Obecnie została ona nam powierzona jako dom macierzysty stowarzyszenia. Domek generalny, jak mówimy, bo to jest malutka placówka, wiernych niestety zostało się obecnie bardzo niewielu, ale z pomocą Bożą ufamy, że z tego miejsca Miłosierdzie Boże będzie działało i Pan Bóg będzie błogosławił.

W najbliższym czasie misericordianie pragną otworzyć również dom w Polsce.

KG

Przegląd wydarzeń

Międzynarodowy konkurs plastyczny „Życie i Twórczość Fryderyka Chopina” pod honorowym protektorem burmistrza Milanówka Jerzego Wysockiego

REGULAMIN KONKURSU PLASTYCZNEGO

Organizator: Milanowskie Centrum Kultury (ul. Kościelna 3) przy współpracy z Towarzystwem Miłośników Milanówka

Cele konkursu:

- Zainteresowanie młodzieży twórczością i życiem wybitnego polskiego kompozytora Fryderyka Chopina
- Spopularyzowanie muzyki Chopina
- Kształcenie umiejętności posługiwania się Internetem w celu pozyskiwania informacji o życiu i dokonaniach F. Chopina
- Kształtowanie umiejętności artystycznych.

Uczestnicy:

- młodzież w dwóch grupach wiekowych: 7-10 lat, 11-16 lat

Tematyka prac konkursowych (do wyboru):

- Zaprezentuj w formie plastycznej wybraną przez siebie dowolną scenę z życia Fryderyka Chopina;
- Zaprezentuj w formie plastycznej pracę inspirowaną muzyką Chopina (podaj temat pracy i wymień utwór, który stanowił dla Ciebie inspirację).

Format prac:

nie mniejszy niż A 4 i nie większy niż A 2

Technika wykonania:

Dowolna technika plastyczna np.: malarstwo, rysunek, grafika...

Terminy i miejsce wystawy

Zamknięcie konkursu : 6 maja 2010 r. –

Decyduje data stempla pocztowego.

Prace oceni komisja powołana w tym celu przez MCK i TMM.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w lokalnej prasie, na stronach WWW w lokalnych portalach.

Wystawa zostanie zaprezentowana w MCK w terminie, który zostanie podany w ww. lokalnych mediach i na stronach internetowych.

Otwarcie wystawy nagrodzonych i wyróżnionych prac nastąpi w ramach Festiwalu Otwarte Ogrody; w czasie otwarcia nastąpi wręczenie nagród i dyplomów.

O dniu i godzinie otwarcia laureaci zostaną powiadomieni mejlami lub pocztą.

Udział w uroczystości wręczenia nagród i wyróżnień jest możliwy wyłącznie na koszt laureata. Organizatorzy nie pokrywają kosztów przejazdu do Milanówka i pobytu w mieście.

Prace należy przekazać do MCK osobiście lub pocztą, za pośrednictwem rodziców lub dyrekcji szkół w nieprzekraczalnym terminie do 6 maja 2010 r.

Warunki uczestnictwa:

Prace należy opatrzyć czytelnie wypisaną metryczką umieszczoną na odwrocie pracy, zawierającą: imię i nazwisko autora, wiek i adres domowy, w miarę możliwości wraz z telefonem i adresem mejlowym, uczniowie z Polski proszeni są o podanie nazwy i adresu szkoły, do której uczęszczają.

Na przyklejonej na odwrocie karteczki należy w kilku zdaniach opisać (po polsku, angielsku lub esperancku), jaką scenę z życia kompozytora przedstawia praca lub który z utworów Chopina był inspiracją do powstania pracy konkursowej – maksymalnie do 250 znaków.

Prace niezgodne z regulaminem lub oddane po terminie nie będą oceniane.

Prace nie będą zwracane uczestnikom konkursu. Każdy uczestnik konkursu może nadesłać maksimum 2 prace.

Do pracy należy dołączyć zgodę (podpisaną przez rodzica) iż nie zgłasza się zastrzeżeń czy ograniczeń do bezpłatnego umieszczenia reprodukcji pracy w publikacjach prasowych, internetowych lub książkowych (oczywiście z podaniem nazwiska autora).

Nagrody:

- Jury powołane przez organizatorów dokona oceny prac i przyzna I, II, III nagrodę i wyróżnienia w każdej z dwóch grup wiekowych oraz zadecyduje, które prace zostaną zakwalifikowane do pokazania na wystawie pokonkursowej i na stronach internetowych MCK.

- Autorzy nagrodzonych prac otrzymają dyplomy i nagrody rzeczowe w postaci wyrobów firm milanowskich, które sponsorują konkurs.

Na stronie internetowej <http://ckipmilanowek.pl/> zostaną opublikowane szczegółowe wyniki konkursu oraz galeria zdjęć z uroczystości zamykającej konkurs.

Prawa organizatorów:

Wszystkie prace, biorące udział w konkursie pozostaną własnością organizatora, który zastrzega sobie prawo do ich nieodpłatnej publikacji w celu promowania twórczości Fryderyka Chopina.

Osoba odpowiedzialna z ramienia MCK za nadzór nad przebiegiem konkursu: Anna Osiadacz – dyrektor Milanowskiego Centrum Kultury
Tel.: 0-22-758-32-34

e-mail: sekretariat@ckipmilanowek.pl

regulamin konkursu opublikowany będzie na stronach internetowych:

<http://ckipmilanowek.pl/> i <http://tmm.net.pl/> i <http://milanowek.pl/>

Firmy sponsorujące konkurs:

Lista sponsorów dostępna będzie na stronie <http://ckipmilanowek.pl/>

List do redakcji

Kiedy latem 1944 r., jako dziecko, z mamą /ojciec w wojsku/ opuszczaliśmy rodzinną Ziemię Podhajecką – zamieszkałą przez moją rodzinę od pokoleń, nie miałem chęci, ochoty, sposobności i okazji, by tam powrócić. Jednakże, po latach ciągnie człowieka „...do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitną Strypą rozciągniętych...”

Okoliczność taka nadarzyła się wiosną ubiegłego roku, kiedy to wraz z ponad 200 uczestnikami wróciliśmy tam. Wrócili nie tylko tam urodzeni, ale również ich dzieci i wnuki.

Już na wstępie, przy wpłacie za wycieczkę, wyszczególniono pozycję „bezkolizyjne przekroczenie granicy – 50 zł.” Wyruszając z Olawy /Dolny Śląsk/, dojechałem bezproblemowo do granicy w Mościskach. Polscy pogranicznicy odprawili autobus bez problemu i z kulturą. Przyszła kolej na pogranicznika ukraińskiego. Ten w zawiadacko nałożonej czapce uświadomił nas, że „...wydaje się jemu, iż powinniśmy być inteligentni – ale wcale tak nie jest”. Okazało się, że paszport jest mało ważny – najważniejsza jest karteczka z nazwiskiem, numerem i serią paszportu. Były to pierwsze usłyszane słowa tuż za granicą. Później jednak wielokrotnie widziałem na stacjach benzynowych zaproszenia: „Łaskawo prosymy”.

Pierwszy postój – przerwa w podróży – Brzeżany woj. Tarnopol powalił mnie z nóg. Oto z jednej strony, restaurowany przez Polaków, za polskie pieniądze kościół, przy nim tablica, a na niej napis „Sława bohaterom UPA.” Będąc świeżo po lekturze książki o „Ludobójstwie, dokonanym na narodzie polskim w latach 1939-1946 przez nacjonalistów ukraińskich w woj. tarnopolskim” autorstwa Szczepana Siewierskiego i Henryka Komańskiego, pobladłem i struchlałem. Było to już po uroczystościach w Hucie Pieniackiej, które odbyły się z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy, ale na

Moje wrażenia z pobytu na Ziemi Podhajeckiej

długo przed uznaniem Stepana Bandery za bohatera.

Dojechałem do Podhajec. W myśl pierwotnych ustaleń, miałem być dowieziony naszym bussem do miejscowości, w której się urodziłem. Tymczasem plany zmieniły się i muszę dalej dojechać autobusem ukraińskim. Ponieważ do odjazdu było jeszcze sporo czasu, a autobus stał na stanowisku, wsiadłem i wyglądałem przez okno na moich współuczestników eskapady. Pozostali uczestnicy powychodzili z autokarów, by za czas jakiś ruszyć dalej. Wszyscy rozmawiali i spostrzegła to Ukrainka – jedna ze starszych pasażerek autobusu, w którym siedziałem. Ta zaczęła komentować na cały autobus: „Czemu tych Polaków tu tyłu? Po co przyjechali? Za czym? Czemu chcą?” itd. itp. Po tym monologu, odrzekłem jej spokojnie: „Myśm się tu urodzili, tu są nasze korzenie i strony rodzinne. Niczego stąd nie chcemy i niczego nie zabierzemy”. Skonsternowana kobieta, na twarzy robiła się błąda, czerwona i pąsowa na zmianę. Nie spodziewała się, że wśród zapełnionego pasażerami autobusu jest Polak. Z pozostałych pasażerów nikt nie zareagował, ani na jej głos, ani na mój. W dalszej drodze była już bardzo miła i uprzejma. Rozstaliśmy się przyjaźnie.

Wracając z miejsca zakwaterowania, także jechałem autobusem ukraińskim. Przystadła się obok starsza kobieta i pozdrowiła po chrześcijańsku – po ukraińsku. Odrzekłem jej, że nie wiem, jak się odpowiada na takie pozdrowienie po ukraińsku, ale powiedziałem po polsku. Okazało się, że ona także pochodzi z Polski, z okolic Hrubieszowa i jest przesiedleńcem – podobnie jak ja. Jednak od chwili wyjazdu

– nie z własnej woli – na Podole w stronach rodzinnych jeszcze nie była. Pożegnaliśmy się serdecznie.

Kiedy następnego dnia, po zwiedzeniu Kamieńca Podolskiego i Chociimia, również bardzo późno, bo około północy, dotarłem do Podhajec, historia się powtórzyła. Znowu do miejsca zakwaterowania nie było obiecanego środka lokomocji. Będąc w autobusie Luska – ukraińska przewodniczka za 2 hrywny przywołała taksy. Takśówkarczowi od razu powiedziałem, że nie mam dużo pieniędzy, a jedynie 5 euro. Bałem się bowiem, czy aby szczęśliwie dojadę do celu. Taryfiarz, starszy człowiek, rozmowny, jak wszyscy taryfiarze, non stop rozmawiał przez komórkę, od czasu do czasu odzywając się do mnie. Gdzieś w połowie drogi nagle się zatrzymał. Powiedział mi, że „mam się nie bać”. Wtedy znowu zakolała mi w głowie straszna myśl, że z pewnością umówił się z kimś telefonicznie, by mnie tu zgładzić. Po chwili jednak ruszyliśmy i bezpiecznie dojechałem do miejsca zakwaterowania.

Tak więc, dawne stereotypy o wrogości Ukraińców wobec Polaków, na szczęście, się nie sprawdzają. Zaś spotkani ludzie mogą być wobec siebie mili, serdeczni i uprzejmi. Tak trzymać!

PS. Nazajutrz po powrocie do domu, idąc do fotografa, by wywołać film ze zrobionymi zdjęciami z Podola, natknąłem się na taką samą wycieczkę Niemców. Oni także wrócili, by zwiedzić swój Heimat. Uśmiechnąłem się do nich, oni do mnie. Byłem u siebie. Ale oni mi nie przeszkadzali.

Zbigniew Maliński

HOLOKAUST POLAKÓW – ŚWIADKOWIE SIĘ ZGŁASZAJĄ

TOMASZ SOMMER

Do redakcji wydawanego w Warszawie tygodnika „Najwyższy Czas!” zaczynają zgłaszać się ludzie, którzy byli świadkami bądź ofiarami „operacji polskiej” – ludobójstwa, dokonanego na Polakach na terenach ówczesnego ZSRS przed 17 września 1939 roku. Ludobójstwa, które, delikatnie pisząc, przez polskich historyków i polityków zostało niemal całkowicie zignorowane.

W minionym tygodniu zgłosiła się do nas pani Mieczysława Rybczyńska, mieszkająca obecnie w miejscowości Nachabino pod Moskwą. Historia opisana przez nią jest typowym doświadczeniem polskich rodzin w okresie „operacji polskiej”.

Polski szpieg

– Mój ojciec, Franciszek Rybczyński, został aresztowany 6 sierpnia 1937 roku w wiosce Jawne pod Żytomierzem, gdzie wtedy mieszkaliśmy – mówi p. Rybczyńska. – Ja wtedy miałam niecały rok, bo urodziłam się 5 września 1936 roku. Moi rodzice byli pracownikami kolchozu imienia Lenina. Wraz z moim ojcem aresztowano kilku innych Polaków. Oni też już nie wrócili.

Franciszek Rybczyński został oskarżony o to, że jest polskim szpiegiem. Już 18 października, czyli niecałe dwa miesiące po aresztowaniu, został skazany na śmierć. Wyrok wykonano 23 listopada w Żytomierzu. Miejsce pochówku ojca p. Mieczysławy do dziś nie jest znane. Być może tym miejscem jest miejscowy ogród botaniczny, w którym kilkanaście miesięcy temu odnaleziono kości ofiar stalinowskich mordów i który od tego czasu jest nieczynny.

Mama do Kazachstanu

Rozstrzelanie ojca – to był jednak dopiero początek nieszczęść rodziny Rybczyńskich. 25 października 1937 roku, czyli tydzień po skazaniu Franciszka, aresztowana została matka p. Mieczysławy, Gabriela Rybczyńska. Tego samego dnia skonfiskowano też cały majątek rodziny; p. Mieczysława i jej siostra trafiły do sowieckiego domu dziecka, a jej żyjąca jeszcze babcia – na bruk.

Gabriela Rybczyńska siedziała w więzieniu w Żytomierzu aż do końca czerwca 1938 roku. Wtedy to, dokładnie 28 czerwca, została skazana za to, że była żoną polskiego szpiega, na pięć lat zesłania do Kazachstanu.

– Moja mama przeżyła i spotkałam ją, ale dopiero po wojnie – mówi p. Mieczysława. – Moja babcia chciała się nami opiekować, ale jej nie pozwolono. Do końca życia żyła z tego, co dali jej dobrzy ludzie, bo nie pozwalano jej nigdzie pracować, a cały majątek został skonfiskowany.

P. Mieczysława początkowo nie wiedziała o losie swoich rodziców. Gdy jeszcze na początku lat 50. minionego wieku napisała pismo do władz w tej sprawie, uzyskała odpowiedź, że jej ojciec zmarł w 1943 roku na egzotyczną chorobę. Dopiero w 1959 roku, w okresie chruszczowskiej odwilży, Franciszek Rybczyński został zrehabilitowany. Jego córka dowiedziała się prawdy dopiero po 1989 roku.

Wrócić do Polski

– Po wojnie pojechałam za matką do Kazachstanu. Potem przeniosłam się do Uzbekistanu.

Pod Moskwę trafiła na początku lat 90., gdy repatriowano białą ludność z Uzbekistanu do Rosji.

– Wtedy też zaczęłam interesować

się historią swojej rodziny i okazało się, że pochodzę z polskiej rodziny, będącej w rejestrze szlachty od XVI wieku – opowiada p. Mieczysława.

Przez ostatnie lata p. Mieczysława zajmowała się kompletowaniem dokumentów, dotyczących losów rodziny. Poszło jej całkiem dobrze, gdyż w Uzbekistanie pracowała w sądzie dla nieletnich, stąd miała spore doświadczenie, jak rozmawiać z postsowieckimi biurokratami sądowymi.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałam, to dojrzała we mnie myśl, by wrócić do Polski. Złożyłam już dokumenty o przyznanie mi polskiego obywatelstwa – kończy p. Mieczysława.

Szukamy kolejnych świadków

Świadectwo p. Mieczysławy Rybczyńskiej, z uwagi na jej specyficzne możliwości, jest wyjątkowo dobrze udokumentowane. Poszukujemy kolejnych osób, które mają za sobą podobne doświadczenia. Przywrócenie pamięci o bezimiennych dziś ludziach, którzy zostali zamordowani za to tylko, że byli Polakami, to przecież jedyna rzecz, którą możemy dziś dla nich zrobić.

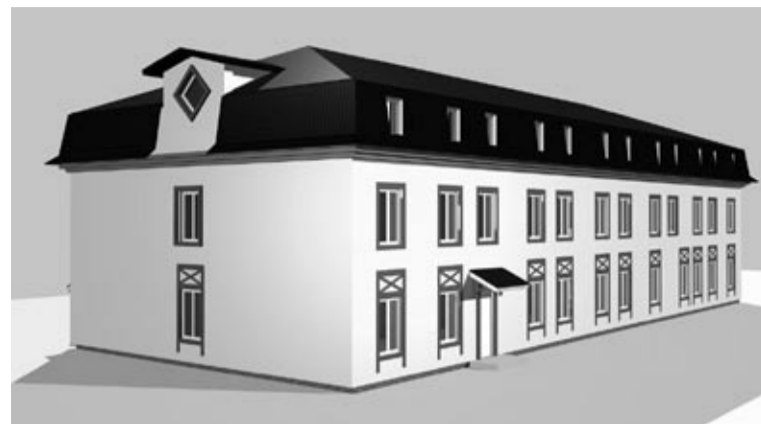
tomaszsommer@gigasport.pl,
+48228316238,
+48606888882.

Apel zamieszczamy na prośbę autora

Apelujemy o nadsyłanie relacji od represjonowanych z lat 30. Podajemy namiary redakcji „Kuriera Galicyjskiego”:

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl; skrytka pocztowa (a/c) nr 80 Iwano-Frankowsk 76000, Івано-Франківськ, Ukraina

Założono Międzynarodowe Ekumeniczne Centrum Integracji na Wołyniu



Tak będzie wyglądało Międzynarodowe Ekumeniczne Centrum Integracji

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
archiwum Kurii w Łucku
zdjęcia

17 lutego w Lubomlu na Wołyniu wikariusz generalny diecezji łuckiej ks. Jan Buras, w obecności sołtysa ze Sztunia Wasyla Zabokryckiego, odebrał Akt na prawo stałego korzystania z 3,8 ha, pod Międzynarodowe Ekumeniczne Centrum Integracji.

Ks. Jan Buras, który jest koordynatorem tego projektu, powiedział dla „Kuriera”, że Ekumeniczne Centrum Integracji będzie we wsi Zamłynie, malowniczej poleskiej miejscowości, blisko granicy z Polską. Łucka diecezja nabyła tam zniszczone budynki byłego sanatorium, a przedtem placówki wojskowej. Już trwają prace projektowe rekonstrukcji I korpusu pod ośrodek dla dzieci i młodzieży, który będzie miał charakter międzynarodowy. „Będzie tu przyjeżdżać nie tylko młodzież ukraińska, ale też polska i białoruska, sprzyja przecież

temu samo miejsce, położone na pograniczu trzech państw – zaznaczył ks. Jan Buras. – Ośrodek będzie otwarty nie tylko latem, gdy wszyscy mają wakacje, ale też w ciągu całego roku. Zimą można tu będzie urządzać kuligi, z jazdą konną i ogniskiem. Dla każdego znajdzie się tu miejsce i na każdego będą tu czekać. Mogą tu przyjeżdżać również całe rodziny, żeby spędzać więcej czasu w gronie rodzinnym. W ośrodku będzie sala komputerowa, boiska, sala konferencyjna wyposażona w urządzenia medialne, chcemy zrobić ścieżki historyczne i przyrodnicze, wykorzystywać konie dla celów leczniczych dla potrzebującej terapii młodzieży.

W dalszych planach diecezji łuckiej jest stworzenie w Zamłynie też Domu Spokojnej Starości, Polaków i Ukraińców, wymagających pomocy. „Ma on wypełniać różnorakie zadania, w tym także służyć integracji międzypokoleniowej – powiedział ks. Jan Buras. – Młodzież, przybywająca do tego ośrodka powinna poznawać wszystkie wartości, jakie niesie starość. Do pracy tutaj będą przyjeżdżać wolontariusze z różnych państw, w tym także z Polski”.

SPOTKANIE POKOLENIOWE MINISTRANTÓW KATEDRY LWOWSKIEJ

EUSTACHY BIELECKI
uczeń szkoły nr 10
we Lwowie

Często można zastanawiać się nad latami ubiegłymi, które pomimo dobrych wspomnień są daleko za nami, a powracając do nich rozumiemy, że ciągle rośniemy. Niebawem studia i dorosłe życie, więc nie zabraknie w te ostatnie miesiące dziecięcego istnienia refleksji o czasach byłych, o czasach, które wypełnione radością i beztrudnym życiem przeminęły, pozostając w naszych duszach. W ciągu naszego życia często obiecujemy i przysięgamy. Rodzice i chrzestni dają przysięgę przy urodzeniu i ochrzczaniu dziecka, dziecko przysięga w czasie I Komunii świętej i w czasie ślubu lub święceń. Niewątpliwie najbardziej zapamiętaną przeze mnie przysięgą była obietnica ministrancka.

Pamiętam dobrze te dawne czasy, jak spoglądałem z ławy prezbiterium na ministrantów, którzy niby legiony Boże gromadzą się wokół księdza, aby pomagać mu w sprawowaniu ofiary. Dobrze pamiętam ten dzień, był to Popielec, jak nieśmiało zapytałam księdza, wówczas wikarego naszej parafii ks. Wiesława, czy mogę zostać ministrantem. Oczywiście, poprzedzała

te posługę długa nauka, którą wraz z innymi w Wielki Wtorek 2007 roku ukończyłem egzaminem. Pamiętam bardzo dokładnie zapach zakrystii, spokój, który tam panował, uśmiechniętą siostrę przy biurku czy zegar, wg którego zaczynały się nabożeństwa. Katedra przesiąknięta przez wieki modłami stała się niewątpliwie drugim domem, do którego nowy ministrant wracał prawie każdego dnia po „wyświęceniu w ministranci” zostaliśmy ubrani w komże i daliśmy obietnicę służby Bogu i bliźniemu, zostaliśmy częścią Katedry, częścią jej odwiecznej historii...

Z perspektywy czasu, który tak szybko minął, wspominam wszystkie swoje dni i msze. Pamiętam większość księży i zakonnic, którzy tworzyli tę katedrę na przestrzeni tylu lat.

9 marca, w dzień wspomnienia św. Dominika Savio, niewielka grupka poważnych mężczyzn w garniturach, którzy niegdyś posługiwali w tej Katedrze oraz teraźniejsi ministranci zgromadzili się, aby wspólnie wspomnieć dawne czasy i uczcić dzień ministranta, bo ministrantem pozostaje się na zawsze.

Z zainteresowaniem słuchaliśmy o dawnych czasach Katedry od obecnych świadków, którzy kiedyś tak, jak my posługiwali przy tym kościele. W opowieściach p. Kazimierza Mi-

cińskiego, p. Bogdana Hałasa czy p. Antoniego dowiedzieliśmy się bardzo dużo nowych, nieraz humorystycznych sytuacji z życia służby kościelnej. Chyba niewielu wie o tym, że ministranci za nawet błahe przewinienia mogli otrzymać „urlop tygodniowy” (zakaz służenia) czy za inne wykroczenia można było otrzymać „wieszaki” od ojca Rafała (ministrancka kara). Przybliżyli nam również postać tego giganta Katedry Lwowskiej, który kontynuował kult religijny w Katedrze oraz wspomagał swoich parafian. Nie był obojętny na cudze nieszczęście, a więc nieraz pomagał pieniędzmi lub po prostu, dobrym słowem.

Katedra Lwowska przeżyła wiele wieków i nadal jest napełniona duchem Bożym, ale również duchem polskim, jest zawsze semper fidelis Bogu i ojczyźnie. Przez tyle lat była ostoją ducha i kolebką polskiego słowa. To właśnie dzięki tym dorosłym ministrantom religijność Polaków Lwowa nie zginęła, a wciąż jest kultywowana przez ludzi, którzy nie zapominają o swojej tożsamości religijnej i narodowej. Krótkie spotkanie przy kawie przedstawicieli pokoleń służby ołtarza przyniosło wiele miłych wspomnień, które pozostaną w naszych sercach na zawsze.



Ks. Jan Buras (w centrum)

POSZUKUJEMY PARTNERÓW DLA WSPÓŁPRACY

Koło Naukowe Animatorów Kultury w ramach cyklu spotkań międzynarodowych 27 maja organizuje wymianę młodzieżową pomiędzy Polskimi domami kultury i ukraińskim. Poszukuje partnerów dla współpracy.

Warunkiem jest udostępnianie sali dla prowadzenia warsztatów językowo-kulturowych i przenocowanie uczestników.

Zainteresowanych projektem takiego rodzaju prosimy o kontakt: golynska1@poczta.onet.pl

SZANSA DLA MŁODYCH LIDERÓW POLSKICH ORGANIZACJI NA UKRAINIE

JAN PONIATYSZYN
tekst i zdjęcie

Zarazem nowatorski i wspierający polskie środowiska na Ukrainie – taki w założeniach jest projekt edukacyjny Fundacji na Rzecz Dzieci i Młodzieży „Piastun” z Opola. Jego adresatami są młodzi ludzie, którzy zechcą potrzymać i rozwijać kresowe tradycje po obu stronach granicy. Projektu nosi tytuł: „Historia, tradycje i dziedzictwo kulturowe Polski – to co łączy i jednoczy. Warsztaty szkoleniowe dla młodzieży z pochodzenia polskiej – kandydatów na liderów młodzieżowych Towarzystw Kultury Polskiej obwodu Stanisławowskiego i Tarnopolskiego na Ukrainie oraz młodzieży z województwa opolskiego, wykazującej chęć pracy wolontarystycznej na rzecz wzmocnienia więzi kulturowej z Polakami zamieszkałymi na Ukrainie”.

W latach 2006-2009 fundacja „Piastun” przeprowadziła cykl warsztatów edukacyjnych z udziałem młodzieży z Polski i Ukrainy. Projekty te zatytułowane były: „Polska bez uprzedzeń” i „Polska kraj naszych ojców i dziadków”. Wzięło w nich udział ponad 650 osób. Połowa z nich pochodziła z województwa opolskiego. Ideą organizatorów było dotarcie do możliwie szerokiego grona odbiorców. Dlatego do udziału w tych przedsięwzięciach zapraszano młodzież z różnych środowisk m.in.: wiejskich, o „korzeniach” kresowych, szczególnie uzdolnioną, aktywną społecznie, z domów dziecka itp. Wśród tych młodych ludzi nie brakowało wykazujących szczególne zainteresowanie sprawami polsko-ukraińskimi. Wielu z nich deklarowało działalność na rzecz wzmocnienia więzi z historyczną ojczyzną ojców. Wynikało to najczęściej z tego, że należą do kolejnego już pokolenia Polaków pozostałych na Ukrainie lub wysiedlonych z Kresów na Opolszczyznę.

- Według danych ze strony internetowej konsulatu RP we Lwowie w obwodach stanisławowskim i tarnopolskim zarejestrowanych jest 20 organizacji mniejszości polskiej – wyliczył Krzysztof Pawlak z fundacji „Piastun”. - Do tego dochodzą jeszcze nieformalne grupy prowadzone przeważnie przez księży w „polskich” parafiach. W oparciu o naszą czteroletnią współpracę z polskimi stowarzyszeniami na



Warsztaty polsko-ukraińskie zorganizowane przez fundację „Piastun”

Ukrainie wiemy, że mają one poważne problemy kadrowe. Trzon tych organizacji stanowią przeważnie osoby w podeszłym wieku, niektóre pamiętające jeszcze czasy II RP. Towarzystwa te funkcjonują dzięki ich patriotyzmowi, zaangażowaniu w podtrzymanie polskości. W dobie przemian pokoleniowych i zmieniającym się świecie bardzo istotne jest, aby zapoczątkowane kiedyś z takim trudem dzieło nie upadło i mogło być kontynuowane przez następne lata. Będzie to możliwe tylko poprzez wychowanie następców. Niestety, często stojący na czele tych organizacji, zaawansowani wiekowo działacze, nie posiadają odpowiednich możliwości m.in. finansowych oraz wiedzy np. pedagogicznej. Dlatego takim problemem jest wychowanie, wykreowanie młodych ludzi, którzy będą ich następcami. Dotyczy to także środowisk Kresowian w Polsce.

W oparciu o dotychczasową działalność fundacja „Piastun” stawia taką oto diagnozę sytuacji: młodzież o polskich „korzeniach” na Ukrainie - potencjalni kandydaci na liderów lokalnych organizacji - w większości przypadków zna Polskę tylko z opowiadań swoich rodziców, czy dziadków. Otoczenie w jakim żyją nie jest im w stanie zapewnić częstych wyjazdów za zachodnią granicę, a więc poznawania tego co znają wyłącznie z przekazów ustnych. Ograniczenia te dotyczą także możliwości samorealizacji oraz wpływu na działalność organizacji, zrzeszających polską mniejszość.

- Jesteśmy przekonani, że propozycja przyjazdu do Polski i udział w naszym projekcie edukacyjnym może być bardzo istotnym zwrotem w ich życiu – uważa Krzysztof Pawlak.

- Chcemy, aby miało to przełożenie na ich przyszłe zaangażowanie oraz pracę w polskich organizacjach.

Nie bez znaczenia będzie też bezpośredni kontakt oraz integracja z ich rówieśnikami na Opolszczyźnie. Wszak pokolenia te łączy kresowe pochodzenie.

Projekt fundacji „Piastun” adresowany jest do osób w wieku 14 -18 lat. Zorganizowane dla nich będą dwa dziesięciodniowe turnusy szkoleniowe. W każdym takim spotkaniu weźmie udział 40 osób, po 20 z Ukrainy i województwa opolskiego. Zaplanowano je w czasie wakacji. Warsztaty prowadzone będą częściowo na Opolszczyźnie i w Beskidzie Śląskim. Są to regiony wielokulturowe, znane z pielęgnowania dziedzictwa przodków. Opolszczyzna jest przykładem współpracy ludności napływowej oraz jej potomków z autochtonami mającymi niemieckie pochodzenie. Ta koegzystencja odbywa się na wielu płaszczyznach życia codziennego: kulturalnej, edukacyjnej, samorządowej, kościelnej itp. Jej widoczny przejawem są m.in. polsko - niemieckie tablice na urzędach oraz dwujęzyczne nazwy miejscowości. Dla Polaków z Ukrainy będzie to bardzo dobra lekcja pokazująca, jak żyjący obok siebie ludzie o różnej narodowości mogą szanować historię i kulturę innych. Pod tym względem wzorcem jest także górzysty Beskid Śląski. Jego mieszkańcy są ukształtowanym przez wieki konglomeratem ludności polskiej przybyłej z nizin, górali, migrantów z Bałkanów oraz m.in. Słowaków. Górale beskidzcy zachowali stare tradycje, wierzenia, zwyczaje, stroje, muzykę i gwarę. Pobyt na tych terenach pozwoli uczestnikom warsztatów na codzienne

obserwacje: przenikania i wzbogacania się wielu kultur, wspólnej pracy dla rozwoju małej ojczyzny, równouprawnienia różnych wspólnot m.in. religijnych (w okolicach Istebnej jest ich kilkanaście). Doświadczenie tego będzie jednocześnie poznaniem przykładu funkcjonowania społeczeństw w nowoczesnej, pozbawionej ksenofobii i uprzedzeń Wspólnej Europie.

Celem głównym fundacji „Piastun” jest przygotowanie uczestników projektu do pełnienia funkcji liderów w swoich środowiskach. Tego typu przedsięwzięcie z zaangażowaniem młodzieży polskiej zamieszkującej Ukrainę jest pionierski. Realizowane będzie poprzez rozwijanie postaw wolontarystycznych, zachęcenie i zmotywowanie do działalności społecznej poprzez odwołanie się do wartości zawartych w historii, tradycji i dziedzictwie kulturowym Polski. Warsztaty prowadzić będą specjaliści z różnych dziedzin. Zajęcia obejmą rozwijanie osobowości młodzieży z uwzględnieniem umiejętności wykorzystania własnych cech i zdolności, ćwiczenie kreatywności i twórczego myślenia oraz doskonalenie umiejętności pracy w grupie. Podczas prelekcji omawiane też będą stosunki polsko-ukraińskie.

- W ten sposób chcemy przysposobić młodzież polską z Ukrainy do aktywnej pracy na rzecz swoich środowisk – wyjaśnia Krzysztof Pawlak. - Wyposażymy ich w umiejętności pozwalające na realizację założonych celów, skupiania wokół siebie innych osób. Pokażemy praktyczne przykłady i mechanizmy takich działań. Efektem tego ma być zachowanie więzi z Polską. Młode pokolenie z Opolszczyzny zachęcać będziemy do pod-

trzymywania i rozwijania dziedzictwa kresowego oraz wspierania naszych rodaków za Bugiem.

Patronat medialny na projektem fundacji „Piastun” objęła redakcja „Kuriera Galicyjskiego”. Zainteresowanych bezpłatnym uczestnictwem w warsztatach, które odbędą się w Polsce prosimy o nadsyłanie swoich kandydatur na adres email: piastun@piastun.org.pl

Zgłoszenia takie winne zawierać Curriculum Vitae z opisem związków z Polską oraz motywacją udziału w szkoleniu. Preferowane będą kandydatury: uczniów i studentów mających polskich przodków oraz członków polskich organizacji na Ukrainie.

Komentarz

„Polacy są na Ukrainie znaczącą mniejszością narodową, zajmującą pod względem liczebności dziewiąte miejsce w skali kraju” – pisze Ministerstwo Spraw Zagranicznych w „Raportie o sytuacji Polonii i Polaków za granicą 2009”. „Polacy na Ukrainie nie są grupą o wysokiej pozycji społeczno-ekonomicznej (...) Środowiska polskie nie mają aspiracji politycznych (...) Nieliczni, głównie na Żytomierszczyźnie oraz we lwowskim okręgu konsularnym, znajdują się w lokalnych organach przedstawicielskich i samorządowych. (...) Współpraca ze środowiskami polonijnymi w rekrutacji młodzieży polskiego pochodzenia na studia w Polsce, rekrutacji stypendystów Fundacji „Semper Polonia”, kursy specjalistyczne – to kolejny istotny kierunek działalności polonijnej. Problemem, który czeka na rozwiązanie, to lepsze wykorzystanie w ten sposób przygotowanych i wykształconych kadr na rzecz Polski i Ukrainy. Szerzenie i propagowanie kultury polskiej w środowiskach polskich i ukraińskich”. Pytanie, kto ma realizować te postulaty? Mało kreatywni, zachowawczy, bez przyszłościowej wizji działalności, często dbający o doraźne interesy wąskiej grupy osób, a przy tym skonfliktowani ze swoim środowiskiem i ukraińską administracją, do tego nastawieni roszczeniowo wobec Polski – czy taki wizerunek liderów towarzystw polskich na Ukrainie należy do rzadkości? Obraz ten nie wynika tylko z pozycji zewnętrznego obserwatora, a jak jest rzeczywiście najlepiej wiedzą zainteresowani tymi problemami na Ukrainie. Warto na ten temat, jak również przyszłości młodego pokolenia rozpocząć rzeczową dyskusję na łamach „Kuriera Galicyjskiego”.

WYGRAJ KONKURS FOTOGRAFICZNY!

Warszawa, 28 stycznia 2010 r. Wzruszają, wprawiają w zadumę, bawią albo smucą... Chwile z codziennego życia, które utrwalamy nie tylko w pamięci, ale coraz częściej za pomocą aparatów fotograficznych, czy to najnowszych cyfrowych czy tych nazywanych „z duszą” – analogowych.

Dla polonijnych miłośników fotografii, 1 lutego 2010 roku rusza konkurs fotograficzny pt.: „Życie Polonii w obiektywie...”, organizowany przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

Konkurs skierowany jest do wszystkich Polaków mieszkających poza granicami Polski.

Zachęcamy Rodaków mieszkających za granicą do przesyłania nam zdjęć, wykonanych w 2009 roku, na których uchwycili ważną chwilę, moment, zdarzenie, ludzi czy miejsca związane z życiem Polonii...

Fotografie oceniać będzie jury, w skład którego wchodzi: Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Maciej



Plażyński oraz 3 profesjonalnych fotografów: Jacek Marczewski, Rafał Milach oraz Tomasz Tomaszewski.

Zwycięzca otrzyma nagrodę 3 000 zł, laureat drugiego miejsca 2 000 zł, a uczestnik który uplasuje się na trzecim miejscu – 1 000 zł.

Nagrodą dla wszystkich uczestników konkursu fotograficznego będzie także prezentacja najciekawszych zdjęć na wystawie, specjalnie zorganizowanej w połowie roku w Domu Polonii w Warszawie.

Termin nadsyłania fotografii konkursowych mija 31 marca 2010 roku.

Uczestnicy mogą przysłać swoje prace (czyli zdjęcia z dokładnym uzasadnieniem ich wyboru) pocztą (zarówno odbitki, jak i zdjęcia na płycie CD) oraz e-mailem na adres: konkurs.swp@gmail.com

Regulamin oraz szczegółowe informacje o zasadach konkursu „Życie Polonii w obiektywie...” znajdują się na stronie www.swp.org.pl

„GORZKO!” W BLASKU DIAMENTÓW

HALINA PŁUGATOR tekst
zdjęcia autorka
oraz archiwum prywatne
rodziny Kapuszczałów

Przed Wielkim Postem we wsi Zagwózdzie tego samego dnia sześćdziesięciolecie pożycia małżeńskiego obchodzą trzy pary. Po tym, jak w 1950 roku odbyły się niemalże jednocześnie ich wesela, z czasem wszystkie trzy rodziny się spokrewniły.

Takiego święta nie pamiętają nawet najstarsi mieszkańcy wsi. Trzech dość jeszcze krzepkich starszych panów oraz ich siwe, jak gołębicę, małżonki znowu – ale już w otoczeniu dzieci, wnuków i prawnuków – stają na ślubnym kobiercu. Dmytro Kapuszczał, który jest synem jednej z diamentowych par – Marty i Jurija Kapuszczałów – chciał, żeby rodzice znów usłyszeli marsz Mendelzona i krzyki „Gorzko! Gorzko!”. „Ojciec i matka nie zaprzeczali, ale chcieli, żeby wraz z nimi uczynili to rodzice synowej – Paweł i Maria Hołodiukowie, którzy również przeżyli ze sobą szczęśliwie 60 lat. – radośnie opowiada pan Kapuszczał. – Wkrótce przypomni sobie, że brat pani Hołodiuk brał ślub tego samego dnia, co jego siostra. Wobec tego, do dwu par „nowożeńców” dołączyła trzecia – Josyp i Maria Nastyszynowie. Tak więc, jesteśmy jedną wielką rodziną”.

Przejęte „diamentowe” pary małżeńskie wracają wspomnieniami do lat młodości. Prawie wszyscy pochodzą z jednej wsi. „Spotykaliśmy się z Marią przez trzy lata, – mówi Josyp Nastyszyn. Czasem stałem i patrzyłem na dziewczynę swoich marzeń i nie śmiałem słowa przemówić”. Kiedy Marysia przyjęła oświadczyny, chłopak nie wiedział, jak dziękować Bogu



Maria i Paweł Hołodiukowie



Josyp i Maria Nastyszynowie

za swoje szczęście. Młodzieniec wówczas wiedział już, co to bieda i krzywda – został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Tam nauczył się wykonywania

różnych prac. Niedługo wybudował wspólnie z żoną duży dom. Ta para, mająca sześćdziesięcioletni staż małżeński, uważa, że najważniejsze w życiu są uczciwość



Marta i Jurij Kapuszczałowie

i sprawiedliwość. W tym duchu wychowali swe dzieci, wnuki i prawnuki.

Wesele pana Nastyszyna odbywało się jednocześnie z przyjęciem jego siostry Marii. Ona znalazła swego wybranka na drugim końcu wsi. Paweł Hołodiuk od razu spodobał się dziewczynie. Na wielkim weselu nowożeńcy... smucili się. Na kilka tygodni przed tym radosnym wydarzeniem okupanci sowieccy wywieźli pół wsi. „Jak tu było się weselić, kiedy obok nie mieliśmy przyjaciół i znajomych, kiedy wiedzieliśmy, że oni głodują i marzną w śniegu Syberii”, - Paweł Hołodiuk ociera nieproszoną łzę. Zawsze wesela żona uspokaja i zaprasza do stołu. Na ścianach – galeria haftów, ręczniki, obrazy, serwetki, zasłony, obrusy. Wszystko to zostało wykonane i ozdobione troskliwymi rękami pani Marii.

Marta i Jurij Kapuszczałowie nie mogą uwierzyć, że już od tylu lat są razem. Często oglądają swoje zdjęcia ślubne. „Życie minęło, jak sen – mówi pani Marta, patrząc na męża z miłością, - ale nie żałujemy niczego, cieszymy

się z wnuków i prawnuków, pomagamy dzieciom”. Małżeństwo Kapuszczałów daje sobie radę w gospodarstwie. Mają krowę, pracują w ogródku. W ten sposób zapominają o chorobach, na które po prostu nie mają czasu.

„Przy życiu trzymają ich miłość i modlitwa, – mówi przejęty pan Dmytro. W życiu różnie bywało. Owszem, były kłótnie, lecz tylko kochające serca potrafią przebaczać, czekać, nie zwracać uwagi na drobne wady i każdego dnia dziękować Bogu za każdą wspólnie przeżytą chwilę. Te pary małżeńskie są przykładem dla całej wsi oraz małżeństw współczesnych. Ojcowie są wzorcem mądrości i odpowiedzialności za rodzinę, a matki – to prawdziwe opiekunki ogniska domowego, ciche, pogodne, śpiwające i utalentowane”.

Przeżywszy dni straszne, trudne, mając za sobą nieszczęścia i poniewierkę, Kapuszczałowie, Hołodiukowie i Nastyszynowie pragną dotrwać do dnia jubileuszu stulecia małżeństwa i ustanowienia w ten sposób rekordu.

KG

Polskie wystawy turystyczne – perspektywą rozwoju Łucka

AGNIESZKA RATNA

Delegacja Wołynia niedawno wróciła z Łodzi. Polscy partnerzy zaprosili gości z Ukrainy do udziału w Międzynarodowych Targach Turystycznych.

„Zwykle takie spotkania mają wymierny skutek, – uważa Jurij Mokłyca, kierownik delegacji, Naczelnik Wydziału Turystyki i Rekreacji w Łuckiej Radzie Miejskiej. – Rozprowadziliśmy ponad dwa tysiące folderów, map, przewodników po naszej krainie, a także rozmawialiśmy ze wszystkimi chętnymi”.

Pan Mokłyca mówi, że najbardziej zaintrygowane materiałami z Łucka były osoby w podeszłym wieku, interesujące się tzw. „turystyką nostalgiczną”, a także przedstawi-

ciele firm i organizacji, poszukujący rynków turystycznych dla swoich klientów.

Młodzieży było znacznie mniej. Przeanalizowawszy ten czynnik, uczestnicy doszli do wniosku, że ponieważ jest widoczne zainteresowanie młodzieży atrakcjami turystycznymi Łucka, wybiera ona znacznie prostszy sposób pozyskiwania informacji, czyli Internet.

Zdaniem pana Mokłyca, są już widoczne praktyczne efekty spotkań turystycznych w Łodzi. Chodzi, na przykład, o zorganizowanie w Łucku i okolicach spotkań treningowych polskich klubów sportowych, a także o propozycje opracowania stałych tras turystycznych po Ukrainie Zachodniej przez centrum obwodowe Wołynia.

Największy efekt wołynianie upatrują w kształtowaniu opinii o regionie jako miejscu otwartym i atrakcyjnym, w którym można naprawdę miło odpocząć. Należy też zaznaczyć, że na udział w tych targach z budżetu Łucka nie wydano ani hrywny, pobyt sfinansowały organizacja „Pro bono futuro” (Polska) organizacja społeczna „Wspólnota Wołynia” oraz hotel „Schelter” (we wsi Kołodziejna na Wołyniu).

Jurij Mokłyca mówi też, że Łuck niebawem będzie uczestniczył w kolejnych targach dzięki utworzeniu stałej ekspozycji oraz opracowaniu konkretnych produktów turystycznych, a także umieszczeniu ofert w Internecie by zainteresowanych ofertą było coraz więcej.

KG

Podajemy nr konta, na które można wpłacać fundusze dla Caritasu Archidiecezji Lwowskiej

Mieczysław Mokrzycki
Bank Pekao SA | Oddział w Lubaczowie
Legionów 4, 37-600 Lubaczów
IBAN PL
PKOPPLPW
NRB (Euro)
74 1240 2584 1978 0010 2380 8286
NRB (\$)
68 1240 2584 1787 0010 2379 6701

Caritas Archidiecezji w Lubaczowie
Mickiewicza 85, 37-600 Lubaczów
Bank Pekao SA
I Oddział w Lubaczowie Legionów 4
37-600 Lubaczów

NRB (zł)
98 1240 2584 11110000 3944 5928
Konto na Ukrainie:
„РАЙФФАЙЗЕН БАНК АВАЛЬ”
МФО 380805
Nr konta 26000209779 EUR
26001209778 UAH
26008209782 USD

kontakt: ks. Wiesław Dorosh
ul. Wynnyczenki 32, Lwów
tel/faks: +38 032 240 37 43,
tel. kom.: +380676732541
+48516375427
e-mail: wieslaw.dorosh@gmail.com
http://www.caritas-spes.org.ua

KATOLIKOM W CHYROWIE ZWRÓCONO KOŚCIÓŁ

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Po 18 latach starań, katolicy rzymscy odzyskali kościół św. Wawrzyńca w Chyrowie koło Starego Sambora. Mszy św., która odbyła się 21 lutego br. w odzyskanej świątyni, w obecności duchowieństwa i wiernych, przełożonych i alumnów Lwowskiego Duchownego oraz pielgrzymów z Polski przewodniczył metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki.

Na początku Mszy św. arcybiskup Mokrzycki przeprosił „za wszelkie przewinienia wobec Boga”, za zniszczenie świątyni oraz ponownie poświęcił budynek.

Po II wojnie światowej kościół był zamknięty, później zamieniony na magazyn, a następnie po przebudowie jego pomieszczenia wykorzystano jako dom kultury i siedzibę organizacji kozaków.



Kościół w Chyrowie



Uroczysta Msza św. w odzyskanym kościele w Chyrowie

„Nasi ojcowie i praojcowie zbudowali tę murowaną świątynię, która podczas rządów komunistycznych była sponiewierana i przybrała taki oto wygląd. Stoimy tu, aby w pokornej modlitwie uwielbiać Boga, który znów będzie mógł zamieszkać w tej świątyni. Stajemy, aby uwielbiać Boga

z wszystkimi żyjącymi z Bogiem i w Bogu świadkami wiary” – mówił w homilii metropolita lwowski.

Arcybiskup Mokrzycki podziękował parafianom, którzy zbierali się na nabożeństwa w prywatnym domu i walczyli o odzyskanie swej świątyni. Złożył podziękowanie także obec-

nym wiernym Kościoła prawosławnego i grekokatolickiego za solidarność i wspólną modlitwę o odzyskanie świątyni. „Jakże to piękne świadectwo naszej jedności wzajemnego zrozumienia i szacunku. Świadectwo, że wszyscy jesteśmy nie tylko synami tej ziemi, tego kraju, ale dziećmi tego sa-



Podczas rozmowy z przewodniczącym rady miasteczka Chyrow Iwanem Holubeciem w sprawie rozgraniczenia kościoła i przylegających do niego pomieszczeń Domu Kultury



Janina Piróg, przewodnicząca rady parafialnej w Chyrowie

me go Boga!” – podkreślił arcybiskup Mokrzycki.

Arcybiskup Mokrzycki powiedział, że od dziś w kościele św. Wawrzyńca w Chyrowie Eucharystia będzie sprawowana codziennie. Proboszczem parafii został ks. Paweł Czyryk, młody kapłan, pochodzący z obwodu tarnopolskiego.

„Staraliśmy się o ten kościół 18 lat. Mieliśmy wiele kłopotów, czyniliśmy wiele starań i zawsze nam odmawiano w urzędach zwrotu świątyni” – wspomina Janina Piróg, przewodnicząca rady parafialnej. Przypomniała, że kościół został zwrócony dzięki arcybiskupowi Mokrzyckiemu oraz staraniom prawnika ze Starego Sambora. „Ten dzień jest dla nas bardzo szczęśliwy nie zapomnę go do śmierci – Bóg zapłać wszystkim!” – powiedziała przewodnicząca rady parafialnej.

„Nasza radość jest tym większa, gdyż aż 18 lat starano się o odzyskanie tego kościoła – powiedział dla „Kuriera” arcybiskup Mokrzycki. Przypomniał, że sąd już dawno wydał wyrok, aby kościół został zwrócony wspólnie katolickiej, ale władze lokalne nie stosowały się do niego. „18 lat dojrzały do decyzji” – podkreślił hierarcha. Z zewnątrz kościół zachował wygląd świątyni, ale wewnątrz został przegrodzony i są w nim dwa piętra. „Powoli będziemy starali się znaleźć środki, aby powrócił do dawnej świetności” – zaznaczył metropolita lwowski. Poinformował, że przeprowadził już rozmowę z przewodniczącym rady miasteczka Chyrow Iwanem Holubeciem w sprawie rozgraniczenia kościoła i przylegających do niego pomieszczeń Domu Kultury.

Parafia rzymskokatolicka w Chyrowie istnieje od 1531 r. Obecny kościół pw. św. Wawrzyńca został wybudowany na początku XVIII w. Kilka razy dokonywano jego rozbudowy i wzniesiono dzwonnice.

Po II wojnie światowej kościół został zamknięty. Przez jakiś czas mieścił się tam magazyn, później pomieszczenie świątyni adaptowano na Dom Kultury. Po odrodzeniu wspólnoty rzymskokatolickiej w Chyrowie, wierni od 18 lat starali się o zwrot kościoła św. Wawrzyńca. Żadna z pozostałych miejscowych wspólnot nie rości sobie pretensji do odzyskania budynku. W miejscowości czynna jest cerkiew grekokatolicka, a prawosławni otrzymali dawną kaplicę jezuitów.

List do redakcji



Kościół w Łopatynie znajduje się na pięknym wzniesieniu w północno-zachodniej części miasteczka. Został on zbudowany w 1772 roku, a konsekrowany w 1782 roku. Jego fundatorem był kasztelan łucki hrabia Adam Mysza-Choloniewski. Realizację budowy inspirował ówczesny proboszcz ksiądz Szczepan Mikulski. Projektantem świątyni był znakomity architekt króla Augusta III Sasa – Bernard Meretyń. Jego dziełem była katedra grekokatolicka św. Jura we Lwowie, ratusz w Buczaczu i kościoły w Hodowicy, Kołomyi i Buczaczu. Wnętrze kościoła łopatynskiego zdobił Stanisław Stroiński – nadworny malarz arcybiskupa lwowskiego Wacława Sierakowskiego. Ten malarz był twórcą polichromii w Katedrze

łacińskiej we Lwowie. Wielka trwałość malowideł pozwoliła na przetrwanie ich do naszych czasów. Malowidła Łopatynskie uważa się za najwyższy szczyt osiągnięć malarskich Stanisława Stroińskiego.

Podczas pierwszej wojny światowej kościół łopatynski uległ znacznemu zniszczeniu, zwłaszcza podczas ataku konnicy Budionnego w 1920 roku. Wówczas w kościół uderzyło 38 kul armatnich oraz dokonano zniszczenia dachu. II wojna światowa wywarła również duże niszczycielskie piętno na łopatynskiej świątyni. Prawie przez 50 lat kościół ten był celowo niszczone przez okupanta sowieckiego. Nawet wspaniałe 4 rzeźby wielkości człowieka – św. Anna, św. Joachim, św. Mikołaj i św. Stanisław –

Kościół w Łopatynie –

rzeźby dłuta Jana Obrockiego (z kręgu Pinzla) zostały pocięte i spalone w lokomobiliu.

Należy też wspomnieć o zniszczeniu wspaniałych organów, ambony barokowej, wielu tablic pamiątkowych oraz 15 krypt podziemnych kościoła, w których spoczywali właściciele Łopatyna i fundatorzy kościoła. Kości wysypane z krypt, zostały częściowo pozbierane przez wiernych i umieszczone w grobowcu Krystyny Żak, na miejscowym cmentarzu. W czasie rozpadu komunizmu powstała myśl wśród garstki Polaków wyznania rzymskokatolickiego z Łopatyna i okolicy, aby odzyskać miejscowy kościół, wyremontować i udostępnić go wiernym, ponieważ Matka Boża Łopatynska jest czczona nie tylko w Łopatynie, ale i w

okolicy. O tym świadczą spisane pod przysięgą 500 cudów i ciągle te cuda dzieją się dzięki Matce Bożej Łopatynskiej. Mieszkańcy Wójcic k. Nysy – dawni łopatynianie, kiedy dowiedzieli się o możliwości odzyskania kościoła z wielką chęcią pośpieszyli z pomocą, aby ratować łopatynski kościół.

W roku 1989 ks. Kazimierz Kwiatkowski wraz z Janem Cichiewiczem, Michałem Pekliczem i Bolesławem Trytko udali się do Łopatyna aby poczynić starania o odzyskanie kościoła. Ks. Kazimierz Kwiatkowski niemal w sposób konspiracyjny odprawił Mszę św. na miejscowym cmentarzu obok pomnika i grobu Generała Józefa Dwiernickiego - podkreślając potrzebę odzyskania kościoła. Wkrótce powstał Komitet Kościelny na czele z Józefą

Humeniuk, która wraz z wiernymi zebrała ponad 2000 podpisów o odzyskanie kościoła, ponieważ chcieli kościół przeznaczyć na muzeum. Doprowadzili do odzyskania kościoła, jego częściowego odremontowania, a 16 czerwca 1991 roku dokonano ponownego poświęcenia z udziałem biskupa Lwowskiego Władysława Kiernickiego i ks. Kazimierza Kwiatkowskiego. Od tej pory ks. Kwiatkowski niemal stale opiekował się kościołem w Łopatynie wraz z wieloma wiernymi z Wójcic. Często organizował pielgrzymki z Wójcic do Łopatyna i zawsze zawoził tam materiały i urządzenia potrzebne do remontu i wyposażenia kościoła.

Bywało iż ks. Kwiatkowski wyjeżdżał na kilka miesięcy do Łopatyna. Nie raz odprawił Mszę św. pod gołym

KTO NAPRAWDĘ ODKRYŁ AMERYKĘ?

Opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Kto tak naprawdę odkrył Amerykę? Nad tym pytaniem wielu historyków toczy zażarte spory. Według badań archeologów wiadomo, że na Grenlandii pierwszymi osadnikami byli Wikingowie. Ale nadszedł wiek XV i wiele ziem zaczęto odkrywać jakby na nowo – zaczął się wiek wielkich odkryć geograficznych.

Czy jest to możliwe, żeby na 16 lat przed Kolumbem, uważanym za odkrywcę Ameryki, Polak dotarł do Nowego Kontynentu? Jest to jednak prawdą i potwierdzają to uczeni nie z Polski. A więc poznajmy Jana z Kolna.

Pierwszy napisał o nim w roku 1570 Francuz Francis de Belleforest: „Aby się nie zdawało, że zbyt pochlebiam swoim rodakom, trzeba pokrótce ukazać komu należy się sława odkrycia tego kraju borealnego (dziś Półwysep Labrador – K. S.). Nie przysługuje ona Hiszpanowi, Portugalczykowi ani Francuzowi, gdyż to Polak, Jan Scolnus, dotarł tam już w Roku Pańskim 1479...”. Fakt pobytu Polaka na terenach dzisiejszej Grenlandii, Kanady i USA jest z tych zapisków oczywisty.

Kim był Jan z Kolna – Johannes Scolvus (Scolnus, Skoly, Scolvson, Scoluo, Scolno, Scolus). A może to po prostu Jan Szkolny. Urodził się w roku 1435. Prawdopodobnie mieszkał w Gdańsku w rodzinie mieszczkańskiej i w 1455 roku studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Widocznie studia nie pociągały go na tyle, żeby zostać w Krakowie, więc po kilku latach widzimy go jako sternika w ekspedycji króla Duńskiego Christiana I Oldenburga, wysłanej pod dowództwem Dietricha Pininga na zbadanie południowych wybrzeży Grenlandii i sprawdzenia, co stało się z tamtejszymi osadnikami. Osadnikami – Europejczykami, najprawdopodobniej potomkami Wi-



Jan z Kolna – posąg na Włach Chrobrego w Szczecinie

kingów, którzy zapuszczali się w te strony po 982 roku. To właśnie łacińska transkrypcja nazwiska, dodatkowo zniekształcona przez różnych autorów przyczyniła się do tego, że do Jana z Kolna roszczą sobie pretensje Duńczycy, Portugalczycy, Hiszpanie, Niemcy i Norwegowie.

Wszystko co zostało przedstawione, jako odkrycia geograficzne zostało napisane już po śmierci samego Jana około roku 1484. Tym niemniej figuruje tam jego zniekształcone nazwisko. Kartograf Gemmy Frisius na swoim globusie tereny za kręgiem polarnym zaznaczył jako tereny zamieszkałe przez „...lud, do którego Duńczyk Joes Scoluss dotarł około roku 1476”. Hiszpan de Gómara o Półwyspie Labrador napisał: „... przybyli tam ludzie z Norwegii z pilotem Joanem Scoluo...”, a był to rok 1553. Na angielskiej mapie Michaela Loka z roku 1582 znajdujemy nazwę krainy na północny zachód od Grenlandii jako „Jac. Scolvus Croetland”. A już w roku 1597 Holender Cornelis

Wyffliet o odkryciu Grenlandii napisał „... zaszczyt drugiego odkrycia należy się Polakowi Johannesowi Scoluusowi (Johannes Scoluus Polonus), który w roku 1476 pożegłował poza Norwegię...”. Nawet sam Fridtjof Nansen, wielki odkrywca północy opisując odkrycia swych poprzedników jako odkrywcę Grenlandii nazywa Scolvusa.

To na podstawie tych XVI i XVII wiecznych zapisków Joachim Lelewel w XIX wieku wysunął tezę, że nazwisko odkrywcy Ameryki bierze się od nazwy miejscowości Kolno w dzisiejszym województwie podlaskim. Wiele nazwisk w średniowieczu zapożyczano od nazw miejscowości i podawano w brzmieniu łacińskim. Te wywody podzieliły późniejszych historyków. Bolesław Olszewicz w 1933 roku poddawał wątpliwości wywody Lelewela, a polskie pochodzenie Scolvusa uznawał za „dość wątpliwe”. Jednak do dziś żyje legenda o polskim odkrywcy Ameryki i jest inspiracją dla wybitnych pisarzy, rzeźbiarzy, malarzy. Stefan Żeromski poświęcił mu nawet swą powieść „Wiatr od morza”.

Współczesny znawca tematu, badacz legendy Jana z Kolna, Zdzisław Skrocka zaznacza: „Jak było naprawdę, trudno dziś orzec. Jest możliwe, że Joannes Scolvus był Polakiem z Kolna, który po studiach na Uniwersytecie Krakowskim zaciągnął się na służbę do króla Danii i Norwegii i żegłował po wodach północnego Atlantyku... Ale można też przyjąć, iż Jan z Kolna nigdy nie istniał, a jego fikcyjną postać powołały do życia błędy i niedbalstwo renesansowych kopistów...”

Dziś nie rozstrzygniemy tego sporu, który toczy od lat uczeni o pochodzeniu żeglarza, który przed Kolumbem odkrywał wybrzeża Ameryki. Ale jak by tam nie było, przyjemnie mieć świadomość, że to może nasz rodak zapłynął kiedyś w te dalekie i nieodkryte jeszcze strony.

Apelujemy o pomoc dla chorego dziecka

Półtoraroczna lwowianka Agnieszka Mokrzycka jest chora na raka oczu. Dotychczasowe leczenie we Lwowie i w Odessie nie przyniosło pożądanych wyników. Dziewczynka potrzebuje kosztownego leczenia za granicą.



Podajemy rekwiizyty bankowe, na które można wpłacić pieniądze. Rodzice małej Agnieszki będą wdzięczni za jakąkolwiek pomoc finansową.

| КАРТКА РЕКВІЗИТІВ | |
|--|---|
| ДЛЯ ПРОВЕДЕННЯ ОПЕРАЦІЙ ПОПОВНЕННЯ КАРТКОВОГО РАХУНКУ ЧЕРЕЗ ЗАКОРДОННІ БАНКИ | |
| INTERMEDIARY BANK: | SWIFT: BKTRUS33 Deutsche Bank Trust Company Americas / New York |
| BENEFICIARY'S BANK: | /04-095-334 SWIFT: COSBUAUK.LVI Savings Bank of Ukraine / Kyiv |
| BENEFICIARY: | N 26257500138528..... FOR ...WOLOSHYNA JULYA..... |
| SENDER TO RECEIVER INFORMATION: LVIV, BRANCH NO. /6319 | |

LWOWSKI KLUB SPORTOWY „POGOŃ” LWÓW OGŁASZA NABÓR CHŁOPCÓW Z ROCZNIKA 1998-2001 DO SZKÓŁKI PIŁKARSKIEJ „POGOŃ” LWÓW



Nabór do szkoły odbywa się w każdą niedzielę o godz. 10.00 w hali „Energia” (Stryjski Park). Dołącz do nas!!!

Oferujemy:

- profesjonalne treningi;
- udział w meczach i turniejach piłkarskich;
- naukę piłki nożnej u doświadczonych trenerów;
- przyjazną atmosferę;
- możliwość wyjazdów na gry i obozy piłkarskie;
- naukę odpowiedzialności, współpracy z innymi, zasad fair play;



Wymagania od kandydatów:

- kandydat musi posiadać ważne zaświadczenie lekarskie, dotyczące stanu zdrowia;
- kandydat musi posiadać podanie o przyjęcie do szkoły, podpisane przez rodziców;
- kandydat powinien posiadać dowolny strój sportowy;

dzieje dawne i współczesne

niebem w deszczu lub na mrozie. Tak na przykład, było w Brodach, gdzie kościół ocalał z pożogi wojennej, ale władze miejscowe nie zwróciły tej świątyni wyznawcom rzymskokatolickim. Troszczył się też o okoliczne kapliczki i krzyże przydrożne, zachęcał wiernych do ich odnawiania i pielęgnowania. W ostatnich latach swego życia ks. Kwiatkowski był duszpasterzem w Glinianach koło Lwowa, gdzie olbrzymim wysiłkiem odbudował kościół i prowadził pracę duszpasterską. Swoją troską o umacnianie wiary rzymskokatolickiej narażał się władzom. Kontynuując rozpoczęte dzieło odnowienia kościoła w Łopatynie, członkowie założonego w 2006 roku Stowarzyszenia Odnowienia Kościoła w Łopatynie z siedzibą w Wójcicach,

przewodzą dalsze prace. W pierwszej kolejności wyremontowano dach, w dalszej kolejności wyremontowano zakrystię i wykonano odwodnienie oraz siłami studentów Szkoły Zawodowej w Nysie od 4 lat jest odnawianie polichromii w kościele. Przez trzy lata odnawiano polichromię w prezbiterium, a obecnie od roku są prowadzone prace renowacyjne malowideł ściennych Stanisława Stroińskiego, w nawie tylnej kościoła. W minionym roku wymieniono w kościele 8 okien. W 2008 roku pomalowano pierwszy raz dach, a w 2009 roku wiosną pomalowano go po raz drugi. W minionym roku dokonano odnowienia elewacji zewnętrznej kościoła. Od maja na ścianie frontowej, na szczycie, wróciła Matka Boża Łopatynska – ob-

raz o szerokości 220 cm i wysokości 380 cm, ofiarowany przez Bolesława Józefa Klimczuka z Niemiec. W minionym roku położono chodnik z kostki brukowej od bramy wejściowej do drzwi kościelnych. W obecnym roku wykonano nagłośnienie kościoła. Przy pomocy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Senatu Rzeczypospolitej Polskiej Stowarzyszenie wykonało prace konserwatorskie i remontowe w kościele łopatynskim na łączną kwotę 977 421 zł.

W minionym roku obchodziliśmy w Łopatynskim sanktuarium 250-lecie kultu Matki Bożej Łopatynskiej. Uroczystości trwały dwa dni – 14 sierpnia jubileusz rozpoczął się o godz. 12 występem miejscowej szko-

ły muzycznej, o godz. 13.30 montaż słowno-muzyczny przedstawił zespół z Dębicy z Polski, o godz. 15 odbyło się modlitewne przygotowanie do uroczystej Mszy św., o godz. 16.00 pod przewodnictwem JE bpa Leona Małego ze Lwowa – po Mszy św. koncertował chór z Wrocławia. O godz. 21 odbył się apel maryjny w kościele i procesja z figurą Matki Bożej wokół kościoła ze świecami, o godz. 24 Dziekan dekanatu Złoczów ks. Anatol Szpak odprawił uroczystą pasterkę maryjną, po Mszy św. nastąpiło całonocne czuwanie. Jubileusz zakończyła Msza św. w intencji zmarłych, w niedzielę o godz. 12 i procesja na cmentarz, gdzie uczczono poległych 135 Polaków w wojnie z Sowietami w 1920 roku i generała Józefa

Dwiernickiego. W uroczystościach jubileuszowych wzięli udział księża rzymskokatolicy i ojcowie z cerkwi grekokatolickiej i cerkwi prawosławnej oraz władze z Polski na czele z Senatorem RP Norbertem Krajczym oraz z władzami Ukrainy ze Lwowa i Radziechowa.

Zapraszam na odpust 14-15 sierpnia 2010 r. do Łopatyna, na uroczyste otwarcie bramy, sponsorowanej przez ludzi z Kanady. Również na tych uroczystościach będzie śpiewał chór z Ottawy w Kanadzie i chór z Wrocławia, oraz orkiestra góralska z Polski. Pragniemy też uczcić 90. rocznicę śmierci 135 Polaków, poległych w wojnie z Sowietami w 1920 roku oraz rocznicę śmierci generała Józefa Dwernickiego.

Ks. Marek Wojnarowski
Łopatyn

KRZYŻACY I PRIWISLIENCY

SZYMON KAZIMIERSKI

Kim byli Priwisliency? – Priwisliency byli mieszkańcami Kraju Priwislińskiego. Tego kraju już nie ma. Priwisliency trafiają się jeszcze tu i ówdzie. Wymierają, ale nie należy ich żałować. Zostali utworzeni przez propagandę carskiej Ochrony i egzystują już stanowczo za długo. Będę się starał przekonywać Państwa, że Krzyżacy bardzo przyczynili się do powstania Priwislienców.

Kim byli Krzyżacy

Wszyscy wiemy, a właściwie wszystkim nam się wydaje, że wiemy, kim byli Krzyżacy. Wiemy, że były to bestie. Przewrotni mordercy i podpalacze, którzy od początku nienawidzili Bogu ducha winnych Polaków. Którzy z tej nienawiści uczynili sobie sposób na życie. Którzy ogniem i mieczem wymordowali Prusów.

Wiemy, że w lochach krzyżackich zamków jęczeli zakuci w żelazo nie-szczęśni jeńcy, a przed zamkowymi bramami szubienice łamały się od ciężaru powieszonych ciał. Krzyżacy bluźnierczo drwili sobie ze znaku krzyża i samozwańczo przedstawiali się jako rycerze Matki Boskiej. Jedną ręką nabijali strzelbę, a drugą liczyli różaniec. – Dobrze piszę?

Dobrze piszę, bo bez mała od urodzenia mieszkam w dawnym państwie krzyżackim. Przechadzam się po ulicach miast, które oni wybudowali, chodzę się modlić do ich kościołów, odwiedzam zamki, w których mieszkali. Czy zostało coś z atmosfery tamtych, krzyżackich czasów? – Nic nie zostało.

Ani pod ceglany sklepieniem Malborka, ani w gęstwinie mazurskich lasów, nie slychać już echa zawołań krzyżackich wojowników – O, hej aho! – O, hej aho!

Malbork dłużej był zamkiem polskim niż krzyżackim i to ciągle przedstawianie go jako zamku krzyżackiego dowodzi tylko nieznamościami prawdziwej historii naszego regionu. Być może robi się tak również dlatego, że Malbork pięknie pasuje do czarnej legendy Zakonu Krzyżackiego i ładnie nadaje się do straszenia tą legendą naiwnych turystów.

Krzyżacy minęli i minęły ich czasy. W dodatku minęły tak dawno, że obecnie można już bez żadnych obaw chodzić nocą koło zapomnianego, ogromnego cmentarza pod Grunwaldem. Na tym cmentarzu pochowano po bitwie kilkadziesiąt tysięcy rycerzy, ale od wielu już pokoleń nie słyszano częstych tutaj kiedyś nocnych hałasów, szamotaniny i krzyków.

Dlaczego więc o Krzyżakach wciąż się pamięta? Dlaczego Krzyżacy, nawet teraz, dobrze nadają się do straszenia nimi niegrzecznych dzieci? Dlaczego każdy, z takim przekonaniem, dosłownie wszyscy twierdzą, że byli to mordercy i zbrodniarze? Naiwne pytanie! Jak to – skąd?

Wiadomo skąd. – Ze szkoły. Z powieści Sienkiewicza. Z filmu, jaki powstał na bazie tej powieści.

Jest jeszcze obraz Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”, jest „Konrad



Jazda krzyżacka była najlepsza na świecie



Superzamek Malbork. Panorama od strony Nogatu

Wallenrod”, napisany przez samego Adama Mickiewicza i „Rota” Konopnickiej, gdzie śpiewamy o tym, jak w pył rozpadnie się krzyżacka zawierucha. Każdy wie o rzezi Gdańska, kiedy to wody rzeki Raduni czerwone były od krwi. Każdy wie o rabowaniu kościołów na Pomorzu. Bo tak to było. – Zakonicy z czarnymi krzyżami na piersiach rozbijają tabernaculum. Proboszcz krzyżący po łacinie – Co robicie, nie-szczęśni?! Boga się nie boicie?!

– Ne semprent! (nie rozumiem, co mówisz) – odkrzykuje mu na to grabiący kościół Krzyżak udający Prusa. Wiadomo przecież, że Krzyżacy wszystkich Prusów dawno już wymordowali, więc skąd tu niby mógł się znaleźć prawdziwy Prus? Tak, tak! Tak to było i każdy o tym wie!

Skoro wiedza o zbrodniach krzyżackich jest nawet dziś tak dokładna i tak wszystkim dobrze znana można przypuszczać, że tym bardziej była ona znana i szeroko omawiana w wiekach wcześniejszych, bliższych czasom krzyżackich niegodziwości. Byłoby to logiczne, a i pamięć o wydarzeniach nie tak dawnych przecież, pewniejsza. Ale gdy pokusimy się o takie spojrzenie na wstrętnych Krzyżaków, przeżyjemy szokujące zaskoczenie. Chyba można powiedzieć, że to my właśnie, a nie niegdysiejsi Polacy, jesteśmy nastawieni bardziej antykrzyżacko. Dosłownie nastawieni, bo żyjemy jak gdyby pod presją antykrzyżackiej propagandy, z którą już tak zrośliśmy się, że każda próba naruszenia tego mitu, wciśniętego nam wystarczająco dawno temu, żeby się w naszych umysłach zagnieździł i rozkrzewił, powodować będzie natychmiast niesłychanie żarliwą kontrreakcję i atak na „wybielaczy krzyżackich lotrów i bandytów”.

Okrutne czasy

Ja wcale nie będę usiłował przekonywać Państwa, że Krzyżacy przybyli na ziemię pogranicza polsko-pruskiego w celu rozdawania dzieciom czekoladek i ocierania też z oczu samotnych wdów.

Trzeba jednak, chcąc prawdziwie zapoznać się ze stosunkami polsko-krzyżackimi, zapoznać się uprzednio z warunkami, jakie panowały powszechnie w tamtych czasach nie tylko w relacji Polak – Krzyżak, ale też Polak – Polak, Niemiec – Polak, Niemiec – Krzyżak, Prus – Polak i Prus – Krzyżak.

Czasy były, generalnie mówiąc, ciężkie i okrutne. Gdyby komuś zależało na tym, by przedstawić żyjących wtedy Polaków jako okrutników i morderców, znajdzie natychmiast mnóstwo przykładów na to, że Polacy to okrutnicy i mordercy. Takich przykładów można sobie zaczerpnąć niemało choćby tylko z historii polskiej rodziny królewskiej. Mówię o Piastach, gdzie rodzeni bracia wydłubywali sobie żywcem oczy, wycinali genitalia, zamurowywali w ścianę i na śmierć godzili zakutych w żelazne klatki.

Lepiej nie pytać, co się wtedy robiło nie braciom, skoro bracia poddawani byli takim właśnie zabiegom.

Podobnie jest z Krzyżakami, więc gdyby komuś zależało na tym, by przedstawić Krzyżaków jako okrutników i morderców, znajdzie natychmiast niemało przykładów na to, że Krzyżacy... i tak dalej.

Obie relacje, i ta o okrucieństwie Polaków, i ta o okrucieństwie Krzyżaków, będzie relacją manipulacyjną. Będzie relacją prawdziwą, ale zmanipulowaną, to znaczy podaną w sposób i w celu wyrobienia u czytelnika niechęci, a może nawet nienawiści w stosunku do Polaków, czy też w stosunku do Krzyżaków. Na parę miesięcy przed spodziewanym atakiem na Polskę, niemieckich chłopaków, służących w Wehrmachcie bombardowano relacjami o okrucieństwach Polaków, popełnianych na Niemcach, mieszkających wtedy w Polsce. Co tam było? – Wydłubywanie oczu, a jakże. – Zbiorowe gwałcenie niemieckich dziewczyn przez polskich parobków. – Podpalenia niemieckich gospodarstw.

Młodzi żołnierze niemieccy, słuchając tego dostawali tak zwanej cholery i przysięgali sobie, że Polakom

odpłacą z nawiązką. – I o to właśnie chodziło!!

Krzyżacy i Niemcy

No tak. Łatwo znaleźć powiązanie propagandy antypolskiej z mającym niedługo nastąpić atakiem na Polskę. Gdyby zaś postawić zwariowaną tezę, że wszelkie okropności, jakie przypisywane są obecnie Krzyżakom zaczęto wyciągać z zapomnienia w ściśle określonym czasie w przeszłości, by tworzyć z nich opowieści, doprowadzające Polaków do wściekłości, by służyły narastaniu wśród Polaków uczucia wrogości wobec Krzyżaków, to taka teza wydaje się być nawet nie zwariowana, ale wręcz idiotyczna, choćby z tego powodu, że przecież od 500 lat Krzyżaków już nie ma. Jaki sens miałyby manipulacja, nastawiająca Polaków wrogo do czegoś, czego nie ma. Kogo więc Polacy mieliby nienawidzić?

Nie wiecie kogo mieliby nienawidzić Polacy, poddani takiej manipulacji? Jak to, kogo? – Niemców!

Pojęcie Krzyżaka i Niemca można stosować (i stosuje się go) wymiennie. Krzyżacy powstał w trakcie trwania wyprawy krzyżowej i oblężenia Akki w roku 1190. Przy szpitalu dla rannych rycerzy europejskich, założonym przez mieszkańców miasta Lubeck, zwanym Szpitalem Najświętszej Marii Panny przy Domu Niemieckim w Jerozolimie, powstało początkowo nieoficjalne stowarzyszenie rycerzy niemieckich, biorących udział w wyprawie, które w rok później papież Klemens III zatwierdził jako bractwo rycerskie, a następnie papież Celestyn III w 1198 przekształcił w pełnoprawny zakon rycerski. Od nazwy szpitala, przy którym powstała organizacja niemieckich rycerzy, zakon uzyskał oficjalną nazwę Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie.

Długa to była nazwa i nieporęczna. Od przyznanego niemieckim zakonnikom znaku czarnego krzyża na białym płaszczu, wszyscy od razu zaczęli nazywać ich Zakonem Krzyżackim, lub po prostu – Krzyżakami.



Od samego swego założenia, Zakon był zakonem dla rycerzy niemieckich. Wielokrotnie rycerze innych nacji starali się o przyjęcie do Krzyżaków i za każdym razem powodowało to ogromne kłopoty prawne. Krzyżacy formalnie nie mogli przyjmować do Zakonu nie Niemców i często byli w rozterce, bo przyjęcie jakiegось bajejnie bogatego cudzoziemca mogło się wiązać z ogromnymi dotacjami dla Zakonu. Wymyślono więc instytucję „Półbrata” (zakonnego!). Półbrat był niby Krzyżakiem, ale takim nie do końca. Wyróżniał się niepełnym krzyżem, noszonym na płaszczu. Wyglądał taki krzyż zupełnie tak samo, jak duża litera T. Od stuleci wiedziało się, że Krzyżacy, to Niemcy, a pojęcie Niemca i Krzyżaka kojarzyło się każdemu jako tożsamość.

Powstałe na terenie pruskim państwo zakonne, nigdy nie należało do Niemiec, ale w odczuciu sąsiadów tego państwa było ono państwem niemieckim, choćby tylko dlatego, że mówiło się w nim po niemiecku. A niby, w jakim języku miano by tam mówić? Dlatego też, dość częste zatargi zbrojne Polski z państwem krzyżackim łatwo jest zmanipulować jako zatargi zbrojne z Niemcami, co zresztą robi się w Polsce od dziesiątków lat.

Ręka magika z Petersburga

To, że wreszcie po stuleciach, państwo krzyżackie przekształciło się w część państwa niemieckiego, jest zasługą Polaków, choć tak naprawdę zasługą królów polskich, a to przecież nie to samo. Można się złościć na królów, że w sprawie zgody na coraz większą samodzielność pruskiej prowincji kierowali się byle jakimi, lokalnymi korzyściami, jakie obiecywali im w zamian elektorzy pruscy, ale jedno nie ulega kwestii. Nikt w tamtych czasach ani nie myślał już o Krzyżakach, ani nie wiązał księstwa pruskiego z państwem krzyżackim, ani nie opowiadał okropności o potworach z czarnymi krzyżami na piersiach. Nie widziano wtedy niebezpieczeństwa

w „odpuszczaniu” Niemcom terytorium Prus, choć powinno się tego było spodziewać nie ze względu na straszliwych Krzyżaków, ale na geograficzne rozmieszczenie niemieckiej siły po obu stronach ujścia Wisły. Taki układ aż się prosił, by przy jakimkolwiek zatargu z Polską, zacisnąć jej jedyną drogę eksportową, jak zaciska się żelazna dłoń na ludzkim gardle. Ale Krzyżacy? Krzyżacy nikogo wtedy nie straszili. Krzyżacy już wtedy byli zapomnianą przeszłością. Zaczęli straszyć dopiero w dziewiętnastym wieku. Początkowo nie za bardzo, jak wszystko, co wyjęte z naftaliny, ale pod koniec dziewiętnastego wieku i na samym początku wieku dwudziestego, jak za dotknięciem magicznej różdżki, nastąpiła eksplozja niemiecko-krzyżackich strachów.

Trudno tutaj o dowody, ale wydaje mi się, że różdżkę trzymała ręka magika z Petersburga. Siła antykrzyżackiej (czytaj - antyniemieckiej) propagandy narastała z roku na rok coraz bardziej. Podobne to było do opowieści o wydłubanych oczach, jakie serwowano Wehrmachtowcom na parę miesięcy przed Wrześniem. Tym razem opowieści wystąpiły na niedługo przed pierwszą wojną światową i kierowane były do Polaków.

Nie wiercie opowieściom, że to Niemcy zainicjowały I wojnę światową. Wojny można było uniknąć, gdyby nie parła do tej wojny Rosja. W Rosji zorientowano się, że właśnie przegrano wyścig zbrojeń z energicznie rozwijającymi się Niemcami. Jeśli się chciało osłabić Niemcy i dać sobie czas na rozwój własnego kraju, trzeba było atakować Niemcy już teraz. Za rok Rosja nie miałaby w konflikcie z Niemcami nawet cienia szans. Ale wojna z Niemcami była piekielnie ryzykowna. Wymagane było zebranie do walki absolutnie wszelkich dostępnych sił. Nie tylko rosyjskich, ale i polskich. Wszak wojna z Niemcami musiała odbywać się na terenach polskich.

Narodziny mitu

Na polskich terenach, należących do Rosji nie było już Królestwa Polskiego, czy choćby tylko Kongresowego. Za karę, po przegranej powstaniu, car odebrał Polakom nawet nazwę. Ta rosyjska prowincja miała się odtąd nazywać Przewislienski Kraj, a Polacy mogli się odzywać do zwycięzców jedynie po rosyjsku. Przewislienski Kraj miał w strategicznych założeniach rosyjskich osłaniać od niemieckiego ataku Matuszkę Rosję i przed spodziewaną wojną z Niemcami dobrze byłoby mieć (bardzo ambitne zadanie dla rosyjskiej propagandy) życzliwie do siebie nastawionych Polaków. Polaków słamszonych, zbitych upadkiem ostatniego powstania, w sposób nieprawdopodobny trzymany za mordę przez „Ochranę”, Polaków, którym właściwie nawet nie wolno było mówić po polsku, trzeba było szybko przerobić na sympatyków sprawy rosyjskiej.

- Wiecie, że nieomal się to Roskom udało?!

Pierwszym, jak to w Polsce, musiał być oczywiście Mickiewicz, bo jak myślę, to chyba właśnie Mickiewicz odgrzebał z zapomnienia Krzyżaków swoim „Konradem Wallenrodem”. Mickiewicz zawsze miał skłonności do przedstawiania siebie jako okaz

dzielnego litewskiego wojownika z głębi puszczy, więc podjęcie przez niego opowieści o wojnie z Krzyżakami, wydawało się czynnością naturalną. A że mistrz Adam majstrem był przednim, przeto czytając jego opowieść, ma się wręcz namacalne wrażenie realności zmagania litewsko-krzyżackich, widzi się te krzyżackie potwory, zakute w stal i żelazo, a także widzi się ich czarny krzyż, drapieżnie wyciągający ramiona po nowe łupy na spokojnej ziemi sympatycznych Litwinów. Szkoda, że „Konrada Wallenroda” przedstawia się teraz Polakom, jako utwór oderwany od rzeczywistości, w jakiej powstawał. Adam Mickiewicz, po wyroku sądowym, skazującym go na wygnanie z Polski, pisał „Konrada



Dzieci ze szkoły we Wrześni

Wallenroda” w czasie gdy pracował sobie spokojnie w Moskwie, w kancelarii generała gubernatora Moskwy księcia Dymitra Golicyna. Prywatnie, w tym właśnie czasie prowadził bujne, salonowe życie towarzyskie, które mało było podobne do tego, z czym kojarzy się Polakom życie na rosyjskim zesłaniu. Przedmowa do pierwszego wydania „Konrada Wallenroda” była dedykowana carowi. Była wstrętą, wiernopoddańcza i ociekająca wazeliną. Mickiewicz wdzięczny był w tej przedmowie do cara, jak nie przymerzając, d... do kija. Po litewskim wojownikowi nie zostało śladu. – Co to miało znaczyć?

Wiadomo, że zaraz po wydaniu „Konrada Wallenroda”, Mickiewicz dostał paszport i wyjechał sobie spokojnie na Zachód ani myśląc o jakimś nielegalnym emigrowaniu. Czy więc to mizdrzenie się przed carem za cel miało tylko uzyskanie paszportu, czy chodziło o coś jeszcze? Ja nie wiem. Ja tylko przedstawiam Państwu wydarzenia, które wydają się być bardzo dziwne. Po dzisiejszemu mówiąc, poeta represjonowany pisze antyniemiecki poemat, dedykowany carowi i od razu „buzi – buz”, paszport i podróz do lepszego, zachodniego świata. Myślicie, że to się tak samo zrobiło? Ja tak nie myślę. Nie urodziłem się wczoraj. Szczególnie kiedy się pamięta, że SB za paszport kupiło sobie zupełnie niedawno, nawet polskiego biskupa.

Żli Krzyżacy

„Konrad Wallenrod”, obojętnie czy otwierał listę antykrzyżackich utworów, czy był tylko zarysem pomysłu na takie utwory, zawierał w sobie gotowe elementy propagandowe, wykorzystywane później już bez jakichkolwiek zahamowań.

Czarne – białe. Żli Krzyżacy – dobrzy Litwini. Wstrętni Krzyżacy –

sympatyczni Litwini. Potem będzie to: wstrętni Niemcy – sympatyczni Polacy. U Kraszewskiego bodaj, dojdzie już do zupełnego absurdu, bo Niemcy, jako ci okropni, będą mieli czarne włosy i czarne oczy, a dobrzy Polacy – jasne włosy i niebieskie oczęta. Niemiec musiał być czarny, chociaż to idiotyzm i nijak nie pasuje do prawdziwych nordyckich „białasków”. Czarny i konieczny butny. Najlepiej, żeby był butny i pyszny pruską butą i pychą. Roskiego soldata, który wcale nie tak dawno temu pastwił się nad rodzicami i dziadkami ówczesnych Polaków w Przewislienskim Kraju nie widziano i nie chciano widzieć. Wiedziano natomiast Krzyżaka. To chyba właśnie wtedy „konieczność dziejowa” wcisnęła nam... trzeciego brata!

komuś do głowy zacząć jakąś akcję protestacyjną, powiedzmy na stokach cytadeli warszawskiej...

Za chwilę za Krzyżaków zabierze się supergwiazda polskiej literatury, Henryk Sienkiewicz i Krzyżakom przestanie być do śmiechu. Sienkiewicz pisze „Krzyżaków” przez trzy lata. Przez trzy lata ukazują się w „Tygodniku Ilustrowanym” kolejne odcinki powieści. Przez trzy lata cała Polska dzieli czas na oczekiwanie od jednego odcinka powieści do drugiego. Z czasem powieść Sienkiewicza przetłumaczona będzie na 25 języków. No i dobrze. Pan Sienkiewicz mógł sobie pisać o Krzyżakach, Szwedach, czy Tatarach. Władzy to nie przeszkadzało. Sienkiewicz miał mnóstwo tematów do wspaniałej powieści

obchody 500 - lecia bitwy grunwaldzkiej. Odślonięto Pomnik Grunwaldzki i po raz pierwszy, oficjalnie odśpiewano „Rotę”. Polacy myśleli, że to tylko oni sami, bez obecności okupantów o których przestano wtedy nawet myśleć, celebrytą swoją rocznicę. Polakom się wydawało, że robią to wszystko dla siebie – „dla pokrzepienia serc”.

Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz! Wspaniale! – Ale Ruski? – A Ruski to niech sobie pluje??

Pierwsza Kadrowa podbija Przewislienski Kraj

6 sierpnia 1914 roku o godzinie 2.42, z Krakowa wyrusza w kierunku granicy Cesarstwa Rosyjskiego Pierwsza Kadrowa Kompania Woj-



Szkoła we Wrześni

z czasu powstań przeciwko rosyjskim okupantom. Wiadomo dlaczego nigdy nie powstała taka właśnie powieść. Aż takim bohaterem, lub idiotą, Sienkiewicz nie był.

Samobójczy gol Niemców

Mija jeszcze parę lat i Niemcy, diabli wiedzą po co, strzelają sobie samobójczego gola. Wybuchoł afera ze szkołą we Wrześni pod Poznaniem. Polskie dzieci nie chcą się uczyć pacierza po niemiecku i za karę dostają: dziewczynki – „na łapę”, a chłopaki – „na tyłek”. Przez Polskę przeszedł ryk wściekłości. – „Krzyżacy biją nasze dzieci”. I znowu. W rosyjskich szkołach dzieci bite są prawie codziennie. W Rosji bije się w szkole, bije się w wojsku. Każdy, kto nie ma udokumentowanego pochodzenia szlacheckiego należy do grupy poddanych cara, których można bić. Kijem po d...e, albo pięścią po mordzie. Ale w Przewisliu wolno się oburzać tylko na to, że Niemcy biją polskie dzieci we Wrześni. Broń Boże, żeby pisać o tym, jak to Ruscy biją polskie dzieci, na przykład w Kielcach, Wilnie, czy Warszawie.

Niemcy strzelają sobie następnego gola. Pęka afera z wozem Michała Drzymały. Polacy z dawnej Kongresówki, jak gdyby dopiero teraz zobaczyli Polaków z zaboru niemieckiego. Polacy z dawnej Kongresówki są już wystarczająco napompowani antyniemiecko, by dotarło do nich, jakiego to okropnego losu pod niemieckim butem oszczędził im car-oswobodziciel.

Dla wielu, Rosjanie zaczynają już być – „nasi”. Prawdziwymi wrogami stają się Niemcy, Krzyżacy, dręczyciele Danuśki i Michała Drzymały.

– „Nie będzie Niemiec”... Pani Kopnicka pisze tekst „Roty”. Wschodniopruski Polak, pan Nowowiejski dopisuje do tekstu muzykę. Na rok 1910, na równo 500 lat po Grunwaldzie „Rota” już jest gotowa. W Krakowie odbyły się wtedy niesłychanie podniosłe

144 polskich chłopaków, których po 123 latach niewoli można było nazywać, choć nadal nieoficjalnie, pierwszym oddziałem polskiego wojska.

Jako, że każdy sądzi podług siebie, tak i oni myśleli, że po przejściu granicy zaboru rosyjskiego, tłumy Polaków przyłączą się do nich spontanicznie, tworząc potężną armię wyzwolenczą, będącą w stanie wywalczyć niepodległość dla całego narodu polskiego. Takie powstanie narodowe obiecywał też Austriakom, sponsorom powstającego oddziału polskiego, sam Józef Piłsudski.

O godzinie 9-tej Kompania osiągnęła granicę rosyjską w Michałowicach i obalając ruskie słupy graniczne, weszła w głąb rosyjskiego zaboru. Austriacki rozkaz wyznaczał Kompanii zajęcie Jędrzejowa, ale Piłsudski kazał kompanii maszerować na Kielce. Rosjanie wszędzie cofali się. 12 sierpnia Kompania zajęła Kielce. I wtedy Józef Piłsudski i cała Kompania Kadrowa przeżyli ciężki szok. Zostali potraktowani przez kielczan jak najeźdźcy! Nikt nie chciał z nimi rozmawiać. Nikt się nie chciał do nich przyłączyć. Kielczanie, rozpaczeni faktem, że „ich” wojsko wycofało się, zamykali się przed „Niemcami”, uciekali przed nimi, a nawet przeklinali ich. Przewislieniec pokazał swoje oblicze. Wściekał się, że ktoś chce mu zburzyć tak spokojnie zapowiadające się życie leniwego psa pod dobrym panem.

Konsekwencje tych wydarzeń były tragiczne. Piłsudskiemu przestano wierzyć jako politykowi. Zapowiadał przecież ogólnonarodowe powstanie, a tu...

To nie były tylko Kielce. Tłumy łamały sobie w ścisiku ręce i nogi, gdy z dworców warszawskich odchodziły do Rosji ostatnie pociągi ewakuacyjne. – Niemcy idą! Jezus, Maria, Niemcy idą! ➤

► Poborowi do armii carskiej nie mogąc odnaleźć ewakuowanych już punktów rekrutacyjnych, za własne pieniądze gonili te cofające się urzędy, dopadając je dopiero gdzieś hen, w środku Rosji, ale 'wsio taki' załapywali się jeszcze do ruskiego wojska. Teraz nikt nie chce pisać o takich wstydlivych wydarzeniach, tak, jak nikt nie chce przypominać sobie faktu, że się zemsrodził podczas proszonego obiadu. Ale, kochani Państwo, nie wolno udawać, że wszystko było zawsze tylko wspaniałe, szlachetne i patriotyczne.

W roku 1916 powstała pieśń Legionów – „My Pierwsza Brygada”. Prawdziwa czwarta zwrotka pieśni była trochę inna niż ta, jaką śpiewa się teraz. Dotyczyła właśnie Kielc, czyli spotkania się narodowej koncepcji oswobodzenia Polski od zaborców w zamysle żołnierzy Pierwszej Kadrowej z „życiową mądrością” nażartych ruskimi pierogami Priwislienców z „królewskiego miasta Kielce”. Myślę, że wybaczą mi Państwo tak zwane „wyrażenie się” podjęte tylko w celu przedstawienia prawdy historycznej. Nie zapominajmy, że sprawa dotyczy groźnej grupy społecznej, bo rozgoryczonych żołnierzy Wojska Polskiego.

– „Nie chcemy dziś od was uznania, Ni waszych mów, ni waszych łez, Już skończył się czas kołatania, Do waszych serc, jebał was pies”. Tyle Pierwsza Kadrowa polskim Priwisliencom.

„Priwislieniec” – to wyrażenie w słowniku Józefa Piłsudskiego było najgorszą obelgą, jaką Marszałek mógł komuś rzucić w twarz. Trzeba było zrobić nie lada świństwo, żeby sobie na takie określenie zasłużyć.

Prywisliency

Wiadomo, że na wytworzenie Priwisliencia miało wpływ bardzo wiele czynników, że Priwislieniec nie był tylko wytworem antyniemieckiej propagandy, czy spaczono go pojęciem „pokrzepiania serc”. Chcę raczej powiedzieć, że na prawie gotowego już Priwisliencia nagle nałożyła się silna, bardzo sprytna i podstępnie podana propaganda antyniemiecka, tworząc razem specyficzny rodzaj antyniemieckiego dumia, uwielbiającego wszystko, co ruskie. Chcecie Państwo rozpoznać Priwisliencia nawet celowo ukrywającego się przed zdekonspirowaniem? Dajcie mi się napić wódki. Po wódce Priwislieniec demaskuje się i nagle zaczyna śpiewać po rusku!

Charakteru Priwisliencia można było nabyć nie będąc Priwisliencem. Wystarczyło być pod wpływem literatury, przeznaczonej dla Priwislienców. Dobrym przykładem takiego przypadku byłby generał Langner, dowódca obrony Lwowa w roku 1939. Pan generał miał niebywale „szczęście” wojenne, bo mógł wybierać pomiędzy dwiema armiami, by poddać jednej z nich dowodzoną przez siebie obronę miasta. Wybrał Armię Czerwoną, bredząc coś przy tym o jedności Słowian i wyższości niewoli słowiańskiej nad germańską. Niemcom bardzo zależało na tym, by generał poddał się właśnie im. Oferowali bardzo korzystne warunki kapitulacji, a pod koniec września 1939 było już wiadomo, że Niemcy warunków kapitulacji dotrzymują. Niemcy mówili wprost. Jeśli poddacie się Rosjanom, ogarnie was Azja! Wiedząc to wszystko, pan generał wybrał Ruskich. Jakoby wykonywał rozkaz Naczelnego Wodza mówiący, by z Armią Czerwoną nie walczyć. Nie walczyć, to nie znaczy poddawać się.

Rozkaz Naczelnego Wodza nie nakazywał poddawać się Armii Czerwonej i powoływanie się teraz na ten rozkaz jest zwyczajnym zawracaniem głowy. Rozkaz Naczelnego Wodza nie nakazywał też pertraktacji z Rosjanami w Moskwie, a pan generał do Moskwy, na pertraktacje, pojechał.

Takim wielkim był dowódcą, że aż w Moskwie musiał prowadzić rozmowy o kapitulacji Lwowa?

A może to w Moskwie chciano sobie obejrzeć cudaka oddającego bez wystrzału miasto w zamian za głupią gadaninę o Słowianach?

W nieco podobnej sytuacji znalazł się dużo później generał „Bór” Komo-



Zakłady mechaniczne, ze składek rodaków, wykonały nowy wóz dla Michała Drzymały

rowski, gdy przyszło mu poddawać Powstanie Warszawskie. Też proponowano mu wyjazd na rozmowy z Himmlerem w Kwaterze Głównej SS. Ale pan generał Komorowski stanowczo odrzucił jakiegokolwiek wyjazd, jakiegokolwiek rozmowy, jakiegokolwiek traktowanie go inaczej niż wszystkich powstańców. Nie opuścił swoich żołnierzy i oni pamiętają mu to do dzisiaj. Ruscy bajerowali generała Langnera swobodnym przepuszczeniem Polaków na Węgry. Kiedyś w Warszawie mówiło się na takie myślenie oczu

– „Mowa do chińskiego ludu”.

Wystawia sobie opinię ktoś, kto w mowę do chińskiego ludu wierzy, lub może tylko udaje, że wierzy. Rozbrojonych generalskim rozkazem Polaków, tuż za pierwszą linią wojsk rosyjskich brutalnie aresztowano.

1500 oficerów obrony Lwowa Ruscy pogonili marszem do Winnik i Krasnego. Stamtąd pociągami do

miałby tego dokonać? Może w przebraniu dziada-lirnika?!

Przejrzałem Internet, chcąc się dowiedzieć, jakich to wyczynów bojowych dokonał generał na Zachodzie. Dowiedziałem się, że był surowym służbistą i „psem” na oficerów, lubiących sobie czasem pogorzalkować.

Gdy się postawi na wadze jednego służbistę, a po przeciwnej stronie wagi 1500 oficerów, to od razu widać, że Wojsko Polskie straciło na tej zamianie.

Priwisliencem mógł być robotnik, profesor wyższej uczelni, baba, handlująca na bazarze jajkami. Było ich mnóstwo. Pojęcia nie mamy ilu ich było naprawdę, bo wiemy tylko o

wybijaniu Prusów nie było mowy. Po okresie walk, wszystko powoli się uspokoiło, Prusowie pracowali na roli i służyli w wojsku krzyżackim, gdzie zamiast munduru, wszyscy, bracia zakonni i Prusowie, nosili białe jaki (jaka, to coś w rodzaju bezrękawnika, dość długiej sukni) z czarnym krzyżem, zakładane na pancerz. Braci zakonnych było niewiele. W najlepszych dla Zakonu okresach było ich najwyżej kilkuset. Te tysiące krzyżackich wojowników, w białych jakach z czarnymi krzyżami, to byli Prusowie i brani do wojska osadnicy niemieccy.

„Ne semprent” było więc autentyczne i szczere. Biała jaka, z czarnym krzyżem myliła wszystkich sugerując, że nosi ją krzyżacki zakonnik.

Jeszcze w wieku siedemnastym, w podolsztyńskich parafiach Purda i Klebark Wielki mieszkali Prusowie, nie znający ani języka niemieckiego, ani polskiego. W obu tych parafiach biskup warmiński musiał obsadzać proboszczów, znających język pruski, by mogli wygłaszać po prusku kazania i służyć spowiedzi w języku pruskim.

Jeszcze w wieku szesnastym, na terenie państwa krzyżackiego istniały całe enklawy Prusów nie ochrzczonych i uprawiających nadal swoje własne obrzędy do pogańskich bożków. Każdy Wielki Mistrz Zakonu dobrze o tym wiedział, a bywało, że wykorzystywał pruskich kapłanów do wykonywania, podobno bardzo skutecznych, zabiegów magicznych.

Watykańscy wizytatorzy Zakonu rwali sobie garściami włosy z głowy!!

Podczas tak zwanej rzezi gdańskiej, Krzyżacy wcale nie atakowali polskiej ludności Gdańska. Zabijali głównie Niemców. Było to jakieś niezbyt jasne obecnie porachunki krzyżackie z niemieckimi kupcami gdańskimi. Gdańszczanie byli stronnikami brandenburgczyków, aktualnych wrogów Zakonu. Krzyżacy mordowali więc stronników Brandenburgii, ale jednocześnie mścili się za coś, co gdańszczanie zrobili w przeszłości krzyżackiemu Elblągowi. Jak nie wiadomo o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze. I taka właśnie była ta rzeź. Krzyżacy mieli chyba jakąś listę ludzi, których zamierzali zabić. Gadanie o 10 000 ofiar rzezi, jest wymysłem propagandowym. Tak samo, nie było latania po ulicach z mieczami i sieczenie wszystkiego, co się rusza. Ofiary przed egzekucją spowiadały się jeszcze i zachowana była jakaś tam, katowska kurtuazja. Przedstawianie tego, co się wtedy zdarzyło w Gdańsku, jako mordowanie gdańskich Polaków przez Niemców celem pozbycia się Polaków z miasta, jest nieprawdą mawianą nam celowo.

Leben und leben lassen, czyli żyj i daj żyć innym. To była doktryna państwa krzyżackiego, gdzie najcięższą, jeszcze nieuprawianą ziemię otrzymywał osadnik niemiecki, a Prus dostawał ziemię lekką, już uprawianą nie dlatego, że nie lubiło się Niemców, a kochało Prusów, ale dlatego, że Niemiec miał pług żelazny, a Prus drewnianą sochę. Ten przykład najlepiej przedstawia charakter państwa zakonnego. Nijak to chyba nie pasuje do tego, co Państwo wiecie o Krzyżakach, gdzie to Prus powinien dostawać najgorsze, a Niemiec najlepsze. A było całkiem odwrotnie. **Było inaczej i nic na to nie można poradzić, „że choć siadłwszy, płacz”, jak się to mówi na Wileńszczyźnie.**

Manipulacja

Kłamstwem jest, że Krzyżacy wymordowali Prusów. Owszem. Walki z Prusami były ciężkie, ale o jakimś

Pierwsza Brygada



Legioniści wkraczają do Kielc

*Legiony to żołnierska nuta,
Legiony to ofiarny stos,
Legiony to żołnierska buta,
Legiony to straceńców los.*

*My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy swój życia los,
Na stos, na stos.*

*O ileż mąk, ileż cierpienia,
O ileż krwi, wylanych łez.
Pomimo to – nie ma zwątpienia,
Dodawał sił – wędrówki kres.*

My, Pierwsza Brygada...

*Mówili żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć to móc.
Leliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz drogi wódz!*

My, Pierwsza Brygada...

*Inaczej się dziś zapatrują
I trafić chcą do naszych dusz,
I mówią, że nas już szanują,
Lecz właśnie czas odwetu już!*

My, Pierwsza Brygada...

*Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych mów, ni waszych łez.
Skończyły się dni kołatania
Do waszych dusz, do waszych serc.*

My, Pierwsza Brygada...

*Dziś nadszedł czas
pokwitowania
Za mękę serc i katusz dni.
Nie chcecie więc politowania,
Zasadą jest: za krew chciej
krwi.*

My, Pierwsza Brygada...

*Umieliśmy w ogień zapalu
Młodzieńczych wier rozniecić
skry,
Nieść życie swe dla ideału
I swoją krew i marzeń sny.*

My, Pierwsza Brygada...

*Potrafim dziś dla potomności
Ostatki swych poświęcić dni,
Wśród fałszów siać siew
szlachetności
Miazgą swych ciał, żarem
swej krwi.*

My, Pierwsza Brygada...

FRYDERYK CHOPIN (1810-1849) I JEGO LWOWSCY KONTYNUATORZY

Część V – pierwsze miesiące po wyjeździe z Warszawy



MICHAŁ PIEKARSKI

Po ostatnim, jak się później okazało „pożegnalnym” koncercie, danym przez Chopina w Warszawie 11 października 1830 r. kompozytor opuścił rodzinne miasto 2 listopada. Żegnany był przez przyjaciół, profesorów i bliskich, odprowadzających go aż do zachodnich rogatek Warszawy (dziś dzielnica Wola). O nadanie odpowiedniej oprawy temu wydarzeniu zadbał jego dawny nauczyciel Józef Elsner, tworząc specjalnie na tę okazję kantatę (utwór wokalnoinstrumentalny) na głosy męskie i gitarę do słów Ludwika Adama Dmuszewskiego, którą wykonali uczniowie Szkoły Głównej Muzyki na rogatkach wolskich otaczając niespodziewanie dyliżans wiozący Chopina.

Zrodzony w Polskiej krainie
niech Twój talent wszędzie słynie.
A gdy będziesz nad Dunajem,
Spreją, Tybrem lub Sekwaną
Niechaj polskim obyczajem
ogłaszanymi zostaną
Przez twe zajmujące tony;
Co umila nasze strony
Mazur i Krakowiak luby.
Stąd szukaj zaszczytu, chluby,
Nagrody talentu, trudów,
Że głosząc pieśń naszych Ludów
Jako ich współziomek prawy
Przydasz wieniec do ich sławy.

Choć opuszczasz nasze kraje,
Lecz serce twoje w pośród nas
zostaje;
Pamięć twego talentu istnieć u nas
będzie,
Życzmy ci serdecznie pomyślności
wszędzie.

Fryderyk Chopin cieszył się już wtedy na ziemiach polskich sławą wybitnego pianisty i kompozytora. Za granicę (w pierwszej kolejności do Wiednia) wyjeżdżał wówczas na dłuższy pobyt aby poznać więcej świata i jednocześnie rozślawiać Polskę na forum międzynarodowym. Nikt jednak wówczas nie przypuszczał, że wyjedzie on na zawsze.

Droga do Wiednia wiodła przez Kalisz, Wrocław, Drezno i Pragę. W Kaliszu do Chopina dołączył Tytus Wojciechowski, jego przyjaciel jeszcze z czasów licealnych, z którym odtąd wspólnie odbywał podróże. Dyliżans zatrzymał się następnie we Wrocławiu, gdzie Chopin z Wojciechowskim spędził parę dni, bawiąc m.in. w operze. W mieście nad Odrą Fryderyk Chopin dał także koncert w Resursie (klub towarzyski), gdzie



Dom, w którym Chopin mieszkał w Wiedniu

zagrał dwie części z Koncertu fortepianowego e-moll (cz. II Romans i cz. III Rondo) oraz jak to było w zwyczaju, improwizował na temat modnej wówczas opery „La muette de Portici” („Niema z Portici”) Daniela François Auber (premiery – Paryż 1828 r.). Ponieważ poza terytorium ziem polskich Chopin nie był jeszcze znanym kompozytorem, to snobistyczne elity wrocławskie nie wiedziały jak się odnieść do występu młodego muzyka. W swoim liście do rodziców doskonale skomentował to słowami: „żaden z Niemców nie wiedział, co robić. Tytus [Tytus Wojciechowski] miał uciechę patrząc na nich. Ponieważ ja jeszcze nie miałem ustalonej reputacji, więc dziwno się i bano dziwić; nie wiedzieli, czy kompozycja dobra, czy też im się tak tylko wydaje. Jeden z tutejszych znawców przybliżył się do mnie i chwalił nowość formy, mówiąc, że mu się nic jeszcze w tej formie nie zdarzyło słyszeć, nie wiem, kto to był, ale ten mię może najlepiej zrozumiał”.

Jakże wymownie brzmią i dziś te słowa, bowiem nadal do dobrego tonu należy bywanie na koncertach, ale już tylko niewielka część słuchaczy zadaje sobie trud, żeby wnikać głębiej w istotę muzyki poprzez poznanie jej również poza sporadycznie słuchanymi koncertami (np. we własnym domu).

Samo przyjęcie, zorganizowane po koncercie, Chopinowi nie do końca przypadło do gustu, o czym w tym samym liście pisał: „Straszne tu Niemcy, przynajmniej wczorajsze towarzystwo; nasz pan Schraff jest wyjątkiem”. Wspomniany Scharff był poznanym przypadkiem wro-

clawskim kupcem, który oprowadził Chopina i Wojciechowskiego po mieście.

Kolejnymi miastami, odwiedzonymi przez Chopina, były Drezno i Praga. Chopin będąc w Dreźnie na wieczorne muzycznym w domu prywatnym, zadziwił się nową niemiecką modą, zastawszy w salonie dużą liczbę dam, które słuchając muzyki jednocześnie szydełkowały na drutach. W kręgu kultury niemieckiej należało bowiem wówczas do dobrego tonu szydełkowanie w czasie domowych koncertów, pokazujące w ten sposób (właściwy dla kultury niemieckiej) połączenie zmysłu praktycznego z artystycznym. Chopin z przekąsem relacjonował swoje wrażenia rodzicom: w sali „w której po obu stronach ośmiu ogromnych stołów mnóstwo siedzących dam spostrzegłem. Nie tyle brylanty, jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi się migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielką, że można się było obawiać jakiegoś przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczyć: szkielec bowiem mnóstwo, a coraz to goła skóra”.

Wielkim zainteresowaniem Chopina cieszyła się także drezdeńska galeria obrazów, którą Chopin znalazł już z wcześniejszego pobytu w Dreźnie (w 1829 r.) i na jej temat pisał „Gdybym tu mieszkał, chodziłbym tam co tydzień, gdyż istnieją obrazy, na których widok zdaje się, że słyszę muzykę”. Także najprawdopodobniej właśnie podczas pobytu w Dreźnie w 1830 r., w domu Komarów, Chopin poznał Delfinę Potocką z domu Komarów, z którą później utrzymywał ożywiony kontakt.



Fryderyk Chopin, rysunek Elizy Radziwiłłówny z 1829 r.

Ostatecznie Chopin do Wiednia dotarł 23 listopada 1830 r., gdzie pozostał przez 8 miesięcy. W Warszawie 6 dni później, w nocy z 29 na 30 listopada wybuchło powstanie, pod przewodnictwem Piotra Wysockiego, rozpoczęte marszem na Belweder. Było ono początkowo wymierzone przede wszystkim przeciwko wielkiemu księciu Konstantemu – wodza naczelnego wojsk Królestwa Polskiego (wchodzącego w skład Cesarstwa Rosyjskiego), brata cara Mikołaja I. Fryderyk Chopin na wieść o powstaniu chciał wrócić do Warszawy, lecz od pomysłu tego odwiódł go Tytus Wojciechowski, który sam jednak ostatecznie tam wyruszył. W liście do rodziny Chopin pisał: „Mama kontenta, że mnie [w Warszawie] nie ma, ale ja niekontent jestem”.

W grudniu 1830 r. Chopin włączył się w aktywne uczestnictwo w życiu muzycznym Wiednia, początkowo bez świadomości, co się działo w Warszawie. Odnowił także kontakty z poprzedniego pobytu w mieście (w 1829 r.) m.in. z Karlem Czernym i Janem Nepomukiem Hummlem (znanym pianistą i kompozytorem). W Wiedniu Chopina odwiedził również bawiący tam wówczas August Freyer – znany warszawski organista kościoła ewangelicko-augsburskiego. Kompozytor samotnie spędził Święta Bożego Narodzenia. Wiedząc już o wybuchu powstania, w liście do swego przyjaciela Jana Matuszyńskiego, który aktywnie uczestniczył w Powstaniu Listopadowym, Chopin wyraził swój nastrój: „Mój Boże, i ona [Konstancja] i siostry, choć szarpami [materiał do opatrywania skałceń] mogą się przysłużyć, a ja... Gdyby nie to, że ojcu może ciężar, natychmiast bym powrócił. Przeklinam chwilę wyjazdu i przyznaję, znając moje stosunki, że po odjeździe Tytusa, za wiele razem na głowę mi spadło. [...] W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu, piorunuję na fortepianie”.

W styczniu 1831 r. doszło w Warszawie do detronizacji cara Mikołaja I, któremu przewodziło Towarzystwo Patriotyczne, kierowane przez Joachima Lelewela. Chopin w Wiedniu żył w dalszym niepokoju, o czym dał znać w liście do swojego dawnego nauczyciela Józefa Elsnera. „Od dnia jednak, w którym się dowiedziałem o wypadkach 29 listop., aż do tej chwili nie doczekałem się niczego, prócz niepokojącej obawy i tęsknoty”. W dalszej części listu Chopin usprawiedliwił się, że do tej pory nie myślał o własnym koncercie, bowiem zbyt mocno targaly nim niepokoje związane z wydarzeniami w Warszawie. Dopiero 4 kwietnia 1831 r. Chopin wystąpił grając Koncert fortepianowy e-moll op. 11.

Będąc na jednym z koncertów, słyszał grę Henriego Herza, wiedeńskiego pianistę i kompozytora. Jednak nie wypowiedział się zbyt pochlebnie na temat jego „Wariacji na tematy polskie” pisząc: „Biedne polskie motywy! Ani się spodziewacie, jakimi majufesami was naszpikują, nazywając to dla przywabienia publiczności polską muzyką”. 11 czerwca 1831 r. Chopin dał w Wiedniu koncert publiczny, wykonując ponownie Koncert fortepianowy e-moll. Nad Dunajem powstały także niektóre pieśni do słów Stefana Witwickiego, które autor otrzymawszy chwałę w liście do kompozytora.

W Wiedniu Chopin borykał się także z problemami paszportowymi, jako obywatel Cesarstwa Rosyjskiego, o czym relacjonował rodzinie „Paszport co dzień mi obiecują i co dzień od Annasza do Kajfasza drepczą dla odebrania tego, com w depozycie policji zostawił. Dziś jeszcze nowej dowiedziałem się rzeczy: że mój paszport tak gdzieś zarucono, że go nie tylko nie odzyskają, ale potrzeba, ażebym podał prośbę o wydanie mi nowego. Dziwne nas wszystkich spotykają koleje: chociaż jestem gotów wyjechać, przecież nie mogę...” Jakże współcześnie mogą brzmieć te słowa... Ostatecznie Chopin, pomimo uzyskania wizy do Londynu, nie otrzymał pozwolenia na wyjazd w rosyjskiej ambasadzie w Wiedniu, dlatego przez Monachium udał się do Paryża.

Jeszcze z Wiednia Chopin pisał do rodziny: „Ale ja się niczego tutaj nie uczę, co jest wiedeńskie z natury. [...] Walca, na przykład, żadnego należycie tańczyć nie umiem, to już dosyć. Mój fortepian nie słyszał, tylko mazury”. W Wiedniu skomponował kilka mazurków (stylizacje polskiego tańca narodowego), 4 nokturny (liryczne utwory o śpiewnej linii melodycznej), etudy oraz pieśni. 20 lipca 1831 r. Fryderyk Chopin opuścił Wiedeń, udając się przez Linz, Salzburg, Monachium i Stuttgart do Paryża.

RELACJA Z OBCHODÓW 70. ROCZNICY DEPORTACJI OBYWATELI POLSKI W GŁĄB ZSRR

ŁUKASZ KISIELICA tekst
zdjęcia ŁUKASZ ZAWALSKI,
PIOTR WRÓBEL

28 lutego br. Przemysł stał się miejscem najważniejszej, głównej uroczystości w kraju, mającej w sposób szczególny uczcić 70. rocznicę Deportacji na Sybir.

Przesłaniem uroczystości dla organizatorów: Marszałka Województwa Podkarpackiego, Centrum Kulturalnego w Przemysłu – wojewódzkiej instytucji kultury, Przemyskiego Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej X D.O.K. oraz Instytutu Pamięci Narodowej – Oddział w Rzeszowie były także wymowne słowa Adama Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich To Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie”. Te słowa powinny być dla nas przestrożą a zarazem wyzwaniem.

Komitet honorowy Obchodów, objętych honorowym patronatem przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego – tworzyli: JE Józef Michalik – Metropolita Przemyski, ks. gen. dyw. Tadeusz Płoski – Biskup Polowy WP, Tadeusz Chwiedź – Prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Polsce, Cezary Grabarczyk – Minister Infrastruktury, Ryszard Kaczorowski – Prezydent RP na emigracji, Janusz Krupski – Minister ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Janusz Kurtyka – Prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Bogdan Zdrojewski – Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Uroczystości rozpoczęły się w przemyskiej Bazylice Archikatedralnej Mszą św. pod przewodnictwem Arcybiskupa Józefa Michalika – Metropolity Przemyskiego wspólnie z Arcybiskupem Janem Martyniakiem – Metropolita Warszawsko-Przemyskim Kościoła Grekokatolickiego oraz Biskupem Polowym Wojska Polskiego ks. generałem dywizji Tadeuszem Płoskim – który ponadto wygłosił głęboką w swej treści patriotyczno-historyczną homilię. Dodatkowo Msza św. miała niezwykle uroczystą asystę kilkudziesięciu księży oraz oprawę muzyczno-wokalną za udziałem Wojskowej Orkiestry 21 Brygady Strzelców Podhalańskich i Archidiecezjalnego Chóru „Magnificat” z Przemysła. Obecność kilkudziesięciu pocztów sztandarowych: organizacji sybirackich, służb mundurowych, szkół i organizacji społecznych oraz Kompanii Honorowej 14 Batalionu Zmechanizowanego w Przemysłu.

Następnie obchody przeniosły się na Plac Legionów, gdzie nastąpiło uroczyste poświęcenie przez Arcybiskupa Józefa Michalika oraz ks. gen. Tadeusza Płoskiego „Dzwonu Sybiraka”, po czym został w formie symbolicznego serca dzwonu przekazany Sybirakom przez Fundatorów tj.: Marszałka Województwa Podkarpackiego, Centrum Kulturalne w Przemysłu oraz Przemyskie Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej X D.O.K. Wiele pięknych słów padło z listu Prezydenta RP – Pana Lecha Kaczyńskiego, odczytanego przez Ministra Kancelarii Prezydenta RP Pana Marka Surnaczka, do organizatorów i uczestników uroczystości. W równie podniosłym tonie skierował w swoim liście Marszałek Sejmu Pan Bronisław Komorowski. Wielce wymowne słowa wypowiedział Marszałek Województwa Podkarpackiego Pan Zygmunt Cholewiński:

„Przed chwilą rozległ się głos unikatowego „Dzwonu Sybiraka”, którego



Przekazanie symbolicznego serca „Dzwonu Sybiraka”

serce zostało przekazane Związkowi Sybiraków w Polsce. Dzwon był od zarania dziejów tym niezwykłym instrumentem, którego głos towarzyszył człowiekowi od urodzin do śmierci. Dzwon bił na trwogę i na wiktoryę. Zapowiadał śmiertelne niebezpieczeństwo i wielką chwałę. Przemawiał swym śpiewnym głosem w różnych sytuacjach, jako wierny towarzysz ludzkiego losu.

Przemysł jest stolicą polskiego ludwisarstwa. Jarowany Sybirakom ma więc szczególną wymowę. Zwłaszcza w dniu dzisiejszym. Czyż może być bardziej wymowne i oddające głęboki sens dzisiejszej uroczystości motto, wyryte na jednym z dzwonów w Szafluzie w Szwajcarii „Vivos voco, mortos plango, fulgura flango”, co oznacza – „Żywych zwołuję, zmarłych oplakuję, gromy kruszę”? Niech ten „Dzwon Sybiraka” niesie to przesłanie w 70. rocznicę deportacji na „Nieludzką Ziemię” od Przemysła po wszystkie krańce świata. Ku pamięci i przestrodze!”

Dopełnieniem obchodów 70. rocznicy deportacji na Sybir, była przygotowana z wielkim rozmachem rekonstrukcja historyczno-teatralna „Wywózki na Sybir – NA NIELUDZKĄ ZIEMIĘ” – pokazująca tragizm wywózki obywateli Polski w głąb ZSRR – która przedstawiała się następująco: „Świt 10 lutego 1940 roku. Przed kamienicę na jednej z przemyskich ulic zajeżdża ciężarówka z funkcjonariuszami NKWD, którzy wyskakują z samochodu i wbiegają do kamienicy. Wiedzą już pod jaki numer załomotać – profesora wraz z rodziną wskazał dozorca budynku.

Ciszę, panującą na klatce schodowej, przerywa stukot żołnierzy, wbiegających po schodach, a po chwili także walenie kolbami i okrzyki w języku rosyjskim. Do drzwi podchodzi jeden z domowników i przekręca zamek. Otwierają się one z hukiem, a wpadający funkcjonariusze odtrącają go brutalnie.

- Co tu się dzieje? Co znaczący ma to najście?! – krzyczy profesor, po czym zostaje brutalnie odepchnięty, a jeden z enkawudzistów przykłada mu bagnet do piersi.

- Macie 10 minut na spakowanie najważniejszych rzeczy. Z rozkazu Stalina zostaniecie przeniesieni do innej oblasti. Weźcie tylko to, co niezbędne. Resztę dostaniecie na miejscu – odpowiada oficer NKWD.

Rodzina rozbiega się po mieszkaniu, ubierając się w biegu i pakując do walizek co się da. Żona profesora ubiera dzieci, starając się im spokojnie wytłumaczyć, że muszą być grzeczni i nieudługo wrócą, a teraz muszą szyb-

ko się ubierać. Starsza kobieta stara się ubrać szybko, ale nie bardzo wie za co ma się wziąć, jest spanikowana. Jedynie profesor zachowuje zimną krew i dyryguje wszystkimi wiedząc, że liczy się każda sekunda. Wyciąga dwie duże walizy, wrzuca do nich ubrania i najcenniejsze rzeczy.

W tym czasie żołnierze NKWD oglądają wystrój mieszkania z nieukrywanym podziwem, jeden wysypuje zawartość szuflady na podłogę. Natomiast oficer ściąga z półki drogocenną książkę, wertuje ją z zacięciem, jakby szukał ukrytych kosztowności.

- Nu dawaj, wasze wriemia zakonczilo! – mówi, jednocześnie wymownie zamykając książkę.

Lekarz z rodziną zakładają pośpiesznie kurtki, futra, buty i popędzani przez NKWD, obciążeni walizkami wychodzą z mieszkania pod eskortą żołnierzy.

Rampa kolejowa. Stojący na wieży wartownik widzi nadciągający tłum konwojowany przez NKWD. Ludzie idą w gwarze, niewiadomi swojego losu, w ubraniach zimowych, obładowani tym co zdążyli złapać. Ludzie wchodzą na plac, ściskając się w półkole do torowiska, otoczeni kordonem NKWD. Po chwili wjeżdża także ciężarówka z rodziną profesora. Tłum rozmawia, padają pytania. Niektórzy szukają swoich znajomych bądź członków rodzin, inni lekarza.

Nagle z tłumu wychodzi mężczyzna i kieruje się do oficera NKWD.

- Panie oficerze, dokąd nas zabieracie?! – krzyczy. – Tutaj są małe dzieci, jest mróz, niektórzy kompletnie nie jedli od dwóch dni. To skandal tak traktować ludzi, nie jesteśmy żadnymi przestępcami.

Oficer NKWD robi kilka kroków naprzód. Wyciąga z kabury powoli Naganta, po czym krzyczy: - Won!!!

- Chodź bracie! I tak nic nie wskórasz – radzi mężczyźnie ktoś z tłumu. Ten przezornie wycofuje się, patrząc na skierowany w niego rewolwer i zimny wzrok enkawudzisty.

Tłum rozmawia dalej, nie będąc świadomym swojego losu. W pewnym momencie słychać gwizd nadjeżdżającej lokomotywy. Wszyscy milkną i odwracają głowy w kierunku skąd nadjeżdża pociąg z olbrzymią czerwoną gwiazdą na przedzie i dwoma czerwonymi flagami po bokach.

Nagle, ktoś z tłumu pada na kolana i zaczyna śpiewać Rotę. Za jego przykładem idą inni, wprawiając w konsternację funkcjonariuszy NKWD.

Z chwilowego zaskoczenia otrząsa się oficer NKWD i wydaje rozkaz



Rekonstrukcja historyczno-teatralna „Wywózki na Sybir – NA NIELUDZKĄ ZIEMIĘ”

załadowania wszystkich do wagonów towarowych. Tłum popychany przez NKWD, szczerzy psami podnosi się z klęczek i część z płaczem, z głosami oburzenia, przerażenia i desperacji, druga część nadal ze śpiewem ładuje się do wagonów.

Pociąg jednak nie odjeżdża. Stłoczony w wagonach lud pozostaje bez jedzenia i picia, przy ście syberyjskim mrozie, przez kilka dni. Nie wszyscy to wytrzymują. Co pewien czas do wagonów podchodzą żołnierze i wyrwują z matczynej objęć martwe niemowlęta, rzucając je, zupełnie jak lalki, na ciężarówkę. Jedna z kobiet nie chce go oddać, tuląc ciało dziecka do piersi i wzywając jego imię: Jasiu, Jasiu..., nie odbierajcie go. On tylko śpi, Jasiu... Jasiu.

- Niech Pani odda to dziecko, proszę je dać, ja je wezmę. Niech je Pani odda, proszę panią! – mówi jeden z mężczyzn w wagonie, po czym odbiera prawie siłą ciało chłopca. Inne kobiety próbują uspokoić matkę. Gdy enkawudzista rzuca ciało na auto przeraźliwy krzyk kobiety i płacz rozdziera ciszę.

Pewnego dnia z pomiędzy żołnierzy NKWD wychodzi mały chłopczyk, niosący dla ludzi w wagonach bułki w wiklinowym koszyku. Gdy dochodzi do połowy odległości między kordonem a wagonami, jeden z żołnierzy ściąga karabin, mierzy i z zimną krwią strzela do chłopca, który pada martwy na tory, a bułki wysypują się i toczą po bruku oraz torach. W wagonach podnosi się niesamowity, przeraźliwy krzyk. Z szoferki Gaza wyskakuje oficer i krzyczy: Zakrywaj!!! Żołnierze podbiegają do wagonów i zatrząskują drzwi wagonów. Ze środka nadal wydobywa się płacz, krzyk i walenie pięściami w deski, przez zakratowane drutem okna wystają ludzkie dłonie.

Lokomotywa wydaje dwa głośne gwizdy, po chwili rusza i odjeżdża na wschód. Pociąg znika za horyzontem, a z opar dymu wychodzą duchy po-

mordowanych, które dopiero po 50. latach mogły wrócić do wolnej Ojczyzny: z dołów Katynia, Miednoje, Bykowca i innych miejsc kaźni oficerowie Wojska Polskiego i Policji Państwowej, w mundurach, wybrudzonych ziemią, z rękoma skrepowanymi drutem na plecach i z dziurami w głowach po kulach, za nimi zamarnięci Sybiracy, w łachmanach, z kilofami, topatami, siekierami, a na końcu z plecakami, w resztkach mundurów, z opaskami na rękawach akowcy i narodowcy, do końca wierni Rzeczypospolitej.

Tłum duchów w pewnym momencie zatrzymuje się. Przed nimi stoi z flagą narodową mały chłopczyk zastrzelony przez NKWD. Z głośników słychać wysokie tony, jakby ktoś uczył się grać na fortepianie. To pierwsze tony Mazurka Dąbrowskiego, które po chwili zamieniają się w pełny Hymn Polski, który zawsze przypominał o świętości państwa i ucieleśniał marzenia o wolności i niepodległości.

Tak w skrócie wyglądało wielkie widowisko historyczno-teatralne „Na nieludzką ziemię...”. W inscenizacji wystąpiło około pół tysiąca statystów i aktorów, ponadto w widowisku wziął udział autentyczny pociąg z wagonami z lat 30-tych, sprowadzony specjalnie ze Skansenu Taboru Kolejowego w Chabówce.

Obchody były hołdem dla Wszystkich, którzy zostali na „Nieludzkiej Ziemi”, i tym, którzy przeżyli tą trudną do wyobrażenia tragedię, naznaczoną potwornym głodem, chorobami i utratą wielu Naszych Najbliższych, którzy zostali tam na zawsze. I nie przypadkowo Przemysł był tym miastem, w którym te uroczystości zorganizowano. To tutaj 10 lutego 1940 r. Sowieci zaczęli wywozić Naszych Rodaków w głąb Związku Sowieckiego. To tutaj są ludzie, którzy podjęli się wyzwania upamiętnienia tamtych dramatycznych wydarzeń i ofiarując ją pamięci tych, którzy byli, są i pozostaną bohaterami tamtych nieludzkich czasów.

REKONSTRUKCJA WYDARZEŃ Z 10 LUTEGO 1940 R.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
zdjęcia
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
i **WIKTOR LAFAROWICZ**

Ostatnie dni lutego uważnemu obserwatorowi w Przemyslu mogłyby się wydać dziwne. 27 lutego o zmroku miasto wypełniły dziwne postacie. Ludzie ubrani całkiem jak nie na XXI wiek przystało: Długie płaszcze, pała zimowe z futrzanymi kołnierzami, lisy, mufki, chustki na głowach, w rękach tobołki, walizki z tektury z okutymi rogami. Postacie te pomykały chyłkiem po opustoszałych ulicach i znikaly w bramach. Na jedną z ulic zajeżdżał wojskowy samochód o dziwnym kształcie, z kabiną z brezentu i bez drzwi. Wyskoczyło z niego kilku żołnierzy sowieckich w szpiczastych czapkach – budionówkach, z karabinami, uzbrojonymi w bagnety i pod dowództwem majora w skórzanym brązowym płaszczu wpadło do bramy. Starsi mieszkańcy Przemysła na pewno odczuli by na ten widok mrowie na plecach i napłynęłyby wspomnienia z początku lat 40. ubiegłego wieku. Na szczęście w tej ostatniej scenie oficerowi i żołnierzom towarzyszyły ekipy telewizji, kamerzyści, dźwiękowcy z pokrytymi futrem mikrofonami na długich kijach, masa asystentów, technicy, charakteryzatorzy. Można odetchnąć z ulgą, odpędzić wspomnienia – to tylko kręca film.

Nie był to, zresztą, zwykły film. Odbywały się próby i wstępne zdjęcia do rekonstrukcji historycznej poświęconej wywóźce ludności Przemysła i okolic 10 lutego 1940 roku. W taki sposób Przemyskie Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych X D.O.K., działające przy Centrum Kultury, postanowiło uczcić 70. rocznicę tych tragicznych wydarzeń. Nie jest to pierwsza tego typu akcja Stowarzyszenia. W maju 2009 roku odbyła się pierwsza rekonstrukcja historyczna „A mury runą...”, poświęcona upadkowi komunizmu w naszej części Europy.

Akcja była przygotowywana od dłuższego czasu. Młodzież w szkołach, która chciała wziąć udział w akcji musiała się dobrze przygotować. Zapoznana się z okresem w pełnym tego słowa znaczeniu. Musieli opisać wybraną osobę, którą mieli przedstawić, jak się ubierano w tamtych czasach, co brano na drogę, jaka była pogoda w tamtych dniach i przysłać swoje zdjęcie w wybranym przebraniu. I chociaż sprawa nie była łatwa to zgłoszeń napłynęło dużo. Oprócz amatorów w imprezie wzięły udział zespoły rekonstrukcji historycznych z Żyrzyny, Mławy, Tomaszowa Lubelskiego, grupa rekonstrukcji historycznych z Pragi, a także aktorzy teatrów z Przemysła, Rzeszowa, a także Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, zaproszeni na taką imprezę po raz pierwszy. Ogólna ilość uczestników rekonstrukcji sięgnęła 500 osób. Przedział wiekowy – od lat 4 do 70, tak, żeby jak najrealniej przedstawić



fakty historyczne. Mniejsze dzieci, z racji brutalności niektórych scen, nie były dopuszczane.

Akcję na dworcu przemyskim poprzedziło nakręcenie kilku scen, mających nadać całości wrażenia autentyczności. Oprócz wspomnianej już sceny przyjazdu pod dom ciężarówka z żołnierzami nagrano scenę aresztowania rodziny profesora Bartłomieja Grotą.

Rodzina została brutalnie wyrwana ze snu o 5 nad ranem łomotaniem w drzwi i okrzykami: „Otkrywajcie, NKWD”. Prerażeni domownicy – rodzice profesora, żona i dwójka dzieci – zostali postawieni pod ścianę, żądano wydania jakiejś broni, przeszukano mieszkanie i dano domownikom 10 minut na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. A czy człowiek w takim stresie może pomyśleć co może mu się przydać? Najważniejsze było wziąć ciepłe rzeczy i ciepło ubrać dzieci. Dalej odczytano rozkaz Stalina o przesiedleniu w inne okolice ZSRR, posadzono na ciężarówkę i powiezio-

no na dworzec.

Film ze sceną aresztowania ukazał się na początku rekonstrukcji na dworcu na telebimie. Następnie na teren dworca wchodziły dwie kolumny aresztowanych, otoczone kordonem wojsk NKWD, z bagnetami na karabinach i psami. Zwierzęta nienawykłe do takich tłumów raz po raz wyrwywały się i szczekają. Wjeżdża ciężarówka z rodziną Grotów. Wsiadają z auta i dołączają do tłumu. Z tłumu odegrana jest próba przekupstwa oficera NKWD. Tłum zaczyna śpiewać „Rotę”. Oprawcy się wściekają. Na bocznicę wtacza się szereg bydłocych wagonów ciągniętych przez parowóz z czerwoną gwiazdą. Na rozkaz wsiadania do pociągu, tłum rusza do wagonów. Wrzuca walizki, tobołki, młodzi pomagają wsiąść starszym, kobietom i dzieciom. Wagon są zapełnione, na szczęście nie tak jak w tych pamiętnych dniach. Kolejna scena – wyciąganie z wagonów zmarłych w drodze. Rozpacz bliskich. „Trupy” zrzucane są na ciężarówkę, niemowlęta (lalki zawinięte w

koce i chusty) po kilka naraz rzucają pod plandekę. Wszystkiemu towarzyszy przejmujący lament matek. Szczegółem bestialstwa jest kolejna scena. Chłopak z koszykiem bułek przekrada się przez kordon żołnierzy i stara się podać bułki uwiecznionym w wagonach. Pada strzał... i z wypadłego z rąk koszyka bułki toczą się po bruku peronu. Z wagonów brzmia okrzyki: „oprawcy, bandyci, mordercy...”. Wagon zamknięty i pociąg powoli rusza z peronu. I tu następuje najbardziej przejmujący finał widowiska. Z mroku (już jest godzina 19) i dymu wylaniają się postacie w mundurach żołnierskich, policyjnych. Wielu ma ślady strzału w czoło, rany na ciele. Idą ludzie owinięci w łachmany z piłami, młotami do budowy torów kolejowych, łopatami. Do tego pochodu dołączają i aresztowani z wagonów. Korowód duchów prowadzi zastrzelony chłopak, który rozdawał bułeczki. Teraz niesie biało-czerwony sztandar. Tłum powoli, jakby z wysiłkiem przechodzi przed publicznością, staje i śpiewa Hymn.

Dla uczestnika tej rekonstrukcji



wrażenia są niezapomniane. Pytałem kilku ludzi, w różnym wieku dlaczego biorą udział w rekonstrukcji? Starsi chcieli zweryfikować to co czytali czy słyszeli z ust świadków tamtych dni, kogoś z rodziny, czy znajomego. Młodzież chciała poczuć klimat chwil grozy, chciała wziąć udział w tej realistycznej lekcji historii. Co do odczuć, to przeżyte chwile zapadają w pamięć i w serce. Ciarki idą po plecach, gdy stojący obok żołnierz z trudem utrzymuje wyrwywającego się owczarka, gdy w wagonie zapada mrok po zamknięciu drzwi, rozświetlany tylko światłem padającym z czterech niewielkich okienek. Można sobie tylko uzmysłować co odczuwali ci ludzie, wyrwani z rodzinnej ziemi i rzućni w całkiem obcy świat. Obcy mentalnie, obcy swą dziwą przyrodą, klimatem, w otoczenie wrogich ludzi. Dziś uczestnicy rekonstrukcji mieli tę świadomość, że po jej skończeniu przebiorą się, pójda do domu, zjedzą ciepły obiad... A 10 lutego 1940 roku ludzie zebrani na rampie dworca w Przemyslu nie wiedzieli co z nimi będzie za chwilę. A to uczucie można sobie tylko wyobrazić. **Na szczęście!**

Całe to wspaniałe realistyczne przedstawienie stało się możliwe dzięki wyteżonej pracy dwu ludzi – reżyserowi Mirosławowi Majkowskiemu i koordynatorowi Januszowi Łukasiewiczowi. Wspomagała ich naturalnie cała ekipa wolontariuszy, którzy mieli wszystko dopasować zgodnie z wizją reżysera, pokierować tłumem, zgrać poszczególne sceny, oprócz tego spotkać, odprowadzić, nakarmić, ucharakteryzować i odpowiadać na tysiące pytań. Całości nie dałoby się zrealizować, gdyby nie wsparcie wielu ludzi i instytucji, bez wsparcia wojska, kolei, policji, bez mediów i władz.

O randze imprezy świadczy fakt, że rekonstrukcję objął honorowym patronatem Prezydent Polski Lech Kaczyński. W Komitecie honorowym znaleźli się Metropolita Przemyski abp Józef Michalik, Biskup Polowy WP gen. dyw. Tadeusz Płoski, Prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, Minister Infrastruktury Cezary Grabarczyk, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdan Zdrojewski, Prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka, Kierownik Urzędu ds. Kombatantów i osób Represjonowanych Janusz Krupski. Już te same nazwiska świadczą o randze imprezy.

Z rekonstrukcji historycznej „Na nieludzkiej ziemi” powstanie film, który uzupełniony wspomnieniami uczestników i świadków tych tragicznych wydarzeń, ze zdjęciami dokumentalnymi i stosownym podkładem muzycznym, jako pomoc dydaktyczną będzie można wykorzystać w szkołach na lekcjach historii. Ale pozostanie coś więcej – poczucie satysfakcji, że wzięło się udział w wydarzeniach historycznych, to tak jakby przenieść się wehikulem czasu do dnia 10 lutego 1940 roku.



SZYMON KAZIMIERSKI

Gdyby ktoś z Państwa chciał pojechać z Warszawy do Lwowa, lub ze Lwowa do Warszawy, miałby do pokonania odległość 410 kilometrów. Niemało, ale przecież nie gdzieś za górami, za lasami. Od niepamiętnych czasów ludzie podróżowali pomiędzy poszczególnymi miejscowościami starając się o to, żeby odbywać podróże po jak najkrótszym dystansie i tak powstawały drogi, które dziwnym trafem są chyba najtrwalszą i wciąż niezmienną w terenie działalnością ludzką. Droga jest zawsze tam, gdzie przedtem była, a więc można założyć, że droga z Warszawy do Lwowa przebiega dziś dokładnie tak samo, jak za króla Cwiczecka.

Zamiast dylizansów – pociągi

Sprawa drogi z Warszawy do Lwowa nabrała szczególnej wagi od czasu, kiedy Warszawa stała się stolicą Rzeczypospolitej. Teraz połączenie stolicy z królewskim miastem, jakim był Lwów, bardzo ważny ośrodek gospodarczy i handlowy, ale też obronny, nabrało dodatkowego priorytetu państwowego.

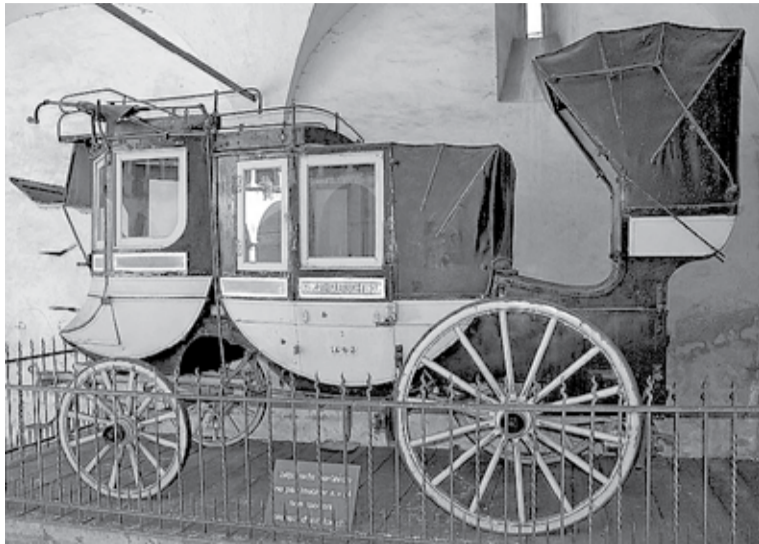
W drugiej połowie wieku XVII wszystkie miasta Rzeczypospolitej, mające więcej niż 4 tysiące mieszkańców, połączone zostały regularną komunikacją pocztową.

Polska nie miała połączenia ze Lwowem, a Lwów był TRZECIM miastem w kraju, jeśli idzie o ilość mieszkańców, po Warszawie i Łodzi, a DRUGIM po Warszawie, ośrodkiem naukowym i kulturalnym.

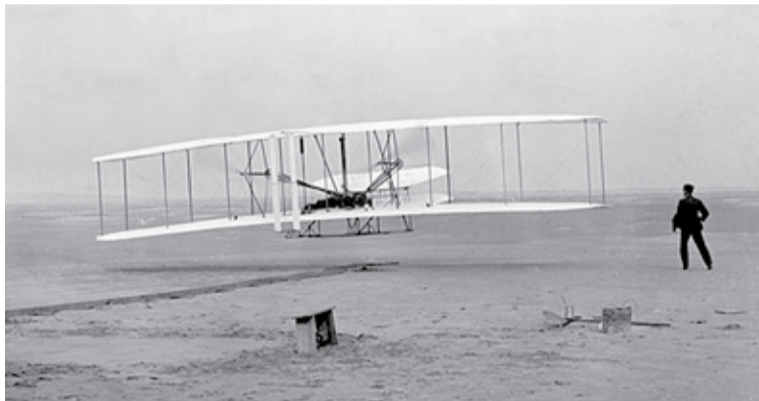
W czasie Księstwa Warszawskiego takie połączenie pocztowe, a także charakterystyczny dla niego pojazd konny, nazwano dylizansem, za francuskim słowem znaczącym pośpiech – diligence. Dylizanse poruszały się ze średnią prędkością około 10 kilometrów na godzinę. Może to niewiele, ale było to wtedy duże osiągnięcie, techniczne i organizacyjne, a dodatkowo, osiągnięcie niemające dla siebie żadnej alternatywy.

Jak długo jechało się dylizansem z Warszawy do Lwowa? – Nie zapominajmy, że Lwów nie należał do Księstwa. Leżał już za granicą, która oddzielała Księstwo od Austrii w miejscu prawie dokładnie tym samym, co obecnie Polskę i Ukrainę. Ale gdyby ktoś jechał, podróż zabrałaby mu (samej jazdy) jakieś 35 godzin.

WARSZAWA – LWÓW



Dylizans



17 grudnia 1903 godzina 10.35, Orville Wright dokonuje pierwszego w historii świat lotu samolotem na odległość 39 metrów (120 stóp), który trwał 12 sekund

Pojawiające się pod koniec XIX pociągi miały już oszałamiającą dla pasażerów szybkość 40, a nawet 60 kilometrów na godzinę. Dla kogoś przyzwyczajonego do szybkości dylizansu, podróż pociągiem mogła być doprawdy autentycznym szokiem.

Ale nie można było pojechać pociągiem ze Lwowa do Warszawy. Na drodze stała uporczywa granica, na której załamywały się wszystkie inicjatywy i nadzieje. U uruchomienie tylko, w roku 1887, linię kolejową na trasie Lwów – Rawa Ruska – Bełzec (wtedy miejscowość graniczna na granicy austriacko-rosyjskiej).

W czasie pierwszej wojny światowej, po odepchnięciu wojsk rosyjskich, Austriacy zbudowali dla zaopatrzenia swoich wojsk frontowych, linię kolejową pomiędzy Bełcem, a Rejowcem. Była to, jak powiadam, kolej wojskowa, a więc dochodząca przede wszystkim do miejsc ważnych wtedy dla austriackiego wojska, dlatego ta linia „kręci sobie” to tu, to ówdzie, bynajmniej nie starając się osiągnąć Rejowca po najkrótszej drodze. Taką sytuację zastały władze odrodzonej Polski po roku 1918.

Nie można było załamywać rąk, nie można było sobie pozwolić na biadolenie. Trzeba było brać sytuację, jaką jest i to natychmiast. Polska nie miała połączenia ze Lwowem, a Lwów był TRZECIM miastem w kraju, jeśli idzie o ilość miesz-

Wiecie Państwo, jak długo jechało się przed wojną pociągiem z Warszawy do Lwowa? – Niecałe 4 godz.!

jaka obowiązuje na Ukrainie. W sumie podróż pociągiem z Warszawy do Lwowa trwa dzisiaj około 15 godzin!

Gdybyśmy pojechali do Lwowa dylizansem, jechalibyśmy tylko dwukrotnie dłużej, za to przyjemniej i bez niepotrzebnych zdenerwowań.

Połączenia lotnicze

Od czasu, kiedy dwaj Amerykanie, bracia Willber i Orville Wright wynaleźli samolot, zaistniała szansa udania się z Warszawy do Lwowa drogą powietrzną. – Utworzono takie połączenie.

Zaraz po I wojnie, zaraz po uzyskaniu niepodległości, w roku 1919, odbył się w Polsce pokaz lotniczy w wykonaniu dużego samolotu brytyjskiego Handley Page/ 400. Przerobiony z bombowca transportowiec zadawał szyku, wznosząc się i lądując, zawiadaczając biorąc zakręty w lewo i w prawo. Obserwującym te wyczyny Polakom zaiskrzyły się oczy.

– To było to, na co czekali od dawna. Natychmiast podpisano tak zwaną Konwencję Paryską, regulującą przepisy i zasady przelotów międzynarodowych. W roku 1921 uruchomiono w Warszawie pierwsze lotnisko, Pole Mokotowskie, gdzie początkowo lądowały i startowały tylko samoloty spółki francusko-rumuńskiej CFRNA, latające na trasie Paryż – Strasburg – Praga – Warszawa. Jeszcze w tym samym roku, z okazji otwarcia pierwszych



Bombowiec Handley Page 400

kańców, po Warszawie i Łodzi, a DRUGIM po Warszawie, ośrodkiem naukowym i kulturalnym. (Zaraz będzie protestował Kraków, ale oni byli dopiero na trzecim miejscu. Tak się przynajmniej to ocenia).

Ile jedzie się pociągiem z Warszawy do Lwowa

Aby szybko utworzyć linię kolejową pomiędzy Warszawą i Lwowem wykorzystano odcinek tej właśnie kolei austriackiej, łącząc go przez Lublin z linią warszawską, by po remoncie i modyfikacji, w ekspresowym tempie oddać całą już linię do użytku.

Wiecie Państwo, jak długo jechało się przed wojną pociągiem z Warszawy do Lwowa? – Niecałe 4 godziny!

Dzisiaj znowu nie ma bezpośredniego połączenia kolejowego pomiędzy Warszawą i Lwowem, bo Lwów w stosunku do Warszawy znowu leży za granicą. To nie znaczy, że nie można pojechać pociągiem do Lwowa. Można. Tylko, że najpierw należy pojechać pociągiem do Krakowa, tam wsiąść do pociągu jadącego do Lwowa i odstać na granicy, czekając aż zmieni w pociągu tak zwane wózki wagonowe, czyli zmienią rozstaw kół pociągu na rosyjską szerokość toru,



Logo LOT-u

jakie będziemy rozpatrywać. Była więc raz wyższa, to znowu NIŻSZA od ceny biletu kolejowego.

W roku 1925 nazwę spółki zmieniono na „Polska Linia Lotnicza Aero-lot”. W posiadaniu spółki znajdowało się 20 samolotów Junkers F-13.

Samoloty produkcji niemieckiej Junkers F-13 uznane zostały za bardzo udaną konstrukcję małego samolotu pasażerskiego. Były to całkowicie metalowe dolnopłaty ze stałym podwoziem. Z przodu, częściowo tylko zakryta, znajdowała się kabina dla dwóch pilotów, a za nią przeszklona, zamknięta i ogrzewana kabina dla 4 pasażerów. Szybkość przelotu od 160, do 190 kilometrów na godzinę.

W roku 1925 w Poznaniu powstała nowa spółka „Towarzystwo Komunikacji Lotniczej Aero S. A.”, posiadająca 6 samolotów francuskich Farman F.70.

Językowe wpadki LOT-u

28 grudnia 1928 roku firmy „Aero” i „Aerolot” połączone w przedsiębiorstwo państwowo-samorządowe o nazwie „Linie Lotnicze LOT”. Wkrótce nowemu przedsiębiorstwu dodano jeszcze do nazwy słowo „Polskie”, a konkurs ogłoszony na jego znak firmowy, czyli bardziej nowoczesnie – logo, przyniósł zwycięstwo plastykowi, panu Tadeuszowi Gronowskiemu, który zaprojektował logo firmy w postaci czarnej sylwetki lecącego żurawia na białym tle, otoczonej równie czarnym okręgiem. Tak powstało przedsiębiorstwo „Polskie Linie Lotnicze LOT”, które funkcjonuje do dzisiaj. Przedsiębiorstwo, odbudowane po wojennej ruinie, stało się firmą państwową i rozwijając się pomyślnie, osiągnęło naprawdę bardzo wysoki poziom już w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Na samolotach LOT-u malowano wtedy dodatkowo angielską nazwę firmy „Polish Airlines” (polskie linie lotnicze).

Dla zachęcenia pasażerów cudzoziemskich wymyślono łatwo wpadający w ucho slogan „Fly by LOT”. Miało być „Lataj LOT-em”, ale nie bardzo tak wyszło. Język angielski ma dla cudzoziemców całą masę pułapek i przedsiębiorstwo będące pomnikiem polskiego lotnictwa, właśnie w taką pułapkę wpadło. Fly by (w wymowie - flaj baj) w języku angielskim od biedy może znaczyć, lataj czymś tam, ale przede wszystkim znaczy – leć obok!,

W roku 1922 można było polecieć z Warszawy do Lwowa samolotem. Czas przelotu na trasie Warszawa – Lwów wynosił wtedy około dwóch godzin. Cena biletu zbliżona była do ceny biletu kolejowego, ale wahała się w zależności od lat. Była raz wyższa, to znowu NIŻSZA od ceny biletu kolejowego.

oblatuj bokiem!, omijaj! W takiej formie należy rozumieć jako polecenie, prawie rozkaz. Jak na przykład: stand by (stend baj) – zatrzymaj się!, niczego nie rób! uważaj!

Wyszło więc – „Nie lataj LOT-em”! Na taką językową wpadkę, złośliwi Anglosasi ukuli od razu ośmieszający przedsięwzięcie slogan mówiący „Fly or not but never by LOT” (Flaj or not bat newer baj LOT), czyli „Lataj, lub nie lataj, ale nigdy LOT-em”. Biedny LOT miał jeszcze inną wpadkę



Junkers F-13

językową, o której może nawet nie wie, bo tym razem wpadka była w języku dla Polaków tajemniczym, w języku arabskim. Od momentu, gdy samoloty LOT-u zaczęły lądować w Kairze, Arabowie, znający angielski i potrafiący przeczytać nazwę firmy namalowaną wielkimi literami na każdym samolocie, zaczęli się z tych samolotów podśmiewać, bo LOT, te trzy litery, w języku arabskim oznaczają takiego pana, który lubi się kochać z paniami.

Nota bene większą wpadkę miał na terenie państw arabskich nasz handel zagraniczny, bo nie wiedząc czemu, nie udawała mu się tam sprzedaż zupełnie dobrych polskich miniaturowych radylek o wdzięcznej nazwie „Kos”.

Powiem Państwu, czemu sprzedaż szła tak źle. No więc szła źle dlatego, bo „Kos”, to po arabsku takie miejsce na ciele, które mają tylko panie, a nigdy panowie, więc trudno było w Egipcie słuchać przy ludziach radia, które nazywa się „Kos”!

PLL LOT lata do Ameryki Północnej, Azji i niemalże do wszystkich krajów Europy.

Lotnisko we Lwowie

Teraz już mamy połączenie lotnicze Warszawa – Lwów, ale jeszcze nie tak dawno temu trzeba było na początek polecieć z Warszawy do Kijowa, albo, jak kto woli, do Odessy, a stamtąd już od razu, bezpośrednio, do Lwowa. Gdyby ktoś wołał nadlecieć do Lwowa od strony zachodniej, mógł to zrobić, ale na początku trzeba było polecieć z Warszawy, do Dortmund w zachodnich Niemczech, a stamtąd już od razu, bezpośrednio do Lwowa.

Lotnisko we Lwowie jest przebudowywane w związku z mającym nastąpić EURO 2012.

Chyba już została podpisana umowa z amerykańską firmą IMTC-MEILLC na budowę nowego terminalu. Całkowity koszt przedsięwzięcia został obliczony na 921,4 milionów hrywien, ale sprawa zaczęła się komplikować. Amerykanie wygrali przetarg już w listopadzie zeszłego roku, ale nagle zaczęli wysuwać dodatkowe warunki, niezgodnione uprzednio. No i nie wiadomo, czym to się zakończy. Podobno nie ma strachu, bo w razie czego są inne firmy gotowe zająć się budową.

Sowieso, jak się kiedyś mówiło w Galicji, (po niemiecku, wymowa –

zowizo – tak, czy owak), porządny port lotniczy we Lwowie powstanie. Przed linią lotniczą Warszawa – Lwów pali się już zielone światło, natomiast nad bezpośrednim połączeniem kolejowym, zaczęły się gromadzić czarne chmury.

Współczesne połączenia kolejowe pomiędzy Polską a Ukrainą

Z okazji EURO 2012 będzie remontowane i modernizowane połą-

czenie Lwów – Kraków, a nie Lwów – Warszawa, choć miało być inaczej.

Jeszcze przed wojną i to naprawdę bardzo wcześniej, bo w roku 1919, polscy specjaliści zaczęli planować całkowitą przebudowę połączenia kolejowego ze Lwowem. Miało ono stanowić fragment magistrali kolejowej Gdańsk – Odessa (Gdynia jeszcze wtedy nie istniała).

Fascynują mnie zawsze Polacy tamtej epoki. Raz po raz, z pokorą i podziwem spotykam się z ich zamierzeniami i osiągnięciami. Bolszewicy pchali się akurat na nasze ziemie, a oni planowali magistralę mającą łączyć Bałtyk z Morzem Czarnym! Ba! Do handlu z Ukrainą i Rosją planowana była też linia szerokiego toru! Sposób myślenia wart podziwu, bo oparty na przekonaniu, że Leniny przychodzą i odchodzą, a wielki Naród Rosyjski pozostaje.

Gdyby pasażerowie, zanim weszliby do pociągu, przechodziliby kontrolę paszportową i celną. Piekło obecnych przejść granicznych znikłoby natychmiast.

O tym, że takie planowanie nie było zabawą w Indian, tylko rzetelną pracą, mogącą natychmiast uruchomić budowę takiej kolei, można się przekonać patrząc na pomysły, które wtedy doczekały się realizacji. Jeśli, właściwie z niczego, zbudowano na pustej bałtyckiej plaży Gdynię, miasto, port handlowy i wojenny oraz ogromny węzeł kolejowy, to dlaczego nie mogłaby powstać magistrala Gdańsk – Odessa?

Nowa magistrala miała przebiegać trochę podobnie, jak teraz, czyli ze Lwowa przez Rawę Ruską, ale już od Lubyczy Królewskiej miała przebiegać inaczej. Od razu prosto na Tomaszów Lubelski, Zamość i Lublin, pozostawiając na boku, jako linie lokalne, wszystkie zawiłasy austriackiej kolei wojskowej. W Zamościu, przewidzianym na wielki węzeł kolejowy (ale też na miasto wojewódzkie!), linia Gdańsk – Odessa miała się krzyżować z szerokotorową linią handlową ze Śląska do Zagłębia Donieckiego.

Do pomysłu kolei Odessa – Gdańsk, a właściwie Odessa – Gdańsk – Elbląg, powrócono dosłownie kilka lat temu. Ukraina chciała wykorzystać dla siebie morski port

w Elblągu, pusty teraz i zapewne niszczący, bo niedługo po jego zbudowaniu Rosja zamknęła dla Polaków, leżące na jej terytorium wejście z Bałtyku na Zalew Wiślany. Port można odblokować przekopując Mierzę Wiślana. Że to kosztuje? – Kosztuje, ale daje możliwości zarabiania na handlu morskim i w dodatku uniezależnia od Rosjan. Wiem, że były prowadzone rozmowy polsko-ukraińskie na temat tych inwestycji, ale wydaje się, że nie przyniosły one żadnego rezultatu. Szkoda. Najbardziej podobał mi się pomysł traktowania pociągów pasażerskich, kursujących pomiędzy Polską i Ukrainą tak, jak traktuje się obecnie samoloty. Pasażerowie, zanim weszliby do pociągu, przechodziliby kontrolę paszportową i celną. Piekło obecnych przejść granicznych znikłoby natychmiast.

Podnoszenie wagonów na granicy

Mozolne podnoszenie wagonów na granicy i wymiana w wagonach wózków jezdnych, jest już zupełnie niepotrzebne. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pan Ryszard Suwalski z Poznania opracował system automatycznej regulacji szerokości podwozia kolejowego, samoprzestawiającego się na tory wąskie, lub szerokie. Wózki wagonowe w tym systemie są inne niż te dotychczasowe i zawierają w sobie mechanizm zmieniający rozstaw kół. Do zmiany rozstawu potrzebny jest jeszcze niewielki odcinek specjalnego toru przestawczego, po którym przejeżdża pociąg. Obojętnie, czy z szerszego na węższy, czy odwrotnie. Koła wózków trafiające na taki tor, automatycznie odblokowują mechanizm, zmieniają

rozstaw kół i blokują mechanizm już dostosowany do nowej szerokości. Wszystko to odbywa się w dodatku bez rozładowywania nie tylko wagonów osobowych, ale i ciężkich wagonów, wypełnionych towaram! Podczas procesu dostosowywania szerokości rozstawu kół, pociąg jedzie, co prawda wolno, ale nie zatrzymuje się, a przeprowadzenie pociągu przez tor przestawczy trwa kilka minut! Można chcieć czegoś więcej?

Urządzenie nazywa się SUW 2000 i już działa, ale na trasie Warszawa – Wilno. Działa niezawodnie, w letnie upały, podczas mrozów, na torach zaspanych śniegiem.

Nie pytajcie mnie, dlaczego SUW 2000 nie działa na kierunku lwowskim.

Dobrze by było, żeby nasze obie, wysokie umawiające się strony, raz się wreszcie zdecydowały, czy chcą na serio współpracować ze sobą, czy nie chcą. Inaczej mogą się narazić na zarzut, że potrafią tylko mądrze gadać, ale nie są w stanie dokonać niczego. Kiedyś o takiej sytuacji mówiło się: „Konferencja w Baden-Baden. Jaki wynik? Żaden – żaden”.

KG

ZE LWOWA DO CHIN

Opracował KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Rodzina Boymów (ew. Boimów w teraźniejszej pisowni) do Lwowa przybyła w okresie panowania Stefana Batorego pod koniec XVI wieku. Bardzo szybko asymilowali się w wielonarodowym mieście. Georg (Jerzy) Boim, protoplasta rodu, ożenił się z lwowska mieszkanką Jadwigą Niżniowską. W taki sposób wszedł w środowisko bogatych mieszczan lwowskich. Jego syn, Paweł, jako doktor medycyny był osobą cenioną. Z czasem zostaje rajcą miejskim i wójtem lwowskim i nadwornym lekarzem króla Władysława III Wazy. Jego syn Michał Piotr Boim urodzony w 1612 roku, w wieku 14 lat został cudownie uratowany z niebezpiecznej przygody. Po ocaleniu postanawia wstąpić do zakonu. Spełnia to postanowienie w 1631 roku, wstępując do zakonu jezuitów w Krakowie. W zakonie postanawia poświęcić się pracy misyjnej w dalekich krajach. Przebywał w różnych klasztorach jezuitów, przygotowując się do spełnienia powołania. W 1643 roku po uzyskaniu błogosławieństwa papieskiego wraz z grupą księży-misjonarzy udaje się do Makau – najstarszej kolonii europejskiej na terenie Chin, założonej przez kupców portugalskich. Michał Boim początkowo wykłada w kolegium jezuitów i studiuje język chiński.

W 1649 roku zostaje wysłany na dwór cesarski. Cesarz Yongli z południowej dynastii Ming przeżywał w tym czasie ostry konflikt o swoje tereny z władcą Mandżurii Qingiem. Michał Boim trafia na dwór cesarza. Lata przebyte w Makau nie poszły na marne: opanował język chiński, poznał tradycje i kulturę narodu, studiował ludową medycynę chińską, a owocem tego pobytu był osiemnastoarkuszowy atlas terenów chińskich, oparty na mapach urzędowych. Jego pobyt na dworze zaowocował chrztem prawie wszystkich członków rodziny cesarskiej. To właśnie z misją dyplomatyczną cesarza Yongli Michał powraca do Europy w 1651 roku. Jego zadaniem było rozpropagowanie osiągnięć jezuitów w Chinach i uzyskanie wsparcia chrześcijańskiej Europy dla dworu cesarza – również chrześcijanina. Rzecz dziwna, ale w tej misji poparli Boima Francuzi, wyczuwający możliwy interes w Chinach, uzyskał on przychylną Doży Wenecji, chociaż w konflikcie chińskim Wenecja deklarowała neutralność. Natomiast w Rzymie został przyjęty chłodno, wręcz nieufnie. Nowy generał zakonu – Goswinus Nickiel obwiniał Boima o wciąganie zakonu w chińskie konflikty polityczne. Przeciwnikom Boima udało się przekonać papieża Innocentego X, że cała akcja jezuitów – to mistyfikacja i fałszerstwo. Trzy lata czekał Michał na audiencję w Stolicy Apostolskiej. Dopiero po śmierci Innocentego X został przyjęty przez jego następcę – Aleksandra VII, w grudniu 1655 roku. Dopiero teraz uzyskał on przychylną papieża, został przyjęty i z odpowiedzią wyruszył do Chin. Nie wiódł jednak żadnego wsparcia cesarza ani finansowego, ani zbrojnego. Wiódł w listach papieskich jedynie słowa otuchy, błogosławieństwa i polecenie modlitwie.

Ponad dwa lata trwała droga powrotna, droga lądowa i morską. W tym czasie dynastia południowa została

rozbita przez Mandżurii. Boim szukając miejsca pobytu cesarza, wędrował po całych Chinach i nie było mu dane przekazać listów papieża cesarzowi Youngli. Zmarł w czasie tej wędrowki 22 sierpnia 1659 roku i został pochowany przez towarzyszącego mu w tej prawie dziewięcioletniej misji mnicha, chińczyka Zenga. Gdzie jest mogiła Michała Boima nie wiadomo. Edward Kajdański w swojej książce „Michał Boim – ostatni wysłannik dynastii Ming” pisze, że Boim zmarł w drodze przy ważnym gościńcu. Towarzyszący mu Zeng na mogile ustawił krzyż, ale w tych niespokojnych wojennych czasach nie powstał on na pewno długo i został zniszczony. W taki sposób zatarł się ślad po mogile „ostatniego posła dynastii Ming”.

Misja Boima zakończyła się całkowitym fiaskiem. Nadziei jezuitów na uratowanie chrześcijańskiej dynastii Południowych Mingów legły w gruzach. Ale od samego początku śmiały plany europejsko-chińskiej koalicji nie miały żadnych szans na powodzenie w tamtych realiach politycznych.

Nie możemy tego powiedzieć o samym Michale Boimie. Jego zmysł obserwatora, etnografa, geografę, lekarza, zaowocowały wspaniałą spuścizną w tych dziedzinach. Już w czasie swej podróży do Chin opisał i naszkicował florę i faunę. Opis samego kraju przesłał w liście do jezuitów w Rzymie. Jadąc z misją do Europy przywiózł 18 kartonów map Chin i 9 rozdzielów opisów terenów, na których był. Na mapach pokazał miasta chińskie, zaznaczył przebieg Wielkiego Muru Chińskiego, zarysy Pustyni Gobi. Pracą tą uzmysłowił Europejczykom położenie i wielkość Chin, ich przyrodę, tradycje i architekturę. Niestety, praca ta pozostała w jednym autorskim egzemplarzu.

Najbardziej znanym dziełem Michała Boima jest wydana we Wiedniu, w 1656 roku „Flora Sinensis” (Flora Chińska). Jest to pierwsza obszerna, bogato ilustrowana praca na temat roślinności Chin, ze szczególnym uwzględnieniem właściwości leczniczych poszczególnych roślin. Boim jest też autorem dzieła „Specimen medicinae Sinicae”, w którym dokładnie przedstawia medycynę chińską. Opisuje, tak niespotykane wówczas w Europie, metody, jak akupunktura czy diagnozowanie na podstawie tętna pacjenta. Również znane są jego pamiętniki z licznych podróży po Chinach i dwóch podróży do Chin różnymi trasami, jak lądem tak i morzem.

Michał Piotr Boim, jezuita-misjonarz znalazł w tych dalekich podróżach możliwość obserwacji wielu rzeczy nowych, niespotykanych dla Europejczyka. Jego zmysł obserwacji i zdolności artystyczne pozwoliły mu stworzyć dzieła unikatowe jak na XVII-wieczną Europę, odkrywając Europejczykom świat nieznaną, egzotyczny, znany bardziej z fantastycznych opowieści Marco Polo, niż z rzetelnych opisów podróżników.

Stoi do dziś we Lwowie kaplica rodowa Boimów. Spoczywa tam protoplasta rodu Jerzy i jego żona Jadwiga, a też inni członkowie rodziny. Niestety Michałowi Piotrowi nie było dane spocząć w rodowej kaplicy, a kości jego spoczywają w niewiadomym miejscu w dalekich Chinach, kraju, który poznał on lepiej niż okolice rodzinnego Lwowa.

WOJCIECH GRZELAK

„POLACY” POD BIAŁOWODAMI

Przezowano ich Polakami i miano to przylgnęło do nich na dobre, nie zatarło się w ludzkiej pamięci pomimo upływu stuleci. Co naprawdę łączyło ich z Polską? Ktoś może powiedzieć, że bardzo niewiele, bo tylko krótki, epizodyczny pobyt w granicach Rzeczypospolitej, dawno temu, gdzieś na przełomie XVII i XVIII wieku. Przybyli do Polski w poszukiwaniu wolności, tolerancji religijnej i dla uniknięcia srogich prześladowań. Stanowili społeczność zwartą, scementowaną wspólną wiarą i zwyczajami, niechętną do kontaktów z obcymi i z tych powodów niesłychanie odporną na asymilację. A jednak nawet w ten sposób ograniczony kontakt z naszym krajem okazał się na tyle doniosły, że wyróżnił ich na zawsze wówczas, gdy musieli uciekać z zagarniętej w rozbiorach przez Rosję części Rzeczypospolitej na Altaj, gdzie osiedli w położonej na skraju Doliny Ujmońskiej wsi Wierchnij Ujmon.

Pokornego Bóg poprowadzi, a gorliwy sam przygalopuje

Droga do Wierchniego Ujmonu jest niełatwa, ale możliwa do pokonania samochodem o wysokim zawieszaniu. Pięćset kilometrów, licząc od Gornoaltajaska, górskiego szlaku wymaga pokonania kilku dość wysokich przełęczy. Podróżnemu, który podejmuje ten trud, wynagradza go widok nadzwyczajny – otwiera się przed nim zielona dolina wciśnięta pomiędzy wzgórzami, przeważnie nagie, różnej formy i budowy, włączając góry najwyższe, błyskające na horyzoncie błękitnymi lodowcami. W dywanie pastwisk, porośniętych skąpą, lecz niezwykle syjącą trawą, buszującą śmigłą suszą, a wśród łąk fantastycznymi meandrami kluczą potoki, w których pasterze poją wielkie stada koni. Widok podobny powtarza się parokrotnie, jakby unosila się raz po raz niewidzialna kurtyna, posłuszna widzowi, który domaga się bisów od samej przyrody. Aż wreszcie, po przedostaniu się przez niebezpieczną Gromotuchę – serpentykę nad głęboką przepaścią – wkracza się do Doliny Ujmońskiej, bodajże najpiękniejszego z wysokogórskich stepów Altaju. Pejzaż miejscowy zupełnie nie koresponduje z surowością altajskiego wnętrza, najczystszy wiecznie ośnieżonymi szczytami, twardego granitami, których ostrych linii nie potrafi złagodzić spacerujące po nich słońce. Rzecz nie do uwierzenia dla wędrowca, przystającego pośród kołyszących się po mazowiecku złotych łąkach czy też odpoczywającego w cieniu przebogatego ukwieconego i pełnego ptasich trel zagajnika, że znajduje się u podnóża potężnego masywu Bieluchy, zakutej w wieczny pancerz lodów najwyższej góry Syberii.

Ptaszek by rano zaśpiewał, jakby go kotka nie zjadła

Starowiercy nazywani są także kirżakami (od rzeki Kirżacz w pobliżu Władimira nad Kłazmą; w jej okolicach kiedyś przejściowo zamieszkiwali), staroobrzędowcami lub raskolnikami. Oba ostatnie terminy opisują ten ruch religijny z perspektywy zreformowanej



Święta księga z Wierchniego Ujmonu



Po tym moście do Wierchniego Ujmonu przedostać się nie łatwo

Cerkwi prawosławnej, a ta druga nazywa słusznie kojarzy się z nazwiskiem bohatera powieści Dostojewskiego, bo po rosyjsku raskol oznacza odszczepieństwo. Faktycznie chodzi o odłam prawosławia, który sprzeciwił się oficjalnemu Kościołowi z powodu nowinek, wprowadzonych w połowie XVII wieku przez metropolitę Nikona. Reforma ta, polegająca na korekcie słownictwa tekstów liturgicznych w duchu greckiej tradycji, a także na wynikających z tego kilku drobnych innowacjach obrzędowych, była faktycznie nieznaczącym zabiegiem kosmetycznym, wystarczyła jednak, aby wzburzyć umysły tej części społeczeństwa rosyjskiego, które, przywiązane do tradycji cerkiewnej, widziała w niej diaboliczny zamach na świętą wiarę. Ponieważ zmiany zostały zaakceptowane przez cara, protestujący przeciwko nim – a była to wcale niemała część duchowieństwa i wiernych – znaleźli się na straconej pozycji. Ideologiem tradycjonalistów został protopop Awwakum Pietrowicz – jego pamiętniki z zesłania należą do najciekawszych zabytków literatury starorosyjskiej. Okrutnie prześladowani w Rosji nierozdkiem manifestowali nieustępliwy fanatyzm: płonęli całymi parafiami w swoich cerkwiach, które sami podpalali. Starowiercy w wyniku wewnętrznych konfliktów rozpadli się na odłamy mniej i bardziej ugodowe. Radykalni bezpopowcy rozdrobnili się następnie na dalsze liczne ugrupowania. Najbardziej zachowawcze z nich zostało założone przez mnicha Filipa. Sekta, nazwana od jego imienia filiponami, opuściła granice Rosji, a jej wyznawcy osiedlili się w południowej i centralnej Europie. W Polsce znaleźli schronienie w lasach augustowskich i na Suwalszczyźnie. Jakaś grupa

starowierców, najpewniej protoplaści tych, którzy zawędrowali potem na Altaj, mieszkała na Polesiu. Około 1830 roku część staroobrzędowców spod Suwałk przeniosła się do Prus, na Mazury. Powodem były represje ze strony władz rosyjskich, gdyż carat praktycznie nigdy nie zaprzestał prześladowań starowierców, nie licząc niewielkich przerw, z których najdłuższa obejmowała dwa dziesięciolecia za panowania ostatniego cara. Przed ostatnią wojną starowiercy w Polsce mieszkali pod Wilnem, w granicach obecnej Polski ich niewielkie zgromadzenia istniały na Mazurach.

Ślicznotka bez rozumu – jak sakiewka bez pieniędzy

Ośrodkiem administracyjnym Doliny Ujmońskiej i o wiele od niej rozleglejszego ajmaku jest siedmiotysięczna wieś Ust' Kokska. Po jej centrum leniwie przechadzają się krowy: to pospolity widok na Altaju. Położona w guszy osada musi być samowystarczalna – jest tu nawet tleemaster (technik naprawiający telewizory), którego pracownia, mieści się w na pół wrośniętej w ziemi i przekrzywionej niby stary walonek drewnianej chałupce. Jej właściciel zapewnia, że potrafi remontować nawet komputery Pentium III.

Ajmak jest stosunkowo zamożny, głównie dzięki rozwiniętej hodowli marali. To właśnie starowiercy rozwijali na Altaju ich hodowlę.

Dzisiaj naród mieszka tu rozmaity; nie brakuje też, jak wszędzie na świecie, idiotów. Za Ust' Koksą swojski, znany dobrze z wiosennej Polski, widok: wypalone łąki. Pożar traw, wzniesiony przez miejscowego fanatyka rolnictwa pierwotnego, nadwężył i przewrócił drewniane słupy sieci elektrycznej.



Spotkanie ze starowiercami na przełęczy pod Wierchnim Ujmonem

Trzy wsie przez parę tygodni nie miały prądu.

Z Ust' Kokska, aby dostać się do Wierchniego Ujmonu, trzeba pokonać Katurń, największą z altajskich rzek, po chybottliwym i zawieszonym na słowo honoru wążutkim moście (za przejazd pobierane jest myto – równowartość 20 centów). We wsi Multa powstaje zwykle dylemat, w którym kierunku skręcić? Ze stojącej prawie na rozdrożu chaty wychodzi Oleg Bałtowski i udziela szczegółowych objaśnień. Zapytany o swoje nazwisko, wrzusza ramionami. To gest dobrze znany z całej Syberii, widziałem go może setki razy. W latach władzy bolszewickiej lepiej było nie interesować się swoją genealogią, zwłaszcza mając „nierosyjskie” personalia. Toteż obywatele Związku Sowieckiego starali się zapomnieć historie własnych rodzin, a nawet imiona i pochodzenie dziadków. Nazwisko Bałtowski jest rozpowszechnione w ajmaku ust' kokińskim, co w towarzyskiej rozmowie potwierdził mi miejscowy prokurator Oleg Iljasow, zapewniając, że część tej rodziny to jego regularni klienci.

– To pewnie potomkowie zesłańców – przypuszcza Halina Mankowicz, sołtyska położonej w pobliżu Ust' Kokska wsi Czendek. – Tak jak rodzina mojego męża, wywodząca się od Polaka, którego zesłano na Altaj w XIX wieku.

Ani ona, ani poznani przeze mnie Bałtowscy nie poczuwają się do związków z Polską, nic też nie łączy ich z „Polakami” z Wierchniego Ujmonu. Większość Bałtowskich to Altajczycy wyznający szamanizm. Po drodze do Wierchniego Ujmonu podwożę kawałek przemoczoną ulewym deszczem Altajkę. Okazuje się, że to matka mojej studentki z uniwersytetu w Gornoaltajsku. Ucieszona ze spotkania, zaprasza mnie do swojej wsi, Garbunowa.

– A co tam u was ciekawego? – pytam.

– Jest sklep spożywczy – odpowiada po chwili zastanowienia. – A, i wiele u nas niezamężnych kobiet. Niech pan koniecznie przyjedzie!

Ja jednak wolę zobaczyć najpierw Wierchnij Ujmon.

Dobrego gościa odprowadzaj z szacunku, złego – żeby niczego nie ukradł

Wzorcową cywilizację starowierców – bo na takie miano, być może niezbyt precyzyjne w kategoriach antropologii, ale oddające właściwie istotę rzeczy, to zjawisko dzięki swojej

wyrazistości w pełni zasłużyło – należy jednak, niestety, opisywać już w czasie przeszłym.

Najbardziej radykalni z nich nie uznawali sakramentów, oprócz chrztu. Kontakty z innowiercami poczytywali za grzech śmiertelny. Wyróżniającą cechą starowierców była ich pracowitość, nie używali też tytoniu ani alkoholu – z wyjątkiem ziołowych nalewek. W rodzinach, zdecydowanie patriarchalnych (choć wielkim szacunkiem darzących matkę, czule nazywaną maceczką), zgodnie żyło i pracowało po kilkanaście osób. Wyjątkowo ceniono uczciwość. Za czasów Związku Sowieckiego bywały wypadki, że starowiercy wzbranieli się przed pobieraniem emerytury, gdyż uważali, że nie zasłużyli na te pieniądze. Rodziny były liczne, w izbie o powierzchni około pięćdziesięciu metrów mieszkało po 18-20 osób. Mimo ciasnoty żyli zgodnie, ponieważ reguły w domu starowerskim były surowe, nie można było wchodzić w spory, gniewać się na bliźniego. Do postawienia typowej chaty starowierców służył głównie topór: w dole, przy fundamencie, kładziono bierwiona modrzewiowe, a wyżej sosnowe. Ponadto chatę ochraniała warstwa ziemi do wysokości mniej więcej pół metra, wypełniająca specjalne skrzynie opasujące cały dom.

Wzdłuż ścian, przez całą ich długość, stały ławki: służyły do spania; trzymając się ich skraju dzieci uczyły się chodzić. Dwa razy w roku podłogę izbę szorowano do śnieżnej białości piaskiem, szło na to niemniej niż pięćdziesiąt wiader wody. A po wodę nie chodziło się bez błogosławieństwa starszych domowników. Lekkomysłna córka, która o tym zapomniała, przyniesioną wodę musiała wylać i iść po nową. Ważnym elementem, spajającym rodzinę była wspólna modlitwa, połączona z wykonywaniem głębokich pokłonów.

– Są uczeni, którzy skłaniają się ku pogładowi, że takie pokłony, wykonywane na wdechu, działały jak gimnastyka, czy też ćwiczenia hatha jogi – wyjaśnia Raisa Kuczuganowa, współtwórcza i społeczny kustosz muzeum starowierców w Wierchnim Ujmonie. – Miały dobroczynne znaczenie dla zdrowia starowierców i rzeczywiście, wśród tej społeczności rzadko zdarzały się choroby, epidemie zaś w ogóle ją omijały.

Być może działało się tak za sprawą hermetyczności tej wspólnoty, a także surowych przepisów higienicznych. Tę dbałość starowierców o czystość

podkreślał Polski zesłaniec Konstanty Borowski, uczestnik Powstania Styczniowego, który pracował jako parobek w rodzinie tradycjonalistów prawosławnych, mieszkających na Zachodniej Syberii (w pobliżu Omska). Opisał we wspomnieniach ich poczciwość, ciężki i wytrwały trud codzienny, zwrócił również uwagę na dostatek i porządek w obejściu, wyróżniające ich od pozostałych wieśniaków. Wszelkie pokalanie, na przykład związane choćby z przypadkowym dotknięciem kogoś spoza społeczności starowerskiej, zmywano polewając się chłodną wodą z wiadra.

Długo można by opisywać kulturę starowierców, przypominającą w dużym stopniu obyczaje mennonitów. Warto odnotować jeszcze ich

nas taki krój do dzisiaj „polskim” – objaśnia. – Chodzi o to, że Rosjanie nie mają zwyczaju robić takich zakładek. Zapewne starowiercy podchwycili tę modę podczas swojego pobytu w Rzeczypospolitej. – Pokazuje mi jakieś kontrafaldy, na których nie bardzo się znam, ale skoro tak mówi...

- A to co takiego? – pytam, pokazując przedmiot, zawieszony nad kołyską.

- Grzechotka. Zrobiona z wysuszonej gęskiej tchawicy napelnionej kamykami. Była tu kiedyś wycieczka szkolna, jakaś dziewczynka skrzywiła się, kiedy wyjaśniłam, z czego wykonano tę zabawkę, a wtedy jej kolega zapytał: „A plastik to zdrowszy?”

- Pierwszym starowiercą, który dotarł do Doliny Ujmońskiej, był nie-

z nich zesłano ponownie w pierwszych latach powojennych.

Wyrzebiono najwartościowsze jednostki, pozostawiając w spokoju stanowiących napływowo element nierobów, złodziei i pijaków. Reszty dokonała II wojna światowa. Na front poszło z Wierchniego Ujmonu ponad dwustu mężczyzn, powróciło z wojny tylko dwudziestu dziewięciu.

Zorzo, zorza jasna! Szczeźnij, głowo krasna! Stań się, głowo, jasna!

Starowiercy na Altaj przybyli, chroniąc się przed prześladowcami, ale także... w poszukiwaniu Białowód, ukrytej w górach tajemniczej krainy.

Czymże są owe Białowody? To oaza szczęśliwości, gdzie niebo zstąpi-

Atamanowa. Jego dom stał się kwartą główną ekspedycji Roericha na dziesięć dni wspaniałego lata.

Roerich konfrontował zwyczaje i opowieści rosyjskich starobrzędowców z tradycjami rdzennej ludności Altaju. Atamanow oprowadzał go po okolicy, pokazywał interesujące miejsca, artysta zaś nie rozstawał się z rajzbretem, wykonując mnóstwo szkiców, które wykorzystał potem malując górskie krajobrazy. Wieczorami zaś, przy świetle świec, gorączkowo zapisywał notatki. Jego oddanie pracy zrobiło wrażenie nawet na ujmońskich starowiercach.

Podczas swojego pobytu u podnóża Bieluchy, Roerich wykonywał też tajemnicze doświadczenia, których celem było ustalenie działania ma-

przybysze z Ameryki zdolali dotrzeć do Białowód. Agafia Atamanowa, żona przewodnika Roericha, wspominała:

- Rok 1926 w ogóle był niezwykle, wyjątkowo urodzajny. Nasi goście z Ameryki spędzili w Białowodach trzy dni. A droga tam ciężka – idziesz, z jednej strony góry, z drugiej – bagna. Wszystko mgła gęsta spowija, a we mgle tylko słychać pianie kogutów. Ale przed nimi droga się otworzyła. Podarki stamtąd różne przynieśli, obrusy, chusty pięknie wyszywane... A w Białowodach nie mogli zostać, bo jeszcze czekały ich ważne zadania na świecie.

Obecnie w wyremontowanym domu Atamanowa, nieopodal muzeum starowierców, mieści się ekspozycja,



Chata starowierców w Wierchnim Ujmonie



Czy to są Białowody?

znajomość medycyny naturalnej oraz talent do wyrabiania przedmiotów o walorach artystycznych. Starowiercy są poniekąd uosobieniem idei świętej i niepokalanej Rusi, o jakiej marzyli rosyjscy myśliciele, współcześnie natomiast roit o niej Aleksander Solżenicyn. Naturalnie życie, jak wszędzie, weryfikowało ten idealny wzorzec moralny i nie wszyscy członkowie społeczności starowerskiej przestrzegali bezwzględnie surowych zasad i norm, niemniej bardzo dodatnio wyróżniali się na tle rosyjskiego chłopstwa.

W pracy grzechu nie ma

- Starowiercy lubili pracę – opowiada Raisa Kuczuganowa. – Hodowali pszczoły, zakładali maralniki, handlowali z Chinami, bogacili się. Byli i tacy, którzy zgromadzili niemałe fortuny.

Kiedy wielu starowierców musiało uchodzić z Doliny Ujmońskiej, najpierw w zamęcie wojny domowej, później z powodu słusznej obawy przed bolszewikami, wiele złota zakopano w górach Altaju. Zresztą nazwa Altaj oznacza właśnie „złote góry”, choć źródło jej tkwi w zamierzonych czasach, kiedy w altajskich potokach licznie występowały samородki złota.

Opiekunka muzeum w Wierchnim Ujmonie, urządzonym w prawdziwej starowerskiej chacie, zdejmuje z wieszaka i pokazuje mi muzealny eksponat: czarną spódnice. – Nazywa się u

jaki Izaak – ciągnie swoją opowieść moja przewodniczka. – Napotkał tam altajskiego myśliwego, który podzielił się z nim mięsem. Potem nadciągnęli inni, przyjechali na wozach, za którymi szło bydło.

Od końca XIX wieku do I wojny światowej starowierców nie powoływano do służby wojskowej, ich zadaniem była bowiem ochrona pogranicza. Jedynie przez ten krótki okres nie prześladowano wyznawców prawosławia tradycyjnego. Represje pod panowaniem bolszewickim nie ominęły spokojnych wsi w altajskiej guszy. Swoją religijnością i, paradoksalnie, swoistym kolektywizmem (oczywiście nie mającym nic wspólnego z ideologią komunistyczną), „Polacy” z Doliny Ujmońskiej kłuli w oczy władzę sowiecką. Posypały się zesłania, w pierwszej kolejności ofiarami czerwonego terroru padali dobrzy i dzięki temu zamożni gospodarze, których rzecz jasna klasyfikowano jako „kulaków”. Starowierców wywożono w bagienne okolice północnej Syberii. Udawali się tam całymi rodzinami, niektórzy, którym zezwolono na pozostanie w Dolinie Ujmońskiej, wyjeżdżali dobrowolnie nie chcąc opuszczać swoich bliskich. Podczas głodowej podróży i na miejscu zesłania, okolicy niezwykle malarycznej, dzieci i starsi marli jak muchy. Byli i tacy, którzy zdolali powrócić – część



Kołyska kirzacka z rzechotką – wysuszoną tchawicą gęsi

ło na ziemię – cudowny zakątek świata wolny od doczesnych trosk. Według jednych, Białowody są tylko alegorią, wymykającą się jednoznaczному opisowi. Inni uważają je za przynależne do sfery ducha. Są i tacy, którzy zakładają także ich fizyczną egzystencję. Więcej wiadomo o trudnej drodze do Białowód niż o nich samych...

Starowiercy opowiadali, że w dalekich krainach, za wielkimi jeziorami, za górami wysokimi, jest miejsce uświęcone, gdzie panuje sprawiedliwość. Wspominano o odwiedzinach wysłanników z Białowód, podejmowano wyprawy, aby tam dotrzeć. Przytłaczająca większość z nich zawróciła z drogi z powodu uciążliwości niebezpiecznej podróży. Pozostałym nie udało im się osiągnąć celu, choć byli blisko, spotykali bowiem emisariuszy cudownej krainy i słyszeli dźwięk tajemniczych dzwonów. Panowało przekonanie wśród starobrzędowców, że ci, którzy próbują odnaleźć szlak do Białowód, muszą być przez ich mieszkańców wezwani.

Drogi tej szukał również Mikołaj Roerich (1874 – 1947), kiedy podjął w latach dwudziestych ubiegłego wieku wielką wyprawę, która przez Indie, Tybet i Mongolię dotarła na Syberię. Był on niezwykle, choć zarazem i kontrowersyjną postacią: malarz, mistyk, filozof, uczyony, podróżnik i pisarz, a przy tym również aktywny mason oraz – według niektórych najnowszych opinii – agent bolszewicki. Posiadał członkostwo ponad stu akademii w rozmaitych państwach, mieszkał w Stanach Zjednoczonych, a potem w Indiach.

Na Altaj Roerich i towarzyszące mu osoby (rodzina i współpracownicy) przybyli na początku lipca 1926 roku. Zatrzymali się właśnie w Wierchnim Ujmonie, u starowierca Bartłomieja



Raisa Kuczuganowa we wnętrzu chaty kirzackiej

gnetyzmu na Altaju, jako katalizatora rozwoju – duchowego i kulturalnego ludzkości. Przepowiadał, że kraina ta stanie się ogniskiem nowej cywilizacji, projektował nawet wybudowanie w Dolinie Ujmońskiej osobliwego miasta, właśnie na podobieństwo Białowód. Były to plany bardzo śmiałe, ale ponoć głęboko uzasadnione przekonaniem Roericha i wynikami jego badań.

Jednym z powodów, dla których Roerich tak bardzo interesował się Altajem i przypisywał mu niezwykle rolę, było to, że krainę tę określić można jako korytarz czy też bramę raczej, z której wysypywały się rozmaite starożytne ludy i przemierzając równiny Syberii, ciągnęły na zachód, do Europy. Niektóre z nich – na przykład Scytów, Sarmatów czy Hunów – odnotowała historia, inne zachowały się w ciągłe na Altaju w żywych opowieściach, o niektórych zaś współczesny świat w ogóle zapomniał.

Roerich zajmował również problem rzekomej sieci podziemnych korytarzy transzajatyckich, wejście do których ukryte było między innymi w chińskiej Kotlinie Turfańskiej. Ta hipoteza, o której prawdziwości przekonany był dziewiętnastowieczny badacz amerykański Teed Cytrus, łączyła się z wiarą w podziemny świat – zaginioną krainę Aghartę. Białowody i Agharta mają zresztą z sobą wiele wspólnego. Opisuując nadejście ery szczęśliwości, Roerich w retorycznym zwrocie wymieniał jej zapowiedzi: „Czy mieszkańcy podziemnej Agharty nie siodlają już swoich wierzchowców? Czy nie słychać dzwonów Białowód?”

Spora część altajskich starobrzędowców uważała, że Białowody – to właśnie okolice Bieluchy i leżącego na drodze do niej jeziora Ak Kem. Jego nazwa znaczy w przekładzie z altajskiego – „Biała Woda”.

Wśród mieszkańców Wierchniego Ujmona panowało przekonanie, że

poświęcona Roerichowi. Jego fani tłumnie przybywają do Wierchnego Ujmonu. Miejscowi nazywają ich trochę żartobliwie „roerichniętymi”.

Bez kolacji i poduszka uwiera

Choć dawne prześladowania i ucisk ze strony władzy sowieckiej sprawiły, że starowiercy rozproszyli się po świecie (mieszkają między innymi w Stanach Zjednoczonych i Południowej Ameryce), w Dolinie Ujmońskiej żyje nadal kilka, może kilkanaście rodzin mniej lub bardziej przywiązanych do tradycji starowerskiej. Gdy nazwać ich „Polakami”, uśmiechają się. Ten uśmiech oznacza coś w rodzaju: „ot, było – minęło...”

-W czasach sowieckich bywało, że starowiercy dokonywali potajemnych chrztów – wspomina Raisa Kuczuganowa. – Wczesną wiosną skakali do lodowatej rzeki... A teraz – cóż, świat się zmienia... Stare babcie pielęgnują jeszcze u nas dawne zwyczaje. Matryona przepięknie glika (śpiewa w charakterystyczny sposób), Ifigenia Polikarpowna zna ponad sześćset przysłów. Ale młodzi – to już nie to. Ich ciągnie do Gornoaltajskaja i dalej, w świat...

We wsi Multa mieszka starzec Timofiej, bezpopowicz, który prowadzi dla garstki swoich współwyznawców dom modlitwy. I znaleźć jeszcze można wśród nich takich, którzy wierzą, że tak naprawdę Białowodami jest właśnie ta ziemia, na której kiedyś osiedlili się ich przodkowie. A miliony ludzi na całym świecie dalej snują marzenia o Szambali czy Białowodach, śnią o Utopii lub też nadają inną nazwę tej projekcji najgłębszych człowieczych pragnień.

Jako śródtytuły użyto cytatów przysłów i powiedzeń, zapisanych w Wierchnim Ujmonie.

EUGENIUSZ NIEMIEC

PASTERZ DEPORTOWANYCH

„Kraj nam zabrali, nas wypędzili,
w stepach sybirskich nas osiedlili...”

(**Maria Żytkiewicz,
Oj Boże, Boże...”
Kazachstan, 1942)**

Znana historyk i mecenas sztuki hrabina Karolina Lanckorońska w wspomnieniach wojennych (wydanych przez Znak-Kraków-2001) opisuje m. in. takie zdarzenie z 1940 roku we Lwowie: „Odwiedził mnie ksiądz Tadeusz Fedorowicz... Gdy mu otworzyłam, uderzył mnie wyraz jego twarzy, spokojny, prawie radosny, nawet promienny jakby jakimś wewnętrznym szczęściem. Dziwny to był kontrast z otaczającym nas wówczas cierpieniem.

- Przyszedłem się pożegnać.

- A dokąd ksiądz jedzie?

- Nie wiem.

Wiedziała, że księża starają się wcisnąć do wagonów w chwili odjazdu na wschód, że strażnicy pilnują, by to uniemożliwić... Mój gość mówił, że z władzą duchowną swój wyjazd uzgodnił, że ma nadzieję, iż mu się uda wskoczyć do ruszającego już wagonu... Prosił o modlitwę, by się mu udało. Wyszedł, żegnając się z uśmiechem i blaskiem w oczach. Gdy zamknęłam za nim drzwi, miałam wrażenie, że smuga światła po nim pozostała. Wyjechał wkrótce potem”.

W bieżącym roku upływa 70 lat od trzech kolejnych deportacji, przeprowadzonych na Kresach przez NKWD w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 roku. Wg szacunkowych danych (Encyklopedia PWN 2002), będących wciąż przedmiotem sporu historyków, w latach 1939-41 zostało deportowanych ok. 300-400 tysięcy, natomiast w latach 1944-50 dalszych ok. 200 tysięcy. Wcześniejsze szacunki mówiły o ok. 1,5-2 mln deportowanych. Wśród deportowanych zdarzały się bardzo nieliczne przypadki dobrowolnego dołączania się do transportu bliskich krewnych lub nawet obcych (np. długo służących u zamożnych rodzin), nie będących na liście wywozonych. Po lutowej deportacji, kilku księży archidiecezji lwowskiej zgłosiło się do abpa Bolesława Twardowskiego z prośbą o zgodę na dobrowolne dołączenie do kolejnych deportacji, w celu pracy duszpasterskiej wśród zesłańców. Wg dostępnych źródeł, zamiar ten udało się podjąć 3 księżom, jednak, jak się wydaje, tylko **ks. Tadeuszowi Fedorowiczowi** dane było misję wypełnić i pozostawić trwałe ślady w postaci wspomnień („Drogi Opatrzności” – wyd. VI – Norbertinum – Lublin 2009), napisanych prostym, pięknym językiem, które czyta się jednym tchem. Przedstawione poniżej, w wielkim skrócie, dzieje ks. Fedorowicza, oparłem w znacznej mierze na wymienionych wspomnieniach. W ostatnich dwóch dekadach ukazało się sporo wspomnień, spisanych przez księży, którzy w różnych okolicznościach trafili do więzień, łagrów i na zesłanie na „niehumanitarną ziemię”, jednakże unikalność świadectwa ks. Fedorowicza polega na tym, że został **zesłańcem z własnej woli**, co w sposób istotny zmieniło optykę postrzegania wielu problemów i rozłożenia akcentów, związanych z zesłaniem. Papież Jan Paweł II, w homilii w Kazachstanie (24.09.2001), okre-



Ks. Tadeusz Fedorowicz

ślił ks. Fedorowicza jako „wynalazcę duszpasterstwa deportowanych”, natomiast w telegramie, przysłanym po śmierci księdza (2002) dodał: „Niech Chrystus Najwyższy Pasterz, da mu niewiednący wieniec chwały”. To słowa bardzo zobowiązujące i zapewne znalazły uznanie u Najwyższego Pasterza, natomiast, jak się wydaje – kapłan ten nie doczekał się „niewiednącego wieńca chwały” od swoich rodaków. Pamięć o czynie ks. Fedorowicza, mimo iż wiele lat po wojnie żył wśród nas, nie zaistniała, jak dotąd, w zbiorowej historycznej pamięci Polaków, pozostając ograniczoną do garstki kleru i intelektualistów katolickich. Stawka, jaką podjął ksiądz Fedorowicz, dając się dobrowolnie wywieźć na Syberię i do Kazachstanu, wydaje się być porównywalną do tej, jaką podjął rotmistrz Pilecki, dostając się dobrowolnie do obozu oświęcimskiego, aby m.in. zorganizować tam ruch oporu. O powodzeniu lub niepowodzeniu misji i zagrożeniu życia, w obu wypadkach decydowała, w najwyższym stopniu, Opatrzność Boska. Mam wrażenie, że godzi się przypomnieć pokrótce **curriculum vitae** tego niezwykłego Człowieka i Duszpasterza.

Pochodził z Klebanówki na Podolu (pod Zbarażem), gdzie się urodził w rodzinie ziemiańskiej, jako jeden z dziewięciorga dzieci. Wzrastał w atmosferze patriotycznej i religijnej, jaka cechowała dom rodzinny. Na studia wybrał się do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiował i ukończył prawo. Bezpośrednio po studiach (1930-31) odbył służbę wojskową w Artylerii Konnej Szkoły Podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim. Po wojsku podjął studia teologiczne we Lwowie, uzyskał stopień magistra teologii, a 28.06.1936 roku przyjął święcenia kapłańskie, po czym jako wikariusz został skierowany do parafii w Tarnopolu. Po roku (1937) powrócił do Lwowa na stanowisko dyrektora Domu Ubogich Miasta Lwowa i wikariusza w parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie. Na tych placówkach pracy duszpasterskiej zastała go wojna i okupacja sowiecka. Po pierwszej (lutowej) deportacji w 1940 roku, udał się do abpa Twardowskiego z prośbą o zgodę na jego dobrowolny wyjazd na Syberię podczas spodziewanej kolejnej deportacji, w celu prowadzenia opieki duszpa-

sterskiej nad zesłańcami. Taką zgodę uzyskał. Okazja do realizacji zamiaru nadarzyła się bardzo szybko, bo już w kwietniu 1940 r. Na wieść o wywoźce udał się do swego proboszcza (ks. Włodzimierza Cieńskiego), aby za jego pośrednictwem uzyskać pomoc parafian w dostaniu się do transportu. Tu jednak dostał się w tzw. „kocioł”, który NKWD przygotowało na plebani, podczas którego aresztowano ok. 30 osób, w tym także ks. Fedorowicza. Odsiedział w więzieniu na Zamarstynowie 2 tygodnie. Nigdy nie dowiedział się powodu aresztowania. Fakt osadzenia w więzieniu skomentował następująco: „Pomyślałem sobie, że skoro Kameduli siedzą w celach za kratami, to mogę i ja. Zrobiło mi się lekko i radośnie”. O fakcie uwięzienia księdza dowiedziała się pewna staruszka, która stale spowiadała się u ks. Fedorowicza. W jej mieszkaniu akurat miał swoją kwaterę oficer NKWD, będący naczelnikiem więzienia zamarsztynowskiego. Na jej prośbę, popartą upominkiem w postaci zegarka na rękę, naczelnik zwolnił bez żadnych wyjaśnień księdza z więzienia. Odzyskawszy wolność, zamieszkał w ówczesnej wsi Kulparków, przy szpitalu psychiatrycznym, pozostając nadal wikariuszem parafii św. Marii Magdaleny. 28 czerwca 1940 roku, wczesnym rankiem dowiedział się, że w tym dniu odjedzie kolejny transport w głąb ZSRR, którego pasażerami będą głównie ci Polacy, którzy w 1939 roku uciekli przed Niemcami z Polski centralnej na wschodnie terytory. Pospiesznie spakował do walizki niezbędne sprzęty liturgiczne, coś niecoś z ubrania i ruszył piechotą w kierunku podmiejskiej stacji kolejowej Persenkówka. Po drodze dołączył do wozu konnego, którym wywożono właśnie rodzinę deportowanych. Na stacji był już tłum przerażonych ludzi, których rozmieszczano w bydłych wagonach. Wyrzucony z dwóch kolejnych wagonów, zwrócił na siebie uwagę enkawudzisty, który nie znalazłszy go w spisie deportowanych, od ręki sporządził odpowiednią ankietę, wpisując dane przekazane mu ustnie przez księdza. Ksiądz podał fałszywe nazwisko i krakowski fikcyjny adres oraz profesję prawnika, zatajając, że jest księdzem katolickim. Po dokonaniu tej biurokratycznej formalności enkawudzista polecił wsiadać do wagonu, w którym już było ok. 30 osób, w tym połowę stanowili Żydzi. Załadunek transportu trwał cały dzień. Pod wieczór pociąg ruszył w drogę, przez Lwów Główny – Złoczów – Tarnopol – Podwołoczyska – Kijów – Ufa – Penza – Czelabińsk – Kazań – do Jozskar Oła (stolica Autonomicznej Republiki Maryjskiej). Tu zesłańcom zmieniono środek transportu i powieziono ich ciężarówkami ok. 70 km, w głąb puszczy, koło miejscowości Nurumbul, gdzie znajdował się punkt eksploatacji lasu (uczastok nr 31). 240- osobowy transport rozmieszczono w barakach, a podstawowym zajęciem zesłańców był wyrąb lasu od godz. 5.00 rano do zmroku. W krótkim czasie nasz dobrowolny „lesorub” wyróżnił się pracowitością i wysokim wykonaniem normy, co m.in. owocowało wyższym przydziałem chleba (1,5 kg dziennie), którym się dzielił z tymi mniej zarabiającymi. Niezależnie od zaangażowania



Msza polowa na polach bronowickich w Lublinie, 15 sierpnia 1944 r.

w wykonanie normy wyrębu, wszystkie wolne chwile poświęcał na całkowicie nielegalne i zakazane praktyki religijne, jak np. słuchanie spowiedzi (wspominał: „Spowiadałem, chodząc po lesie. Gdy mnie pytają, kto dał mi jurysdykcję do spowiadania, odpowiadam, że Stalin”), odprawianie w lesnej głuszy Mszy św. (pod pozorem zbierania grzybów i jagód), udzielanie Komunii św., przygotowywanie dzieci do I Komunii św., itd. Co ciekawe, o praktykach tych nikt formalnie nie doniósł do władz obozu, mimo, iż po pewnym czasie, naczalstwo i NKWD zaczęło podejrzewać, że wśród zesłańców jest utajony ksiądz. Był nawet kiedyś przesłuchiwany przez powiatowe NKWD, pod zarzutem zorganizowania zbiorowej modlitwy... Żydów, z którymi mieszkał w jednym baraku. Nasz „lesorub” Jackowski (bo pod takim nazwiskiem występował) miał wrażenie, że milicja, a nawet NKWD i szefostwo obozu, więcej wiedziało o jego działalności, niż oficjalnie dawało odczuć. Dozorcy miejscowi np. w święta Bożego Narodzenia, pozwalali nie pracować tym katolikom, którzy nie chcieli, bądź też w święta katolickie więcej pracowali muzułmanie i Żydzi i vice versa, w święta muzułmańskie i żydowskie, do pracy gorliwie przystępowali katolicy, a rzeczą nadzoru było odpowiednie dopilnowanie statystyki robót. Kontakty księdza z władzą (milicja, NKWD) cechowała postawa dostrzegania dobra. Widział w nich nie tylko ślepych wykonawców poleceń (choć i tacy się zdarzali), ale dostrzegał przede wszystkim ich kulturę osobistą, tolerancję oraz pozorne niedostrzeganie zachowań i działalności, które były niedozwolone. W Republice Maryjskiej spędził rok. Podsumowując swój pobyt tam pisał: „Nigdy w życiu nie byłem tak silny i nigdy tak dobrze nie wyglądałem. Służyło dobre powietrze i dobra woda, a praca, choć ciężka, była przyjemna.”

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej (22.06.1941) i zawarciu układu Sikorski-Majski do zesłańców dotarły wiadomości o mającej powstać w ZSRR armii polskiej i niebawem Polaków poinformowano, że są wolni i mogą jechać dokąd chcą. Część zesłańców (głównie Żydzi) zdecydowali się wyruszyć w nieznaną. Na poszukiwanie polskiej armii zdecydował się też nasz bohater. Najpierw ok. 100 km końmi jechali do najbliższej stacji kolejowej, skąd pociągiem do Kazania. W Kazaniu należało dokonać zmiany środka transportu, a mianowicie na statek kursujący po Woldze, którym po pokonaniu 400 km trasy dotarli do Kujbyszewa. Na dworcu kolejowym

w Kujbyszewie znajdowała się polska placówka wojskowa, gdzie miał okazję zobaczyć pierwszego polskiego oficera. Ksiądz otrzymał tutaj skierowanie wpierw do Tockoje, skąd po krótkim pobycie został skierowany do Buzułuku, gdzie znajdował się sztab armii, organizowanej przez gen. Andersa. W Buzułuku spotkał wielu znajomych, w tym także swego lwowskiego proboszcza ks. Włodzimierza Cieńskiego, który już pełnił obowiązki głównego kapelana polskiej armii. Został niezwłocznie włączony, już pod prawdziwym nazwiskiem, do obowiązków duszpasterskich oraz mianowany porucznikiem WP. W Buzułuku przeżył też radosne chwile, związane z wizytą gen. Sikorskiego, jako naczelnego wodza Wojsk Polskich. Nie było mu dane zbyt długo cieszyć się namiastką polskości w Buzułuku, gdyż na polecenie ks. Cieńskiego, został zapatrzonny w odpowiednią „bumagę”, w myśl której został oddelegowany do obsługi duszpasterskiej polskich rodzin wojskowych, zesłanych do Kazachstanu. W grudniu 1941 roku wyruszył w liczącą 2500 km podróż na wschód, której marszruta prowadziła przez Czkalow – Alma Ate – Usz Tobe do Semipalatyńska. Współpasażerami w pociągu byli głównie wojskowi sowieccy, których ksiądz wspomina jako ludzi bardzo życzliwych polskiemu oficerowi. Przejawiało się to w postaci dzielenia się miejscem do leżenia w pociągu, jakiego doświadczył ze strony sowieckiego pułkownika, jak też spontanicznego dzielenia się swoimi posiłkami ze strony majora NKWD. W ten sposób dotarł na wschód Kazachstanu, gdzie w pobliżu granicy chińskiej, znajdowały się osiedla, będące miejscem deportacji Polaków i Niemców nadwołżańskich (Kokpety, Georgijewka, Balszaja Bukoń, Sowchoz Bolszewik). Tu właśnie podjął swoją misję duszpasterską (msze św., spowiedzi i komunie św., przygotowania dzieci do I komunii św.), w warunkach trudno wyobrażalnych. Wspominając np. o spowiedziach, przyjmowanych często w „sieni ziemianek, przy becce z kapustą”, podkreśla, że te spowiedzi, często „po wielu latach zesłania miały szczególny charakter. Czuję się mały wobec tych, którzy przeszli prawdziwy głód i byli przy śmierciach głodowych. Wiele się tu nauczyłem...”

Kwaterę główną miał w Wielkiej Bukoni, gdzie było ok. 30 rodzin polskich zesłańców. Oprócz posługi duszpasterskiej oczywiście, dzielił codzienną dolę zesłańców, czasem ratował od śmierci głodowej, a nade wszystko podtrzymywał na duchu,

zarażał niezłomną wiarą w korzystną zmianę sytuacji, wskazywał na pokłady dobra, nawet wśród ciemności. Można śmiało powiedzieć, że podobnie jak ks. Popieluszko „zło dobrem zwycięża”. Swoją postawą wzbudzał respekt i objawy sympatii nawet wśród funkcjonariuszy NKWD.

Nie ukrywa rozterek, które były Jego udziałem: „Czasem Pan Bóg jest dla mnie oczywisty i wyrazisty, jak te góry w słońcu. A potem przychodzą chmury i Bóg znika całkowicie. Pozostaje tylko głębokie przekonanie wiary...”. Przed opuszczeniem przez armię polską gen. Andersa terytorium ZSRR, ks. Fedorowicz otrzymał ze sztabu armii telegram, wzywający go do powrotu do armii. Jednak telegram ten dla miejscowego NKWD nie był wystarczającym dokumentem do wydania pozwolenia na wykup biletu kolejowego i wyjazd. Z takiego obrotu sprawy ksiądz był zadowolony, bo – jak pisze: „Wolałem zostać ze swoimi ludźmi w Kazachstanie”. I pozostał. Doświadczył tu ciężkich chorób: czerwonki i obustronnego zapalenia płuc. Z opresji zdrowotnej wyciągnęła go lekarka Rosjanka, którą wspomina z wielką wdzięcznością. W 1943 roku władze sowieckie zaczęły przydziałyć zesłańcom paszporty radzieckie. Wielu Polaków – wśród nich i ksiądz – odmówiło przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, obawiając się zamknięcia drogi powrotu do Polski. Odmowy skutkowałe uwięzieniem, czasem zesłaniem do obozów GUŁAG-u. Ks. Fedorowicz także został uwięziony i przez 4 miesiące siedział w więzieniu w Semipalatyńsku, oskarżony o szpiegostwo, kontrewolucję i brak dokumentów. Po 4 miesięcznym, prowadzonym nocami śledztwie, tak pisał o swoim oficerze śledczym NKWD (sledowateli G. Siemionowski): „...był grzeczny, kulturalny, przyzwoity i miły w obejściu... Kiedy po 3 miesiącach nocnych przesłuchań, wiedziałem, że to już ostatnie posiedzenie, było mi żal żegnać się z nim. Naprawdę go polubiłem”. Z podobną życzliwością pisze o wysokim sędzi, który rozpatrywał jego sprawę i ostatecznie go uniewinnił, a ponadto zaopatrzył w bumagę, będącą jego jedynym ważnym dokumentem tożsamości. Swoją przygodę w Kazachstanie podsumował

następująco: „...Wiele przeżyłem. Były to bardzo szczęśliwe i piękne czasy, chociaż wśród ludzi wiele cierpiących i krzywdzonych”. Niezwykle to słowa, jakie trudno znaleźć w wspomnieniach innych zesłańców, tak jak niezwykle to był Człowiek i Kapłan.

Wkrótce po opuszczeniu więzienia w Semipalatyńsku, otrzymał wezwanie do „Wojenkomatu”, gdzie mu wręczono skierowanie do wojska polskiego, organizowanego tym razem przez Związek Patriotów Polskich, pod wodzą Wandy Wasilewskiej. Nie protestował. Służbowy bilet kolejowy

i miły”. W świetle informacji, które dzisiaj posiadamy o gen. Świerczewskim, wydaje się, że ksiądz-kapelan po prostu nie umiał o nikim źle mówić, a w każdym poszukiwał dobrych cech. 28 czerwca 1944 roku IV Dywizję (już pod dowództwem gen. Kieniewicza) wsadzono w eszelony i powieziono do Polski. Nową granicę Polski przekroczyli w Dorohusku nad Bugiem, skąd zostali skierowani do Chełma i Lublina, gdzie organizowała się nowa władza spod znaku PKWN. Na polach bronowickich w Lublinie, w dniu Święta Wojska Polskiego (15.08.1944)



Ks. Tadeusz Fedorowicz na audiencji u Ojca Świętego Jana Pawła II. Watykan, listopad 1995 r.

określał marszrutę przez Nowosybirsk – Moskwę – Kursk - do Sum na Ukrainie, niedaleko Charkowa, gdzie formowała się IV Dywizja im. J. Kilińskiego, pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego. W tej dywizji objął obowiązki kapelana. Oto co pisze o gen. Świerczewskim: „To był dziwny Polak, przekonany bardzo lewicowych, ale uczciwy, rzetelny człowiek, doskonały dowódca, w obejściu kulturalny

miała miejsce uroczysta msza św. polowa, z udziałem najwyższych władz państwowych oraz generacji polskiej i radzieckiej (vide foto).

We wrześniu 1944 dywizję przemieszczono w kierunku prawobrzeżnej Warszawy (od Anina po Karczew). W tym czasie lewobrzeżna Warszawa krwawiła w powstaniu. W dniach 14-15.09.44 trzy kompanie IV dywizji przeprawiły się na walczący Czer-

niaków, gdzie w ciężkich walkach z Niemcami poniosły ogromne straty i niedobitki wycofano na prawy brzeg Wisły. Tutaj też ksiądz zetknął się z grupą powstańców warszawskich, rozbitych i ewakuowanych spod mostu Poniatowskiego. Spotkanie to komentuje następująco: „Patrzyli na mnie koso, krzywo, nie chcieli ze mną mówić. Uważali mnie za komunistycznego księdza. Byli pełni gniewu”. W listopadzie 1944 r. nieoczekiwanie ksiądz zakończył karierę wojskową. Wskutek donosu pionu politycznego dywizji oraz negatywnej opinii Informacji Wojskowej (Smiersz), jako element niepożądany politycznie, ks. Fedorowicz został zwolniony z wojska w stopniu majora WP. W grudniu 1944, za pośrednictwem ks. Korzyłowicza, objął obowiązki kapelana Siostr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Żułowice k. Krasnegostawu, gdzie spędził 2,5 roku. Z kolei w 1947 roku, również na zaproszenie ks. Władysława Korzyłowicza, objął obowiązki kapelana Zakładu Ociemniałych w Laskach k. Warszawy, gdzie spędził resztę swojego życia.

W Laskach wokół Jego osoby, z okazji organizowanych tu rekolekcji i dni skupienia, gromadzili się ludzie z kręgu warszawskiej inteligencji katolickiej (m.in. Mazowiecki, Zawiejski, Stomma, Turowicz, Wielowiejski i in.), dla których z czasem ksiądz stał się niewątpliwym autorytetem. Cieszył się także dużym wzięciem jako spowiednik w seminariach duchownych w Warszawie i Kalwarii Zebrzydowskiej. Bardzo wysoko oceniał ks. Fedorowicza, jako spowiednika, również papież Jan Paweł II, z którego, jak pisze – „kierownictwa duchowego i Jego kapłańskiej mądrości”, podczas swego pontyfikatu wielokrotnie korzystał. W 1950 roku ksiądz rozpoczął wakacyjne wędrówki z młodzieżą, w których programie była codzienna msza św., indywidualne rozmowy, spowiedzi w drodze, nauki przy ognisku itp. Zdziwiał prostotą i głębokimi myślami, formułowanymi w prosty i łatwy do przyswojenia sposób. Ten typ duszpasterstwa rozwinął potem ksiądz i biskup Karol Wojtyła. Warto jeszcze przytoczyć radę, jakiej udzielił ks. Fedorowicz biskupowi Bronisławowi Dembowskiemu, który pewnego dnia otrzymał wezwanie na

przesłuchanie w UB: „Jeśli masz iść na przesłuchanie, to znaczy, że Bóg cię tam posyła. Pamiętaj, że ci oficerowie też mają nieśmiertelne dusze, a ty jesteś kapłanem, posłanym do nich przez Boga. Nie bój się ich i nie pogardzaj nimi. Mów prawdę. Może coś z niej w nich pozostanie”.

Zmarł 26.06. 2002 roku, w wieku 95 lat, w Laskach i tam został pochowany.

Ogromna większość wspomnień Polaków, którzy przeżyli Golgotę wschodu, daje wyraz poczuciu niewyobraźalnej krzywdy, wynikającej z nieludzkich warunków bytowania, poniżenia, głodu, chorób, braku elementarnego poszanowania życia ludzkiego, które stały się udziałem deportowanych i uwięzionych. Ks. Fedorowicz oczywiście nie ukrywa, ani nie neguje ogromu doznanych krzywd. Rysem wyróżniającym Jego wspomnienia jest **brak śladu nienawiści** do prześladowców, odpowiedzialnych za wyrządzone zło, a często wręcz przeciwnie, odkrywanie w prześladowcach objawów dobra i człowieczeństwa. Jak to możliwe? Oto jak wyjaśnia ten fenomen sam Autor wspomnień: „Jako dobrowolny, nie czułem się skrzywdzony, jak inni wywożeni. Miałem inny stosunek do tego co mnie spotykało. Wiedziałem po co tam jestem”. Otóż to! Poczucie misji, jaką miał do spełnienia, powodowało tę zupełnie odmienną optykę doświadczeń. Można powiedzieć, że głęboki sens Jego zesłania cechował się przede wszystkim czynieniem, wydobyciem i ukazywaniem objawów dobra wśród zesłańców, innowierców (Żydów, Mahometan, ateistów), tubylców, ale także prześladowców. On po prostu **był bez reszty wierny Ewangeli, którą głosił przede wszystkim osobistym przykładem**.

W 70. rocznicę masowych deportacji Polaków godzi się przypomnieć tę świetlaną postać kapłana archidiecezji lwowskiej. Nie posiadam informacji czy we Lwowie, bądź archidiecezji lwowskiej zachowały się jakieś ślady po ks. Fedorowiczu, skromnym wikariuszu parafii św. Marii Magdaleny, a przede wszystkim czy jest pielęgnowana pamięć wśród lwowskich Polaków, o tak niezwykłym Człowieku i Duszpasterzu?

HALINA PŁUGATOR tekst i zdjęcie

Iwan Fajczak, pochodzący z polskiej rodziny, 70-letni sportowiec-senior ze Stanisławowa zwyciężył w biegu przez płotki na 60 metrów oraz w skoku w dal na Mistrzostwach Ukrainy sportowców-seniorów. Będzie reprezentował Ukrainę na Mistrzostwach Lekkoatletycznych dla Seniorów, które będą się odbywały w dniach 1-6 marca w Kanadzie. Pan Fajczak jest w czołówce sportowców – weteranów lekkiej atletyki. Otrzymał złoty medal Mistrzostw Europy w pięcioboju zimowym, a także stanął na podium Mistrzostw Europy w skoku w dal.

Pan Iwan jest zdania, że zdolności sportowe człowieka kształtują się w chwili poczęcia. Jeśli rodzina ojca i matki jest zdrowa, lub, jak dziś mówią, ma czyste i mocne geny, dziecko też będzie zdrowe. Potem już chodzi o wychowanie i pragnienie bycia pierwszym. Jako dziecko, mistrz świata rodem z Przykarpacia nie trenował. „Uprawiałem sport

SENIOR TEŻ MOŻE ZDOBYĆ MEDAL

ludowy, - pan Fajczak, uśmiechając się, mówi o swych pierwszych krokach do medali. – Odkąd siebie pamiętam, cały czas byłem w ruchu. Od dzieciństwa pomagałem rodzicom, potem grałem w piłkę, biegałem, skakałem. Niestety, obecnie dzieci mają mało ruchu”.

Ażeby mieć dobrą formę także w podeszłym wieku, mistrz lekkoatletyki z Przykarpacia opracował własny system. Pierwszym postulatem jest ruch od dzieciństwa. Oczywiście, niekoniecznie musi to być uprawianie sportu. Jeżeli natomiast dziecko ma zdolności do jakiejś dyscypliny sportowej, rodzice powinni je rozwijać. Owszem, chłopak czy dziewczyna mogą w przyszłości nie zostać sportowcami, nie mieć nagród, ale dyscyplina, chęć zwycięstwa, dobra forma fizyczna będzie pomagała w pokonywaniu trudności życiowych.

Iwan Fajczak zaczął poważnie trenować lekką atletykę w wojsku. Można powiedzieć, że przez przypadek otrzymał nagrodę w mistrzostwach wojsk obrony chemicznej ZSRR. Zdolny chłopak „wpadł w oko” wykładowcom



Lwowskiego Instytutu Wychowania Fizycznego, zaproponowali mu, by zdał na tę uczelnię. Tam zdolny młodzieniec zebrał punkty do tego, by zostać kandydatem na mistrza sportu, a potem rozpoczął długą działalność dydaktyczną w różnych placówkach edukacyjnych na Przykarpaciu. Pan Iwan, mając szczerze wypełniony rozkład treningów i wyjazdów za granicę, nie porzuca studentów. Jest wykładowcą wychowania fizycznego na Narodowym Uniwer-

sytecie Technicznym Nafty i Gazu w Stanisławowie.

Natchnienia mistrzowi-seniorowi dodają studenci. Nie tylko prowadzi zajęcia, ale propaguje zdrowy tryb życia, opowiada o krajach, które odwiedził. Młodzież kibicuje swemu wykładowcy. Przed każdymi zawodami młodzi ludzie „nakazują” mu, by przywiózł kolejną nagrodę. „Czy mógłbym ich zawieść? – uśmiecha się pan Iwan. – Z reguły to trenerzy i wykładowcy kibicują młodym, a ja jestem w odwrotnej sytuacji”.

Wśród dyscyplin lekkoatletycznych pan Iwan oddaje młodzieży skokom w dal i biegowi przez płotki. W pięcioboju preferuje bieg przez płotki na 60 m, skoki w dal, wżwyz, pchnięcie kulą oraz bieg na dystansie 1 kilometra. Trenuje w przerwach między zajęciami, przez co daje dobry przykład. Często studenci przychodzą popatrzeć na wykładowcę, który w wieku 70 lat może zapędzić w kozi róg niejednego młodego sportowca. Po jakimś czasie rzucają palenie i przestają pić alkohol. Idą do sali gimnastycznej, aby do późnej starości

móc pozostać zdrowymi i krzepkimi, a także zapomnieć drogę do apteki. Energia młodzieży jest drugim czynnikiem systemu pana Fajczaka.

Ważny jest autotrening, przez który pan Fajczak nastawia się na zwycięstwo. Przed zawodami pan Iwan nieraz śpiewa – w myślach albo w głos. Mistrz twierdzi, że piosenki często są jego natchnieniem do zwycięstwa. Zdarza że, że słowa, melodia i rytm mają w sobie taką energię, która jest zdolna mury rozwalić. Oczywiście, podczas śpiewu odzywa się w sportowcu głos przodków, siła korzeni. Na zwycięstwo następuje również codzienne obcowanie z Bogiem – modlitwa i śpiewy. Zdaniem pana Fajczaka, pomagają one w uporządkowaniu w organizmie wszystkich układów, chronią przed chorobami.

Jeśli chodzi o porażki, to pan Fajczak nie załamuje rąk. Mało jest przeciętnych sportowców, którzy nie przegrywają. Warto spokojnie przeanalizować błędy, by nie popełniać ich podczas kolejnych zawodów. Mieszkaniec Przykarpacia czyta o swoich rywalach w Internecie, bada ich możliwości. Największym wsparciem Iwana Fajczaka są, z pewnością, jego rodzina i przyjaciele.

Z profesor TERESĄ GRZYB-KOWSKĄ rozmawia MARTA SZTOKFISZ

AMOR W WILANOWIE

- **Niesamowitą wystawę szykuje Muzeum w Wilanowie. Już sam tytuł *Amor Polonus* robi wrażenie – wiele obiecuje, kusi, daje nadzieję, bo miłość jest wiecznym pragnieniem człowieka. Często niespełnionym. Jak się narodził pomysł wystawy, której jest Pani kuratorem?**

- Od dawna zajmuje mnie sposób wyrażania uczuć w dziełach sztuki. Już w 1993 roku napisałam książkę „Eros w sztuce polskiej”, w której analizowałam sposób przedstawiania miłości. A miłość jest jedną z najważniejszych, duchowych kreacji człowieka i spełnia bardzo istotną rolę w jego życiu, choćbyśmy nie wiem jak starali się przekonywać, że ważniejsze są pieniądze, sława, władza.... Wystawa *Amor Polonus* została tak pomyślana, by pokazać trzy najbardziej istotne kreacje miłości wyrażanej przez polskich artystów – do ojczyzny, kobiety, rodziny.

- **To uczucie jest nieobce także innym narodom.**

- Oczywiście, ale tutaj wraz z profesorem Zdzisławem Żygulskim jun., współautorem scenariusza i współkomisarzem wystawy, zajęliśmy się Polakami – ich miłością do ojczyzny, do kobiety i do rodziny. Każda z trzech części wystawy stanowi zwartą całość, a jednocześnie wszystkie się uzupełniają i nawzajem przenikają. Czytając komentarze pod obrazami i katalog można się będzie zorientować, że wszystko jest ze sobą powiązane i zespolone.

- **Miłość ojczyzny – to brzmi dzisiaj patetycznie, zwłaszcza dla tych, którzy nastawieni są do życia pragmatycznie.**

- Tę część przygotował profesor Zdzisław Żygulski – przez wiele lat prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Broni i Historii Wojskowej – International Association of Museums of Arms and Military History, w skrócie IAMAM, profesor jest wielkim znawcą broni europejskiej i wschodniej, ale też autorem znakomitych rozpraw o „Gamie z gronostajem „Leonarda da Vinci” Jeźdźcu polskim „Rembrandta” 60 lat nieprzerwanie pracuję w Krakowie, w Muzeum Czartoryskich.

Jakie czyny upamiętnione przez artystów będą symbolizowały miłości do ojczyzny?

Najważniejsze bitwy mówiące o naszej waleczności. Największym dowodem poświęcenia dla ojczyzny jest ofiarowanie życia. Pokazujemy więc obraz bitwy pod Grunwaldem – wielkie zwycięstwo oręża polsko-litewskiego, pełniące w naszej historii rolę fundamentalną. W momentach zagrożenia, a także nieistnienia państwowości, odwoływano się właśnie do tego zwycięstwa. W 1910 roku został wzniesiony Pomnik Grunwaldzki z fundacji Paderewskiego.

- **Odwoływano się, by wzmocnić gasnącego ducha?**

- Nie jest przyjemnie być pozbawionym własnej ojczyzny i to przez 123 lata. Triumf nad Krzyżakami, zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem stały się ważnymi punktami odniesienia. Profesor wybrał również obraz mało znany, przedstawiający bohaterstwo Kacpra Karlińskiego – polskiego dowódcy, który broniąc przed Austriakami



Sobieska jako bogini

zamku Olsztyn w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, poświęcił własnego syna. To bohaterstwo na miarę rzymskiego, bo dawni Polacy nieustannie odwoływali do Rzymian jako do wzoru zachowań patriotycznych.

- **Jakie znaczenie ma ta wystawa dla mnie, dla moich synów - tu i teraz w demokratycznej Polsce 2010 roku?**

- Myślę, że zawsze potrzebne jest spojrzenie w przeszłość, niezależnie od mody czy aktualnej postawy – spojrzenie na naród, który kochał ojczyznę i dla niej walczył. Teraz mamy inne problemy, świat jest zagrożony terroryzmem, mimo pokoju stale nam towarzyszy poczucie lęku. Jednak mimo olbrzymich obszarów nędzy, Europa, Ameryka – kraje wysoko rozwinięte – nigdy nie były tak bogate, a ludziom nie żyło się tak dostatnio także w Polsce, choćby nie wiem jak rodacy narzekali.

Najważniejsza część wystawy to miłość do kobiety, do rodziny. Myśli Pani, że cierpimy na głód uczuć, dlatego warto zobaczyć, jak kiedyś się kochało.

Miłość musi mieć warunki, żeby rozkwitnąć, potrzebna jest kultura i związany z nią dobrobyt materialny, dlatego skupiliśmy się na tej warstwie społecznej w dawnej Polsce, która te warunki spełniała. Pokazujemy różne wizerunki kobiet z warstwy szlacheckiej, arystokratycznej, mieszczańskiej. Na przykład w XVI wieku zaślubiny był ważnym powodem, by sportretować kobietę w stroju ślubnym. To była jedyna z nielicznych okazji, aby kobietę sportretować. Wizerunków Polek z XVI i XVII w. zachowało się niewiele. To mężczyźni długo byli głównymi fundatorami zamówień portretowych, na ogół własnych. Na pewno spodoba

się pani portret pięknej gdańszczanki z końca XVI w. Pokazujemy portret Barbary Radziwiłłówny oraz obraz Jana Matejki ukazujący sławną parę kochanków Zygmunta Augusta i Barbarę Radziwiłłównę. Obok można będzie zobaczyć reprezentacyjny wizerunek magnatki Agnieszki z Tęczyńskich Firlejowej, jednej z tych dojrzałych kobiet, które po śmierci męża oddały się wychowaniu dzieci i wspomaganie kościołów. Wystawa dała okazję do przypomnienia niezwykłych Polek. Należały do nich Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa, Izabela z Flemingów Czartoryska, Izabela z Czartoryskich Lubomirska. Wszystkie były bardzo samodzielne, a ponadto stworzyły obraz kulturalnej, europejskiej Polki – do jakiego dzisiaj aspirujemy. W Europie czuły się jak u siebie w domu, a jednocześnie u siebie na wsi Mazowieckiej i w Puławach inicjowały przedsięwzięcia niezwykle. Helena Radziwiłłowa stworzyła park w duchu angielskim, który nazwała Arkadią – miejsce pamięci o dawnych kulturach i bogach. Kolekcjonowała rzeźbę starożytną, obrazy europejskich artystów, do niej należała sławna głowa Niobe, która natchnęła po 150 latach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego do napisania wspaniałego poematu. Izabela Czartoryska założyła w Puławach Świątynię Sybilli – pierwsze w Polsce muzeum narodowe. Lubomirska uczyniła ze swego przybranego syna, Henryka, obiekt szczególnej czułości. Ona go wręcz ubóstwiała i kazała rzeźbić Antonio Canovie, największemu artyście tamtych czasów jako Amora – boga miłości. Ten typ wyobrażenia ma podłoże antyczne, ale czerpano też z wzorów angielskich, modnych w końcu XVIII



Henryczek

i na początku XIX w. Wszystkie trzy damy były samodzielne intelektualnie, wykształcone, czytane, znały niemal wszystkich najwybitniejszych ludzi swojej epoki.

- **Pozostawiły po sobie niezwykle dzieła, a mogły przeznaczyć majątki, jak to się zdarzało utraczującym.**

- Arkadia jest jednym z najpiękniejszych w Europie parków elegijno-krajobrazowych, Puławy mają swoją świątynię pamięci narodowej, w Łańcucie zaś Lubomirska stworzyła niezwykłą kolekcję dzieł sztuki i pozostawiła pamięć kultu dziecka, jako uosobienia miłości.

- **To wydaje się bardzo współczesnym wyrazem miłości, bo i dzisiaj, zdarza się, stawiamy dzieci na piedestale, traktujemy z atencją należną Bogu. Gdybyśmy mieli środki, zamawialibyśmy pomniki u wybitnych artystów.**

- Wszystkie te kobiety uwielbiały dzieci, córka Izabeli Czartoryskiej, Zofia Zamoyska, miała ich dziesięć. Podróżowała z nimi po Europie. Wszystkie te kobiety dają przykład czułej miłości macierzyńskiej

- **Co było nowością, ponieważ na dworach magnackich dziećmi zajmowała się służba.**

- Miłość do dzieci była też wynikiem pewnej kreacji epoki wynikłej z pism Jana Jacoba Rousseau. Dzieci naszych bohaterów były kochane. Z korespondencji Izabeli Czartoryskiej z synami i córkami wiemy, jak czule i partnerskie łączyły ich stosunki. Dzieci były wożone po świecie, przedstawiane wybitnym osobistościom, wybierano dla nich najlepszych nauczycieli, grały na instrumentach, uczone języków. To składało się na kulturalne otoczenie, które sprzyjało miłości nie w tak brutalnym kształcie, jaki dzisiaj jest prezentowany. Miłość uszlachetniała życie. Dążono do doskonałości, a jej elementem było nauczanie miłości do bliskich, sztuki, świata – również tego po za bramami pałaców. Wszystkie trzy te wybitne i szalenie bogate kobiety dbały o swych

poddanych. Nasze wielkie damy zakładały szkoły, szpitale, kształciły wybitnie zdolne dzieci. Izabela Czartoryska napisała rodzaj przystępnego podręcznika historii polskiej dla chłopów p.t. „Pielgrzym z Dobromila”. Listy, jakie te kobiety pisały do siebie, są niezwykle, świadczą o ich ogromnej kulturze uczuciowej.

- **Bo darzyły się czułością, nie były zimnymi damami, mającymi arystokratkami.**

- Właśnie. Ale nasza wystawa pokazuje też kochanków. Na przykład Marylę Wereszczakówną i Mickiewicza, bez względu na to, jakie łączyły ich stosunki, i co o nich ostatnio napisano, poeta napisał dla Maryli najpiękniejsze erotyki. I miłość Słowackiego do matki, z którą utrzymywał stałą korespondencję przez 18 lat rozłąki. Żadna z kobiet nie pełniła w jego życiu tak ważnej roli. Pisał dla matki wiersze, o których sądzono, że są erotykami, skierowanymi do wielbiących go kobiet. Matka była idealnym obiektem uczuć, w niej spełniała się jego potrzeba miłości. Dzisiaj mamy inne czasy – wstydzące się uczuć zwłaszcza w poezji i sztuce.

- **Nie mogę się z Panią zgodzić. Kochamy, potrzebujemy uczuć, dajemy czułość dzieciom, partnerom. To dla wielu z nas bardzo istotna wartość.**

- No tak, na szczęście mamy wspaniałą kulturę uczuć. Ale w mediach, reklamie, sztuce, dominuje seksualna wulgarność w ekspozowaniu ludzkich ciał bez całego bogactwamysłowości. Na wystawie *Amor Polonus* mamy sporo zmysłowej miłości, jednak pokazanej inaczej. Ekspozycję zamyka piękny obraz Zbysława Maciejewskiego *Amor i Psyche* – mitologiczna para kochanków, która po wielu perypetiach została sobie poślubiona, stając się symbolem idealnego małżeństwa, spełniającego się harmonijnie w sferze zmysłowej i duchowej.

- **Jakie pary słynnych kochanków zajmą naszą uwagę na wystawie?**

- Napoleon i Maria Walewska, Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka, która była też muzą Chopina. No i żyjące w początkach XVII w. rodzeństwo, Stanisław i Anna Oświęcimowie, związane miłosną legendą. On pojechał do papieża z prośbą o pozwolenie na ślub. Uzyskał je, ale ona nie przeżyła rozstania. Ich miłość fascynowała artystów. Pisano o nich dramaty, wiersze, nakręcono film. Jednak najpiękniejszym upamiętnieniem tej miłości jest poemat muzyczny Mieczysława Karłowicza *Stanisław i Anna Oświęcimowie*.

Pokazujemy piękne akty polskich artystów, m.in. szkic Szalu Podkowińskiego, Grottgiera Fryne, bodaj pierwszy prawdziwy akt w sztuce polskiej, piękny akt Ewy Pantaleona Szynlera, Odpoczynek Wojciecha Gersona. No i w końcu mamy miłość rodziny, której kulminacyjnym punktem jest król Jan III Sobieski mający wielkie ambicje założenia dynastii. Ukazuje to obraz Marii Kazimiery jako *Wenus Genetrix* – założycielki rodu. Znow odwołania do Rzymu starożytnego!

- **Miłość Sobieskich jest mi szczególnie bliska, bo przypomina naszą, dzisiejszą. Byli**

kochankami i szanującymi się partnerami, razem wychowywali dzieci. Ona mu doradzała, nie zawsze najlepiej, on jej nie ignorował.

-Tak, Sobieski był ideałem: doskonały wódz, wspaniały król, cudowny kochanek, małżonek, ojciec. Sobieski i jego żona mogą być nam szczególnie bliscy. Jeśli chcemy w życiu zaznać szczęścia, a mało jest tych, którzy nie chcą, to miłość Sobieskich jest wzorem w dniu codziennym i świątecznym. Ich korespondencja, na szczęście dla literatury, powstała przed erą komórek telefonicznych. Dzisiaj związani uczuciowo ludzie mogą rozmawiać ze sobą co chwila, niestety kosztem listów. Jednak nasze czasy nie sprzyjają miłości, dominuje zło.

- Tu będę się spierała. Zło się lepiej sprzedaje w mediach, ale nasze życie świadczy o tym, że mu się opieramy. Amor Polonus daje nam także wzory – bardzo pozytywne.

-Na tym właśnie nam zależy. Wzorców, pozostając w sferze historii, zdecydowanie pozytywnych mamy sporo. Oprócz Sobieskiego pokazujemy Stanisława Kostkę Potockiego, wspaniałego człowieka i męża, który zadedykował swojej żonie, Aleksandrze, książkę „O Sztuce u dawnych czyli Winkelman polski”. Dedykacja jest niezwykle czuła, dowodzi, że żona była jego intelektualną partnerką pomagającą w pracy, wspierającą pasję kolekcjonerską swoim znawstwem. Na wystawę dobraliśmy takie obrazy i takie postacie, które są ze sobą związane i to wielowarstwowo. Przedstawiciele najwyższej arystokracji stanowili pewien wzorzec, przejęty przez światłych przedstawicieli szlachty i mieszczaństwa. Ci ludzie byli, mówiąc współczesnym językiem, ikonami stylu i postawy.

- Okazuje się, że również odpowiedzialnego traktowania rodziny i czulej miłości. Ten Amor w tytule i na obrazach na pewno zainteresuje młodzież.

- Młodzi ludzie lubią ryzykować, cenią rzeczy nowe, a ta wystawa będzie dla nich nowoczesnym spojrzeniem na historię Polski i nasze społeczeństwo. Spojrzeniem na życie i świat od strony uczuć.

Wystawa w Oranżerii Muzeum Pałacu w Wilanowie czynna od 23 marca do 15 sierpnia 7 dni w tygodniu

Teresa Grzybkowska profesor historii sztuki, zajmuje się sztuką europejską i polską od XVI–XXI w., sztuką gdańską oraz rzemiosłem artystycznym, sztuką wschodnią, relacjami między sztukami plastycznymi, a muzyką, twórczością Jacka Malczewskiego, jest autorką 10 sesji naukowych. Wykłada historię sztuki na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Autorka dziesięciu książek m.in. Malarstwo gdańskie na tle kultury artystycznej miasta(1989), Eros w sztuce polskiej (1993), Świat obrazów Jacka Malczewskiego(1996), kilku wystaw m.in. Mitologia Malczewskiego (1996) w Muzeum Czartoryskich w Krakowie; Aurea porta. Sztuka gdańska od XVI–XVIII w. w Muzeum Narodowym w Gdańsku (1997) oraz w Muzeum Historii Gdańska; Miecz i kimono (2003); Gdańsk dla Rzeczypospolitej(2004); Cuda Orientu (2006).

JUBILEUSZ MUZEUM ZOOLOGICZNEGO UNIwersYTETU LWOWSKIEGO

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcia

Wydział Zoologii Lwowskiego Uniwersytetu im. Iwana Franki szykował się do obchodów 125-lecia muzeum istniejącego przy wydziale. Jak zaznaczył dyrektor muzeum Igor Szydłowski, żeby przygotować się należyście, oprócz tych wszystkich materiałów, dostępnych w bibliotece uniwersytetu, poszukiwano innych źródeł, wszystkiego co dotyczyło historii stworzenia i działalności muzeum. Udało się dotrzeć do dokumentów, które świadczyły o tym, że już w 1823 roku do Lwowa Franz Tibald sprowadził z Wiednia duplikaty z kolekcji cesarskiej. To automatycznie „postarzało” muzeum prawie do prawie 190 lat. Ale jeszcze ciekawsze fakty udało się znaleźć w Kalifornijskiej Bibliotece. W książce „Historia miasta Lwowa” Tetrakowskiego mamy zapis o tym, że już w 1784 roku przy uniwersytecie istniał „gabinet historii naturalnej”. Świadczy to o tym, że już 225 lat temu istniał załazek dzisiejszego muzeum zoologicznego. Nie ma tam żadnych danych kiedy ten „gabinet” został stworzony. Więc ta najstarsza data została przyjęta jako początek historii tej placówki naukowej. Mieścił się on w ówczesnym gmachu uniwersytetu, w dawnym klasztorze trzynitarzy, przy dzisiejszej ul. Teatralnej (dziś w przebudowanym budynku mieści się Kinopalać). Jest się czym szcycić, bo stawia to lwowskie muzeum w jednym rzędzie z najstarszymi kolekcjami przyrodniczymi Europy.

Kolekcja muzeum przez te lata przechodziła różne koleje losu. Już ta pierwsza kolekcja z 1784 roku została częściowo wywieziona do Krakowa w 1803 roku. W latach 1808-1809 prawdopodobnie coś z Krakowa wróciło do Lwowa w bardzo złym stanie, ponieważ z tego okresu pochodzi pierwsza inwentaryzacja zbiorów i jest tam zaznaczone, że duża część była w bardzo złym stanie. Zbiory muzeum systematycznie uzupełniano. Porządek w zbiorach oraz ich klasyfikację po raz pierwszy przeprowadził Michał Schteher. Wtedy już gabinet naliczał 8 tys. eksponatów. Etymolog Herber przekazuje swoją prywatną kolekcję owadów, skompletowaną w latach 1810-1840. Zbiory te naliczają około 1830 gatunków owadów. W 1823 roku Lwów odwiedził cesarz Franciszek Karol. Odwiedził i uniwersytet. Gabinet historii naturalnej obejrzał z zainteresowaniem i odznaczył dobry poziom organizacji ekspozycji.

Wiosna Ludów w 1848 roku przyniosła uniwersytetowi dotkliwą stratę. Gmach uniwersytetu został ostrzelany i spalony. Dotkliwych strat zaznała biblioteka uniwersytecka i zbiory gabinetu. To co udało się uratować początkowo umieszczono w gmachu ratusza. Przeniesiono tam też i sale wykładowe. Od 1875 roku uniwersytet otrzymał nowy gmach przy ulicy św. Mikołaja (dziś Hruszewskiego), gdzie Wydział Zoologii mieści się do dnia dzisiejszego. Muzeum otrzymało na swoją ekspozycję trzy sale i korytarz je łączący i do dziś jest tu ekspozycja zbiorów zoologicznych.

W roku 1883 do Lwowa przybywa Benedykt Dybowski, zoolog, biolog,



Sala ornitologiczna



Szkielet morskiej krowy



Kolekcja motyli

etnolog ludów Syberyjskich. Wspólnie z bratem Władysławem przywieźli swoją bogatą kolekcję fauny syberyjskiej. O popularności tego uczonego świadczy fakt, że będąc na Syberii poszukiwał szczonek wymarłego już wtedy ssaka – morskiej krowy. Nie dane mu było znaleźć żadnych śladów tego zwierzęcia. Ale mieszkańcy wyspy Beringa znaleźli kilka prawie kompletnych szkieletów morskiej krowy i w 1904 roku w 45 rocznicę działalności naukowej Benedykta Dybowskiego do Lwowa przysłała zwykła przesyłka – szkielety poszukiwanego zwierzęcia. Dybowski był szczęśliwy. Najbardziej kompletny szkielet zajął centralne miejsce w ekspozycji.

Ekspozycje stale uzupełniano nowymi eksponatami. Tak na przełomie XIX i XX wieków książę Monako podarował muzeum kolekcję fauny morskiej z Morza Śródziemnego i Czerwonego. W latach 1936-1937 z ekspedycji naukowych dostarczono kilkaset egzemplarzy płazów i ptaków. W 1952 roku

żona lwowskiego myśliwego, podróżnika i naukowca Jerzego Wójcickiego podarowała uniwersytetowi jego prywatną kolekcję, zebraną na terenie dzisiejszej Tanzanii i w górach Tiań-Szaniu. W 1956 roku rosyjska flota wielorybnicza przekazała w darze szkielet wieloryba i inne egzemplarze fauny morskiej z dalekiej północy. Oprócz tego, pracownicy naukowcy, profesorowie i studenci wydziału z różnorodnych ekspedycji naukowych przywożą ciekawe okazy. Sami je preparują, wypychają, opisują i klasyfikują. Obecnie muzeum Wydziału Zoologii Uniwersytetu Lwowskiego w swoich zbiorach posiada ponad 150 tys. egzemplarzy najróżniejszej fauny ze wszystkich kontynentów, nie wyłączając Antarktydy. Tu możemy zobaczyć zwierzęta, których już nie ma na Ziemi, a przechowane w gablotach nadal cieszą swymi kolorami, zadziwiają rozmiarami czy zachwycają wyglądem.



Rak, homar i krab



Czaszka wieloryba



Krab-gigant

Jak powiedział w swym przemówieniu dziekan wydziału: „Muzeum jest tą placówką, którą nie zastąpi żadna wirtualna technika. Tu stykamy się z tymi organizmami, które kiedyś istniały, istnieją dziś, czy zagrożone są wymarciem. A nasze muzeum jest tym szczególnym miejscem, które zapamiętuje się wszystkim naszym studentom, jako potężny ośrodek informacyjny...”.

Konferencja, poświęcona 225. rocznicy istnienia przy uniwersytecie lwowskim zbiorów zoologicznych odbyła się 11 marca. Sala wykładowa zebrała nie tylko profesorów wydziału, czy pracowników muzeum. Przybyli tu i byli pracownicy naukowcy, profesorowie, pracujący na innych uczelniach – Akademii Rolniczej w Dublinach, Akademii Leśnictwa, Akademii Weterynarii. Wielu z nich jest absolwentami Wydziału Zoologii Uniwersytetu i w swoich krótkich wystąpieniach wspominali swoje lata studenckie, pierwszą styczność z muzeum, czy swoich profesorów. Młodzi pracownicy naukowcy muzeum przygotowali odczyty o historii muzeum, o poszczególnych kolekcjach i o dniu dzisiejszym i perspektywach tej zasłużonej placówki.

Anekdoty o Chopinie

Gdy Chopin, jako mały chłopiec, miał po raz pierwszy wziąć udział w koncercie publicznym, ubrano go bardzo starannie, nakazując, aby uważał i nie pogniótł uroczystego stroju. Po koncercie, pytany przez domowników, co się publiczności najbardziej podobało, odpowiedział:

- Mój biały kołnierzyk!

Pewnego razu zaproszono Chopina i Liszta na obiad do jednego z arystokratycznych domów w Paryżu. Ponieważ gospodarze nie uchodzili ani za wybitnych znawców muzyki, ani nawet za melomanów, Chopin zrozumiał, że zaproszenie to spowodowane było wyłącznie snobizmem. Po uczcie pani domu zwraca się do Chopina z prośbą, aby coś zagrał.

- Ależ, madame, ja tak mało jadłem - odpowiada Chopin. - Proszę raczej zwrócić się z tą prośbą do Liszta...

Innym razem zaproszono Chopina na wystawną kolację, po której gospodyni poprosiła go, aby coś zagrał. Chopin usiadł przy fortepianie i zagrał trzy krótkie utwory, po czym wstał i zaczął spacerować po salonie. Widząc to gospodyni podeszła do niego mówiąc:

- Panie Fryderyku, jesteśmy trochę zawiedzeni, czy mógłby pan jeszcze coś zagrać?

- Droga pani - odpowiedział z uśmiechem kompozytor - muzyki było dokładnie tyle, ile dań w czasie kolacji...

W wieku 16 lat Chopin przebywał w Berlinie. Gdy jego znajomi, Prusacy, oburzali się, że Warszawa stawia pomnik Mikołajowi Kopernikowi, twierdząc, że genialny astronom powinien być uważany za Niemca, ponieważ urodził się w Toruniu. Fryderyk odpowiedział:

- Według waszego rozumowania Jezus Chrystus, rodząc się w Judei, powinien być uważany za Turka...!

Z książki: Remigiusz Pettyn i Andrzej Pettyn „Wielka księga anegdot”, Bielsko 2002

LUTW zaprasza

W niedzielę, 21 marca o godz. 12 odbędzie się kolejne spotkanie słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku.
Zarząd LUTW

REPERTUAR OPERY LWOWSKIEJ marzec 2010 r.

Czwartek 18 marca **A. Adan** balet „GISELLE”, początek o 18:00

Sobota 20 marca **J. Strauss** opera „ZEMSTA NIETOPERZA”, początek o 18:00

Niedziela 21 marca **S. Gułak-Artemowski** opera „ZAPOROŻEC ZA DUNAJEM”, początek o 18:00

Sobota 27 marca **M. Łysenko** opera „NATAŁKA POŁTAWKA”, początek o 18:00

Niedziela 28 marca **S. Gułak-Artemowski** opera „ZAPOROŻEC ZA DUNAJEM”, początek o 11:00

J. Strauss opera „ZEMSTA NIETOPERZA”, początek o 17:00

Poszukuję rodziny

Mój dziadek Stanisław Sikorski urodzony 21.03.1915 w Bóbrce, mieszkał przed II wojną światową we Lwowie, przy ulicy Krakowskiej 26. Tam też poznał Panią Krystynę Magdewicz. Ślub został zawarty w czerwcu 1940 w Katedrze Lwowskiej. Z tego związku urodził się około 1944 roku syn, również Stanisław Sikorski. Później drogi mojego dziadka i Pani Krystyny rozeszły się, a dziadek związał się z moją babcią, Heleną i z tego związku urodziło się dwóch synów, Ryszard (mój ojciec) i Czesław.

Bardzo zależało by mi na odnalezieniu najstarszego syna mojego dziadka, Stanisława. Wiem, że do połowy lat 90, mieszkał w mieszkaniu swojej matki, we Lwowie przy ulicy Krakowskiej 26 m. 14. Około roku 1996 Pani Krystyna zmarła, a wujek

Staszek wraz z rodziną wyprowadził się, niestety nie wiemy gdzie. Wiem ponadto, iż wujek Staszek ożenił się z Panią Elżbietą i mają syna Igora urodzonego około 1973 roku.

Czy mogli by Państwo pomóc ustaleniu obecnego adresu zamieszkania Stanisława Sikorskiego lub jego syna Igora? Wybieram się w lipcu na tydzień na Ukrainę i bardzo chciałbym ich poznać, wcześniej jednak chciałbym spróbować nawiązać kontakt listowny.

Z góry dziękuję za wszelką udzieloną pomoc.

**Pozdrawiam serdecznie
Mariusz Sikorki
Kęпно 29
73-130 Dobrzany
POLSKA
maksu7@interia.pl**



*Tak trudno żegnać na zawsze kogoś,
kto jeszcze mógł być z nami...*

Łączymy się w ogromnym bólu z Rodziną i Bliskimi przedwcześnie zmarłego

DANIELA KSZYKA,

absolwenta naszej szkoły.
Każda śmierć jest cierpieniem dla najbliższych, a śmierć młodego człowieka jest szczególnie bolesna.

Wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie i Bliskim składa grono pedagogiczne, uczniowie, absolwenci oraz rodzice Szkoły Średniej nr 24 im. M. Konopnickiej we Lwowie

*Rozłąka jest naszym łosem.
Spotkanie naszą nadzieją.*

O tym i owym



KONSULAT GENERALNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ WE LWOWIE

Wydział Wizowy:

ul. Smiływych 5, 79044 Lwów,
tel.: (032) 235-30-22, fax: (032)235-30-18,
e-mail: konsulat@mail.lviv.ua

Wydział Wizowy i Paszportowy:

ul. Iwana Franki 110, 79011 Lwów,
tel.: (032) 297-08-61, 2970862, (032) 297-08-63,
faks: (032) 276-09-74,
e-mail: konsulat@mail.lviv.ua

Wydział Karty Polaka,

ul. Smiływych 5, 79044 Lwów,
tel.: (032) 235-21-60, (032) 235-21-61,
(032) 235-21-70, faks: (032) 235-21-77,
e-mail: konsulat3@mail.lviv.ua

Wydział Polonijny:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, (032) 260-08-55,
fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua.

Dni przyjęć: poniedziałek, wtorek, czwartek, piątek, godz. 10.00-14.00.
W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

Wydział Opieki Prawnej i Konsularnej:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua

Dni przyjęć: poniedziałek, wtorek (zapomogli), czwartek, piątek, godz. 10.00 - 14.00.
W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

Wydział Obywatelski, Repatriacji i Ochrony Miejsc Pamięci Narodowej:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua

Dni przyjęć: poniedziałek, czwartek, piątek, godz. 10.00-14.00.
W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

ПЕРША СТОРІНКА
PIERWSZA STRONA

1 cm² - 8,5 грн.
1 cm² - 8,5 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² - 6 грн.
1 cm² - UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² - 4,5 грн.
1 cm² - UAH
чорно-білі
czarno-białe

ОСТАННЯ СТОРІНКА
STRONA OSTATNIA

1 cm² - 7,5 грн.
1 cm² - UAH
повноколірний
pełny kolor

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia w prasie ukraińskiej

Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

RADIO PRZEZ INTERNET

ANDRZEJ NOWOGRODZKI
Kijów

Coraz częściej słuchamy radia w pracy, czy też w domu przy komputerze. W tym wypadku, zamiast łapać ledwo co dochodzące na Ukrainę polskie rozgłośnie przez zwykły odbiornik radiowy, możemy skorzystać z możliwości słuchania radia przez Internet. Oczywiście, jeśli nasz komputer jest do niego podłączony i nasz dostawca nie rozlicza nas za każdy kilobajt przesłanych danych, czyli za – tak zwany – „trafik”.

Poniżej przedstawiam krótki wykaz najpopularniejszych polskich rozgłośni, które są obecne w Internecie.

Polskie Radio

Na stronie Polskiego Radia możemy słuchać poszczególnych jego rozgłośni (Jedynka, Trójka) na żywo: <http://polskieradio.pl/sluchaj/> albo wybranych audycji <http://polskieradio.pl/podcasting/>

Na tej ostatniej znajdziemy na przykład wypowiedzi polityków z porannych Sygnałów Dnia w Jedynce, czy też reportaże, a nawet starych pocztowych Matysiaków. Z kolei na stronie <http://www.polskieradio.pl/zagranica/ua/> znajdziemy informacje po ukraińsku – część także do odsłuchania.

RMF FM

Na głównej stronie krakowskiej rozgłośni – www.rmf.fm

jest po prawej stronie archiwum audycji. Z kolei, wciskając trochę wyżej przycisk „Posłuchaj RMF FM”, będziemy mogli posłuchać stacji na żywo. Warto odwiedzić także inną stronę tego radia:

www.miestomuzyki.pl

Tam znajdziemy co najmniej kilkadziesiąt internetowych „stacji”, które nadają właściwie każdy rodzaj muzyki. Warto zwrócić uwagę na RMF Polski Rock, RMF Polskie Przeboje czy RMF PRL.

Radio Zet

Warszawska rozgłośnia ma trochę mniej rozbudowaną stronę internetową. Na

<http://www.radiozet.pl/Sluchaj/Default.aspx>

możemy posłuchać aktualnie nadawanych audycji. Z kolei na głównej stronie znajdziemy zapisy wywiadów Moniki Olejnik z politykami. Nagrania nie tylko audio, ale też wideo.

Radio Maryja

Katolicki głos w Twoim domu może brzmieć także z komputera. Wystarczy wpisać: www.radiomaryja.pl i po lewej stronie znajdziemy zakładkę „Słuchaj”. Wcześniej trzeba zainstalować Real Player – można go ściągnąć na stronie www.real.com.

To tylko niektóre najpopularniejsze stacje radiowe, których możemy słuchać przez Internet. Inne znajdziemy na przykład na stronach

www.radiostacje.com i www.nadaje.com

POLSKIE RADIO PRZEZ SATELITĘ

Czas warszawski

07.00 - 07.59 SAT
09.00 - 09.59 SAT
12.30 - 12.59 mkHz
31.769445 41.187285 SAT
17.30 - 18.29 mkHz
48.856140 SAT
23.00 - 23.59 mkHz
49.586050 31.059660 SAT
00.00 - 00.59 SAT
SAT - program Polskiego Radia dla Zagranicy rozpowszechniany jest w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, pozycja orbitalna 13æE, częstotliwość odbiorcza 10,892 Ghz, polaryzacja pozioma (H) FEC, SR 27500, Audio PID 119. Audycje Polskiego Radia dla Zagranicy emitowane są przez platformę cyfrową Cyfra+

Ukraina - Lwów - Radio Niezależnist UKF 106,7 MHz - Winnica - Radio TAK 103,7 FM - Chmielnicki - Radio Podilla Center 104,6 FM - Równie - Radio Kraj 68,2 FM - Żytomierz - Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM - Dibrowica - Radio Melodia 105,3 FM

AUDYCJE O POLAKACH NA UKRAINIE W RADIU OPOLE

Kliknij: <http://www.radio.opole.pl/moduly/akcje/ukraina/>

Do poprawnego odtworzenia audycji polecamy program WinAmp. Do pobrania ze strony www.winamp.com Klikając na <http://www.radio.opole.pl/moduly/akcje/ukraina/> można posłuchać o osobach, związanych ze Stanisławowem.

PYTANIA DO KONSULA RP WE LWOWIE

Szanowni Czytelnicy! Jeżeli macie jakieś pytania pod adresem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, prosimy je przekazywać (najlepiej w formie pisemnej) do naszej redakcji. Odpowiedzi uzyskacie Państwo na łamach naszego pisma.

Adres e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl
Adresy pocztowe:
w Stanisławowie: вул. Івасюка 60, м. Івано-Франківськ 76002
we Lwowie: вул. Дудаєва, 12/9 м. Львів 79005

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI NA UKRAINIE

„Lwowska Fala” – autorska audycja **Danuty Skalskiej** jest nadawana w każdą niedzielę **od godz. 8.10 czasu polskiego na antenie Polskiego Radia Katowice. Powtórka audycji – w niedzielę o 1.00 w nocy.** W porze emisji można także słuchać „Lwowskiej Fali” na stronie internetowej Polskiego Radia Katowice: www.radio.katowice.pl, a wszystkie archiwalne nagrania są dostępne na stronie internetowej Światowego Kongresu Kresowian: www.kresowianie.com

Audycja Radia „Rzeszów” o polskim dziedzictwie kulturowym i o Rodakach na Ukrainie

Polskie Radio „Rzeszów” emituje nową audycję „Kresowe Dziedzictwo”, która zajmuje się głównie stanem polskiego dziedzictwa kulturowego na Ukrainie oraz losem zamieszkałych tu Rodaków. Aby jej posłuchać kliknij: www.radio.rzeszow.pl, następnie – spośród wielu ikon, widniejących na dole strony – kliknij na „Kresowe Dziedzictwo” i na jedną z czterech ostatnio wyemitowanych audycji. Do ich wysłuchania serdecznie zaprasza autor – Jacek Borzęcki i Polskie Radio „Rzeszów”.

Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słychać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie).

Polskie Radio Warszawa I – na falach długich 225 kHz

Polskie Radio Lwów

Zachęcamy też wszystkich do słuchania Polskiego Radia Lwów (ze Lwowa) w każdą sobotę od godz. 8.00 do godz. 12.00 (czasu polskiego) oraz w niedzielę od godz. 18.15 do 20.15 na fali: <http://www.radio-n.com/eng/OnAir/onair.htm>. W eterze program jest nadawany na fali 106,7 FM (Radio „Niezależnist”) i jest dobrze słyszalny w promieniu 100 km od Lwowa.

Radio Polonia (godz. 18.30 – czasu miejscowego)

- Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MHz

- Winnica – Radio TAK 103,7 MHz

- Chmielnicki – Radio Podilla Center 104,6 MHz

- Równie – Radio Kraj 68,2 MHz

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 MHz i 103,4 MHz

Radio Maryja: Chełm 102,8; Hrubieszów 95,8; Lubaczów 102,3; Przemyśl 105,1; Ustrzyki Dolne 94,5; Włodawa 104,5; Rzeszów UKF 104, 5

KURIER galicyjski

«КУР'ЄР ГАЛИЦЬКИЙ»

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwsk 76000,
абонентська скринька №80
siedziba gazety:

Iwano-Frankiwsk 76002

ul. Iwasiuka 60,

Івано-Франківськ

вул. Івасюка 60

tel. redakcji w Stanisławowie:

+38 (0342) 71-38-66

tel./faks redakcji we Lwowie:

+38 (032) 261-00-54

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:

WAT „KREDOBANK”

r/r 2600401025253

ПП Ровіцькі М.М.

Код ЄДРПОУ 1965816635

p/p 2600401025253 в ІФФ ВАТ

«КРЕДОБАНК»,

м. Івано-Франківськ

МФО 336161

Świadectwo rejestracji

Seria KW nr 12639-1523 R

wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну

реєстрацію Серія KB

№ 12639-1523 P від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:

Mirostlaw Rowicki

Засновник і видавець

М. М. Ровіцькі

Skład redakcji:

redaktor naczelny: **Marcin Romer**

zgrodurevery@wp.pl

Maria Basza dział fotoreportażu oraz dział grafiki komputerowej: maribasza@wp.pl

Jurij Smirnow dział kulturalno-historyczny:

Konstanty Czawaga

konstantyczawaga@wp.pl

Halina Pługator

pluglem@wp.pl

dział informacji regionalnej

i reportażu

Stale współpracują:

Agnieszka Sawicz, Krzysztof Szymański, Irena Kulesza, Szymon Kazimierski, Piotr Janczarek, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Kłęczkańska, Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Eugeniusz Tuzow-Lubański, Natalia Kostyk, Olga Ciwkacz, Wojciech Grzelak, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński, Elżbieta Lewak, Eustachy Bielecki i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie. Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина»

Indeks na prenumeratę 98780

Індекс передплати 98780

Газета виходить 2 рази на місяць



Szanownej Pani

STANISŁAWIE KALENOWEJ

z okazji pięknego jubileuszu
życzenia zdrowia, pomyślności,
łask Bożych i błogosławieństwa Bożego

składa

Organizacja Polskich Kombatantów
wojny 1939-1945
i osób represjonowanych



14 marca
swój jubileusz –
100. rocznicy urodzin
obchodził pan
TEODOR FURTA

Życzymy Jubilatowi dużo zdrowia,
pomyślności, błogosławieństwa Bożego
i wszelkich łask

Organizacja Polskich Kombatantów
wojny 1939-1945
oraz zarząd i członkowie UTW
we Lwowie

KOWAL-SAMOUK CHCE STWORZYĆ W ŁUCKU PARK RZEŹB METALOWYCH

AGNIESZKA RATNA

...Lilie, narcyzy, tulipany, róże, które wykuł z metalu Wiktor Semeniuk, utalentowany artysta wołyński, zdoła dziś domy setek jego ziomków. W pracowni nie pozostają długo także kute rzeźby ptaków i zwierząt – zamawiają je wysocy urzędnicy państwowi lub goście z-za Bugu. Kilka lat temu Wojciech Gałązka, ówczesny Konsul Generalny RP w Łucku był tak urzeczony pracami artysty, że od razu zaprosił go do Polski – dla uczenia Polaków kowalstwa. Bohatera naszego reportażu nikt nie uczył tej sprawy. Mistrz twierdzi, że ta sztuka została mu przekazana w genach – przez dziadka.

Pan Wiktor mówi, że najjaskrawsze wspomnienia z dzieciństwa ma z okresu piątego roku życia. Wówczas dziadek Dmytro, kowal znany na Wołyniu jeszcze w czasach „za Polski”, po raz pierwszy pozwolił małemu Wiktorowi, żeby ten pomógł – ostudził gorącą podkowę. Dziadek miał nadzieję, że wnuk będzie kontynuatorem jego dzieła. Los najpierw zdecydował inaczej.

Wiktor Semeniuk nauczył się różnych zawodów. Był hydraulikiem, kierowcą trolejbusu, spawaczem. Nowe odliczanie czasu rozpoczęło się w 25. roku życia od ... proroczego snu.

„Widziałem we śnie, że wchodzę do kuźni, a w niej jest dziadek Dmytro, - opowiada pan Wiktor. - Stoi uśmiechnięty przy ognisku i wyciąga do mnie ognistą różę. Mówi, że jest teraz moja. Obudziłem się, mając przed oczyma tę różę, jakby żywą. Bardzo mi się zechciało ją wykonać”.

Kowal opowiada, że przedsiębiorstwo, w którym wówczas pracował, miało niezbędny sprzęt. Wszystko inne było sprawą czasu. Zanim Wiktor Semeniuk wykonał pierwszą różę, trudu było przez miesiąc. Prawdę jednak mówią ludzie, że mistrzowi robota jest posłuszną. Kowal opowiada dziś, że nabrał takiej wprawy, iż w ciągu dnia może wykonać dowolny kwiat.

Kompozycje kwiatowe pana Wiktor były na kilku wystawach w Łucku i Kijowie, na targach w Chelmie. Wiktor Semeniuk został laureatem Programu



Narodowego „Człowiek Roku Krainy Wołyńskiej 2006” w nominacji „Działacz kulturalny roku” (otrzymał „Skrzydło Natchnienia – aut). Zoja Nawrocka, znany wołyński historyk sztuki, poradziła, by pan Wiktor zaczął tworzyć coś nowego. Od kilku lat wykonuje on metalowe rzeźby zwierząt i ptaków.

Jako pierwszy w „kąciku zoologicznym” pojawił się kogut-zabijaka. Właśnie taki wódz kurzej wspólnoty budził kowala w dzieciństwie każdego ranka. Po jakimś czasie do koguta dołączyły indyk, dąbek i papuga. Potem się pojawiła „królowa (czy królewicz, jak kto woli) żaba”, a po niej – pies i trzygłowy smok. Praca nad rzeźbami jest o wiele bardziej skomplikowana, niż w przypadku kwiatów. Wiktor Semeniuk sięgnął już w tej dziedzinie szczytów doskonałości.

Głównymi narzędziami w pracy są młotek i przecinak.

„Proszę spojrzeć – oto orzeł, który waży dwieście kilogramów, - artysta pokazuje zdjęcie. - Ale się namęczyłem przy nim! Musiałem wykuć kilka tysięcy elementów, wyrzeźbić każde piórko. Ale ptak mi się udał!”

Obecnie cały ten „zwierzyniec”, liczący ponad czterdzieści okazów, jest na stałej wystawie w technikum wołyńskim technologii spożywczych. Zaprezentowano tu również wykute przez mistrza sprzęty domowe – świeczniki, podstawki pod wazon, komplety do kominków, żyrandole, kraty. Obecnie Wiktor Semeniuk marzy o tym, żeby stworzyć na otwartej przestrzeni park rzeźby kutej. Myśli, że goście miasta na pewno będą zachwyceni.

KURIER galicyjski

Można zaprenumerować
na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

**Cena prenumeraty pocztowej
na rok 2010**

3 miesiące - 17,88 hrywien

6 miesięcy - 35,76 hrywien

12 miesięcy - 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową (kuriergalicyjski@wp.pl)

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto

„Kurier Galicyjski” można kupić:

w **Warszawie w Domu Spotkań z Historią:**

tel. +48 (022) 851 39 66 (kod pocztowy 00-753)

ul. Karowa 20

tel. +48 (022) 826 51 95 (kod pocztowy 00-324)

oraz w **Krakowie w Księgarni „Nestor”**

przy ulicy Kanoniczej 13

tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002)

KURIER GALICYJSKI można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty” (w wypadku jego braku, zwróćcie się do sprzedawców i powiadomiacie redakcję!) Ponadto: w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, Drohobyczu, Truskawcu, Borystawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku; w kioskach „Interpres” we Lwowie; w restauracji polskiej „Premiera Lwowska”, przy ul. Ruskiej 16; w Katedrze Lwowskiej, w kościele św. Antoniego, a także przy kościele w Żółtkwi i Krzemieńcu; w „Sklepie Żalnym” – Rynek 7; pismo jest też dostępne w hotelu „Dniestr” we Lwowie oraz w Instytucie Polskim w Kijowie

**Korzystaj z usług
polskich przewodników
ze Lwowa!**

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach
tel.: 0-0380679447843

Proponujemy usługi turystyczne, oprowadzanie po Lwowie i Kresach w języku polskim
tel.: 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511

CIEKAWY STRONY INTERNETOWE O KRESACH

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.webpark.pl
www.kresy.co.uk
stanislawow.pl
www.kresy2000.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com

Pełne wydanie *Kuriera Galicyjskiego* w PDF na:
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Przewozy pasażerskie we Lwowie oraz na terenie całej Ukrainy

Tanio i szybko!

Zniżki dla STALYCH KLIENTÓW

594

z komórkowego

2-419-111

Life: 093 343 3 100
Kyivstar: 067 350 47 48
Beeline: 068 137 54 37
MTS: 050 358 48 48

Możliwość opłaty przelewem

Kantorowe kursy walut na Ukrainie

16.03.2010, Lwów

| KUPNO UAH | | SPRZEDAŻ UAH |
|-----------|--------|--------------|
| 7,97 | 1USD | 8,01 |
| 10,90 | 1EUR | 10,96 |
| 2,78 | 1PLN | 2,83 |
| 12,00 | 1GBP | 12,18 |
| 2,68 | 10 RUR | 2,71 |